

Polska Zbrojna

NR 4 (828) KWIECIEŃ 2015

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4524

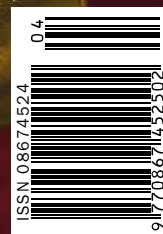
CENA 6,50 ZŁ (w tym 8% VAT)

2014



BUZDYGANY

SIEDMIU
WYBRANYCH



TargiKielce

EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

**Patronat honorowy
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej**

**Wystawa Narodowa
Norwegii**



**XXIII Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego**

**1-4.09.2015
Kielce**



www.msपो.pl



WOJCIECH KISS-ORSKI

PODCZAS POSIEDZENIA KAPITUŁY, NA KTÓRYM ROZSTRZYGALIŚMY, KTO DOSTANIE BUZDYGANA ZA ROK 2014,

kmdr por. Robert Szymaniuk (laureat za 2013 rok) zażartował, że dziś wyróżnienie jest dla niego niczym bat. „Czasami dochodzę do wniosku, że trzeba sobie odpuścić, bo ręce niekiedy opadają. Ale wtedy patrzę na niego i myślę: Buzdygan przecież zobowiązuje. I już wątpliwości nie mam”. „Wir”, ratownik medyczny Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu, mówił z kolei, że się przekonał, jak Buzdygan odkrywa ludzkie uczucia. „Zauważyłem u niektórych kolegów bezinteresowną zawiść. Buzdygan ujawnił tych, którzy naprawdę mnie nie lubią”.

Warto przypomnieć młodszym Czytelnikom, że Buzdygany rozdajemy już od 21 lat. Przez ten czas dostało je prawie 200 osób. Najwięcej oczywiście żołnierzy i to prawie wszystkich szarż. Wśród wyróżnionych są też naukowcy, politycy i dziennikarze. Konsekwentnie trzymamy się zasady, której przesłanie jest jasne, ale nie zawsze właściwie odczytywane – Buzdygany nie są nagrodą za całokształt dokonań i podsumowaniem kariery kandydata. Staramy się wyróżniać osoby, które w ramach swoich codziennych obowiązków zrobiły dla armii coś nowego, szczególnego, a w przyszłości nadal będą działać nietuzinkowo. Słuszność tej koncepcji potwierdzają późniejsze losy naszych laureatów, ich kolejne szczeble kariery – awanse wojskowe, tytuły naukowe czy sukcesy polityczne.

Przed Wami laureaci Buzdyganów za rok 2014. To takie wojskowe Oscary. Ci, którzy odwiedzają nasz portal, już ich poznali. W tym numerze „Polski Zbrojnej” poświęcamy im więcej miejsca, gratulując jednocześnie wyróżnienia.

➤ Więcej o laureatach Buzdyganów na stronach 12–27

2014 BUZDYGANY

peryskop

nr 4 (828)
kwiecień 2015



Zdjęcie na okładce:
Unclesam/Fotolia.com

12 | Siedmiu wybranych

[Kim są laureaci tegorocznych Buzdyganów?](#)

JACEK SZUSTAKOWSKI

28 | Gwiazdy sportu

[Najlepsi wojskowi sportowcy nagrodzeni.](#)

NORBERT BĄCZYK

38 | Wóz idealny

[We współczesnej maszynie bojowej załoga musi czuć się bezpiecznie i w miarę komfortowo.](#)

WALDEMAR MŁYNARCZYK

42 | Podniebny kadr

[Najlepsi fotografowie robili na Litwie zdjęcia „air to air”.](#)

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

46 | Pod osłoną nocy

[Piloci samolotów transportowych szkola się w lotach z wykorzystaniem noktowizji.](#)

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

49 | Wirtualny okręt

[W Akademii Marynarki Wojennej oddano do użytku nowe trenażery i symulatory.](#)

BOGUSŁAW POLITOWSKI

52 | Byłem legionerem

[Obecność byłych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej w polskim wojsku ciągle budzi wiele emocji.](#)

PAULINA GLIŃSKA

54 | Matka Teresa z Diwaniji

[Edyta Górlicka wielokrotnie uczestniczyła w misjach w Iraku i Afganistanie.](#)



arsenał

NORTHROP GRUMMAN

PAWEŁ HENSKI

64 | Samodzielne śmigła

[W armii Stanów Zjednoczonych śmigłowce bezzałogowe mają coraz szersze zastosowanie.](#)

TADEUSZ WRÓBEL

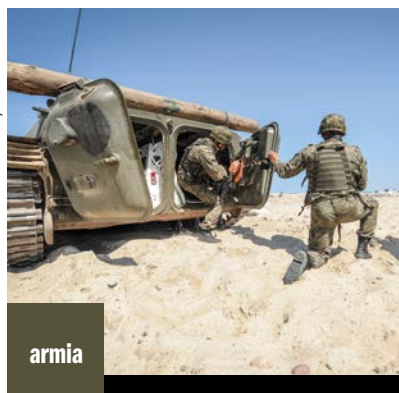
69 | Tendencja spadkowa

[Zdaniem ekspertów produkcja średnich i ciężkich śmigłowców wojskowych będzie się zmniejszać.](#)

TADEUSZ WRÓBEL

75 | Leksykon

[Snajper z 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej.](#)



armia

NORBERT BĄCZYK

30 | Czekając na borsuka

[Jaka maszyna zastąpi w wojskach lądowych BWP-1?](#)

TADEUSZ WRÓBEL

36 | Moc pod pancierzem

[Bojowe wozy piechoty na świecie.](#)



ISLAMIC STATE VIDEO



78 | Ekspansja czarnych sztandarów

Jaka jest długofalowa strategia Państwa Islamskiego?

84 | Odbicie wahadła

O prawdziwym obliczu islamu opowiada prof. Bogusław R. Zagórski.

88 | Wojna wygląda inaczej

Donbas oczami naszego dziennikarza.

92 | Lotnicze tango

Plany modernizacji argentyńskiego lotnictwa.

95 | Strážnicy miasta

O żydowskim oporze wobec Izraela.

97 | Dwa ognie

Jakie są największe zagrożenia dla bezpieczeństwa wewnętrznego Filipin?

100 | Arka ocalenia

Z Katynia uszło z życiem 395 polskich jeńców.

104 | Tajemnica Janki

Losy córki gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego.

106 | Erkaem na parapecie

Juliusz Kulesza opowiada o bohaterach swoich książek.

109 | Jak rozpetano wojnę?

O tym, jak z pozoru błaha sprawa może doprowadzić do konfliktu zbrojnego.

116 | Ważki do boju

Śmigłowce z czasów II wojny światowej.

120 | Pamięć wciąż żywa

Wspominamy ofiary katastrofy pod Smoleńskiem.

134 | Czytelnika portret własny

Co najchętniej czytają żołnierze?



DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
płk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Wojciech Kiss-Orski,
tel.: 261 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Piotr Bernabik, Anna Dąbrowska, Paulina Gilińska,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: 261 845 244, 261 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendeck, tel.: 725 880 221;
Artur Bartkiewicz, Norbert Bączny, Robert Czulda,
Paweł Heński, Waldemar Młynarczyk, Jerzy Eisler,
Andrzej Fąfara, Włodzimierz Kaleta, Jakub Nawrocki,
Olaf Osica, Tomasz Otlowski, Bogusław Politowski,
Jarosław Rybak, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski,
Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: 261 845 170

FOTOREDAKTOR
Andrzej Witkowski, tel.: 261 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW
Renata Gromska, Barbara Szymańska, Urszula Zdunek,
tel.: 261 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU
Adam Niemczak (kierownik), Aneta Kwiatkowska (tłumacz),
Aneta Rosiak, Małgorzata Szustkowska, Piotr Zarzycki,
tel. 261 845 387, 261 845 180,
Elżbieta Toczek, tel. 261 840 400,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE
TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: 22 389 65 87, 500 259 909,
faks: 22 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

Numer zamknięto: 20.03.2015 r.

DRUK
ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobylka, www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

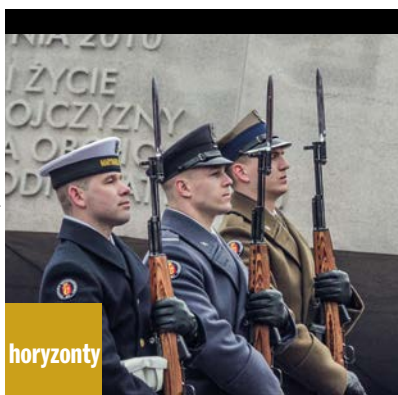
PARTNER
NAC Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

R. SIEMASZKO / DPI MON



kadr

ZALOGA SAMOBIEŻNEJ ARMATOHABICY DANA

z 23 Śląskiego Pułku Artylerii podczas pierwszego w tym roku szkolenia poligonowego. Pododdziały pułku doskonaliły swoje umiejętności w ramach zimowej szkoły ognia.





WR 1999



Czas rozliczeń

Wzmacniamy polskie zdolności obronne.

Konflikt rosyjsko-ukraiński potwierdził słuszność naszych działań: rozpoczęcia kilka lat temu modernizacji technicznej oraz skoncentrowania się na rozbudowie zdolności obronnych”, mówił prezydent Bronisław Komorowski podczas tegorocznej odprawy kierowniczej kadry armii. Zdaniem zwierzchnika sił zbrojnych, było to możliwe dzięki stworzeniu stabilnego systemu finansowania wojska.

Najważniejszym celem tegorocznej odprawy było opracowanie polskiej odpowiedzi na wydarzenia za wschodnią granicą. „Jest nią polityczne wsparcie dla Ukrainy w jej wysiłku na rzecz utrzymania suwerenności, działanie na rzecz

wzmocnienia wschodniej flanki NATO i solidarności sojuszu oraz przyspieszenie wzmacniania własnej, narodowej odporności obronnej”, wyliczał prezydent.

Minister obrony narodowej Tomasz Siemoniak podkreślił z kolei, że jesteśmy teraz w kluczowym momencie historii, a wojna tocząca się w sąsiednim kraju stanowi duże wyzwanie dla Polski i NATO. Mówiąc o wyzwaniach, szef MON zaznaczył, że to będzie kolejny rok bardzo intensywny pod względem szkoleń wojskowych. „Spodziewamy się na ćwiczeniach 10 tys. wojsk sojuszników”, dodał wicepremier.

Gościem honorowym odprawy była Ursula von den Leyen, minister obrony

Niemiec. Potwierdziła ona zobowiązania naszego zachodniego sąsiada do współpracy dwustronnej, między innymi w ramach szczecińskiego Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego.

Odprawa była też okazją do wręczenia znaków tytułów honorowych dowódcom oddziałów i instytucji wojskowych wyróżnionych przez ministra obrony za szczególne osiągnięcia w 2014 roku. „To dzięki całorocznej pracy naszych żołnierzy i podwładnych możemy dziś odbierać te zaszczytne wyróżnienia”, stwierdził w imieniu uhonorowanych gen. bryg. Cezary Połasiński, dowódca XIV zmiany PKW Afganistan. P.Z., M.C.

M. NĘDZYŃSKI / DPI MON



Uzbrojone orki

Ministerstwo Obrony Narodowej chce kupić pociski dla okrętów podwodnych.

Resort obrony poszukuje dostawcy pocisków manewrujących, w które mają być uzbrojone nowe polskie okręty podwodne o kryptonimie »Orka«”, potwierdził na antenie Polskiego Radia wicepremier Tomasz Siemoniak. Szef MON przyznał, że resort zapytał między innymi USA o możliwość kupna pocisków Tomahawk, którymi można razić cele oddalone nawet o 1700 km. „Chcąc rozszerzyć i powiększyć kon-

kurencję, pytamy, czy poszczególne państwa byłyby gotowe dostarczyć nam takie pociski”, mówił szef MON.

Tomahawki (na zdjęciu) są w uzbrojeniu armii amerykańskiej od połowy lat osiemdziesiątych. Koszt jednej rakiety, która osiąga prędkość prawie 900 km/h, wynosi około miliona dolarów.

Zgodnie z zapowiedziami resortu przetarg na dostawę okrętów Orka powinien zostać ogłoszony pod koniec

2015 roku, a jego rozstrzygnięcie i podpisanie umowy ma nastąpić na początku 2017 roku.

Według planu modernizacji nowe okręty wejdą do służby w roku 2022. Budowa jednostek, które zastąpią kobbeny, jest najdroższym programem modernizacyjnym polskiej floty wojennej. Przybliżony koszt zakupu trzech okrętów podwodnych to około 8 mld zł. P.Z., K.W.

Zakupy w polskich firmach

Powstanie Polskiej Grupy Zbrojeniowej to finał procesu konsolidacji zbrojeniówki.

Ministerstwo Obrony Narodowej, przezbijając armię, zakłada osiągnięcie dwóch celów: budowanie zdolności sił zbrojnych i podniesienie potencjału polskiej nauki i przemysłu obronnego", mówił Czesław Mroczek, wiceminister obrony, na konferencji poświęconej roli Polskiej Grupy Zbrojeniowej w modernizacji technicznej armii. Jednocześnie podkreślił znaczenie realizowanego przez resort planu dla przyszłości polskiej branży zbrojeniowej oraz PGZ jako głównego uczestnika procesu modernizacji.

Grupa, skupiająca większość rodzimego przemysłu obronnego, będzie realizować pokątną część zamówień oraz uczestniczyć w pozostałych najbardziej zaawansowanych projektach zleczanych podmiotom zagranicznym. Jak tłumaczył wiceminister, w tych programach, gdzie główny kontraktor jest z zewnątrz, jednym z warunków wyboru systemu będzie poziom udziału polskiego przemysłu. „Skutkiem tego ma być implementacja nowych zdolności i technologii. Będziemy też szeroko stosować narzędzie, jakim jest offset”, wyliczał Mroczek. Tak ma być choćby w wypadku przetargu na zestawy rakietowe średniego zasięgu o kryptonimie „Wisła”. Jeśli zaś chodzi o zakup dla marynarki wojennej trzech okrętów obrony wybrzeża o kryptonimie „Miecznik” oraz trzech okrętów patrolowych typu Czapla, MON podjęło decyzję, że zamówienie, ze względu na interes bezpieczeństwa państwa, trafi do firmy polskiej. P.Z., K.W. ■

Więcej dla wojska

Sejmowa Komisja Obrony Narodowej poparła przeznaczanie dodatkowych środków na zakupy nowoczesnego sprzętu dla wojska. Trzy projekty takich zmian do ustaw o przebudowie i modernizacji technicznej oraz finansowaniu sił zbrojnych wpłynęły do Sejmu. Każdy z nich zakłada zwiększenie od 2016 roku wydatków obronnych z 1,95% do co najmniej 2% PKB z roku poprzedniego.

W dokumencie zgłoszonym przez Polskie Stronnictwo Ludowe znalazł się zapis, aby 70% kwoty wydawanej na modernizację trafiało do krajowych zakładów obronnych. „Ten projekt jest niezgodny z prawem Unii Europejskiej”, zauważył wiceminister Czesław Mroczek. Prawo i Sprawiedliwość wnosiło natomiast, by wydatki na zakup broni i sprzętu stanowiły 25% budżetu MON. Tymczasem rząd zaproponował, by było to co najmniej 20%. Nowelizacja rządowa przyjęta w połowie lutego uregulowała także kwestie między innymi udzielania zaliczek przy zamówieniach uzbrojenia i sprzętu, do których nie stosuje się prawa zamówień publicznych. „Decyzja o zwiększeniu budżetu MON daje pewność i stabilność finansową na wiele lat w odniesieniu do projektów modernizacyjnych armii”, uważa minister Tomasz Siemoniak. Przeznaczanie na finansowanie potrzeb obronnych Polski co najmniej 2% PKB zapewni dodatkowo ponad 800 mln zł na zakup dla wojska nowoczesnego sprzętu. P.Z., J.T. ■

CENTRALNA BIBLIOTEKA WOJSKOWA

im. Marszałka Józefa Piłsudskiego



BIBLIOTEKA
CYFROWA

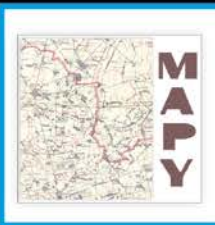


BIBLIOGRAFIE

UDOSTĘPNIANIE



INFORMACJA
NAUKOWA



Rakietowe kły

Huta Stalowa Wola
dostarczy wojsku systemy
artyleryjskie Homar.

Program wyposażenia wojsk lądowych w wyrzutnie rakietowe zdolne do rażenia celów oddalonych nawet o 300 km to część planu modernizacji technicznej na lata 2012–2022. Kupno dywizjonowych modułów ogniowych wyrzutni rakietowych o kryptonimie „Homar” wpisuje się w projekt budowy potencjału odstraszania naszej armii o nazwie „Polskie kły”. W jego ramach wojsko w najbliższych latach dostanie między innymi uderzeniowe bezzałogowce, rakiety dalekiego zasięgu powietrze–ziemia JASMM dla samolotów F-16 oraz okręty podwodne uzbrojone w pociski manewrujące.

Huta Stalowa Wola, która dostarczy wyrzutnie, otrzymała zaproszenie do negocjacji handlowych z Inspektoratu Uzbrojenia MON. Przedstawiciele resortu obrony narodowej liczą, że podpisanie umowy nastąpi w czwartym kwartale 2015 roku. Wartość kontraktu jest szacowana, w zależności od liczby zamówionych wyrzutni oraz klasy i rodzaju pocisków, na kwotę od kilkuset milionów do kilku miliardów złotych. „Wojsko dostanie pierwsze zestawy w 2018 roku”, zapowiedział Czesław Mroczek, wiceminister obrony narodowej. Ich zasięg ma wynieść do 300 km. Dostawy zakończą się w 2022 roku. P.Z., K.W. ■



MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK

MRAP-y dla komandosów

Polscy specjalsi dostali nowoczesne pojazdy opancerzone.

Amerikanie podarowali naszej armii, w ramach programu EDA (Excess Defense Articles), 45 wozów typu MRAP w wersji M-ATV (All-Terrain Vehicle). Trafiły one do wojsk specjalnych.

Wartość sprzętu jest szacowana na 7,7 mln dolarów. Pojazdy wyprodukowano w latach 2009–2010. Są one sprawne, a ich przebieg wynosi od 1000 do 8000 km. Wcześniej wozy służyły amerykańskim żołnierzom w Afganistanie. Przed zakończeniem misji ISAF rząd USA zdecydował o wycofaniu części sprzętu z eksploatacji i zaproponował, aby 45 MRAP-ów, z których na zasadzie użyczenia korzystali w Afganistanie Polacy, trafiło do naszych jednostek specjalnych. Amerykanie zapewнили również transport pojazdów z Afganistanu oraz

przekazali pakiet części zamiennych. „Pojazdy sprawdziły się w każdym terenie, ratując życie wielu żołnierzom. Cieszę się, że teraz polska armia będzie mogła je wykorzystywać w prowadzonych operacjach”, mówił Stephen Mull, ambasador USA, podczas uroczystości w krakowskiej jednostce Nil. Jak podkreślał gen. broni pil. Lech Majewski, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, przekazany sprzęt zwiększy potencjał bojowy specjalistów oraz ich możliwości przetrwania na polu walki.

M-ATV charakteryzują się zwiększoną odpornością na wybuchy min i dużą mobilnością w trudnym terenie. Wyposażone są także w system przeciwpożarowy, obejmujący wnętrze kabiny, komorę silnika, koła oraz zbiornik paliwa. P.Z., M.K.S. ■

Otwarte lotniska

Cywilne samoloty transportowe wykonujące zadania dla sił zbrojnych będą mogły korzystać z polskich lotnisk wojskowych. Taką możliwość przewiduje przyjęta przez Radę Ministrów nowelizacja ustawy „Prawo lotnicze” przedłożona przez ministra obrony. Pozostałe państwa NATO korzystają z cywilnych maszyn na potrzeby wojska i zezwalają im na operacje na lotniskach należących do armii.

Dzięki nowym regulacjom będzie można wykorzystywać cywilne transportowce do wsparcia misji stabiliza-

cyjnych wykonywanych przez polskie kontyngenty, na przykład do przewożenia ładunków wielkogabarytowych lub niebezpiecznych.

Nowelizacja nie oznacza pełnego otwarcia lotnisk wojskowych do użytku publicznego, lecz jedynie stworzenie możliwości ich wykorzystania, kiedy to będzie niezbędne. Dlatego za każdym razem w takiej sytuacji będzie konieczna zgoda dowódcy operacyjnego rodzaju sił zbrojnych wydana w porozumieniu z dowódcą jednostki użytkującej lotnisko. A.D. ■

Pani
Zofii Skibie

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają

Tomasz Siemoniak
wicepremier,
minister obrony narodowej
i pracownicy Sekretariatu MON.



PIOTR
BERNABIUK

Komu kopa?

BUZDYGANOWE DISKUSJE
W KULUARACH

Luty to w redakcji „Polski Zbrojnej” miesiąc niezwykle gorący. Gdy inni jeżdżą na nartach, nasz zespół, wspierany przez członków kapituły, już trzecie dziesięciolecie rozdziela Buzdygany. Z pozoru sprawa wydaje się dość prosta – z wojskowego świata przychodzi około pół setki zgłoszeń, z których kapituła na swym posiedzeniu najpierw nominuje kilkanaście osób, następnie spośród nich w jawnym głosowaniu wybiera szóstkę najbardziej godnych i zasłużonych żołnierzy, którzy wniesli do armii coś więcej niż powinni w ramach comiesięcznej pensji.

Już na wstępie powstaje jednakże pewien kłopot... Choć, powiedzmy wprost, tych kłopotów jest wiele. Oto przedstawiciele jednej z wojskowych struktur przysłali bardzo grzeczną informację, że owszem, Buzdygany bardzo sobie cenią, ale pięknie dziękują, nie zgłoszą nikogo, bo kolektyw jest tak wyrównany, że nikomu nawet czubki butów nie wystają z szeregu. Podobnie było w popularnej w naszym kraju jednostce, która jednak zaproponowała rozwiązanie odmienne, a mianowicie wyróżnienie całego stanu osobowego. Wyobrażacie sobie setki żołnierzy na podium?!

W wielu wypadkach rekomendujący przysłali opinie służbowe wspaniałych żołnierzy. Powstał ogromny kłopot, bo za nagrodą przemawiała racja stanu, niezwykle chwalebny dorobek służbowy, odważne decyzje podjęte z pożytkiem dla armii... Brakowało jednak często niuansików, dwóch zdań na temat szczególności działania, przebiegu geniuszu. Nie dość na tym, bo gdzieś w kuluarach rozgorzała dyskusja, czy lepiej spożytkuje wyróżnienie kapral czy generał. Generałowi przecież i tak łatwiej. Nawet z najbardziej szalonym pomysłem dotrze na najwyższe szczeble... A co zdziała bez wsparcia kapral czy chorąży, nawet nie wiadomo jak genialny? Jako członek kapituły milczę na ten temat dyskretnie, ale prywatnie, jako Piotr Bernabiuk, a nadto starszy chorąży sztabowy rezerwy, protestuję przeciwko takiemu podejściu. Może generała nieco trudniej postawić na baczność, gdy się nadmiernie wychyla, mógłbym jednak napisać tomy o walce generałów czy pułkowników z wiatrakami, ale też o zmaganiach chorążych i kaprali z oporem wojskowej materii. Dlaczego bronię tej opcji, sam będąc chorążym, czyli członkiem niższego klanu? Jak się bowiem coś wreszcie kapralowi uda, to będzie miał uciechę on i najbliżsi koledzy. Generał efekty sukcesu może przenieść na brygadę, dywizję, a czasami nawet na całe wojsko.

Przepraszam za brak delikatności, ale kwestia tego, komu należy dać kopa – kopa w górę oczywiście – z pewnością nigdy nie zostanie ostatecznie rozstrzygnięta. I bardzo dobrze, jeśli takie spory się toczą. Sześciu bohaterów zostało obdarzonych przez kapitułę Buzdyganami (jest i generał, i kapral). Jednego wyróżnili internauci, czyli oprócz oznaki władzy hetmańskiej zdobył uwielbienie tłumów. Jakkolwiek było, wszyscy dostali kopa w górę i szubują gdzieś w obłokach. Nim osiągną najwyższy punkt, składam gorące życzenia: miękkiego lądowania! Mam cichą nadzieję, że podczas tego lotu wyrosną Wam skrzydła.

Padła też propozycja, również w kuluarach, założenia stowarzyszenia osób „poszkodowanych przyznaniem Buzdygana”. Gruby żart, ale nie bez pokrycia. Znamy przypadki, gdy człowiek został nagrodzony, a jego dzieło wkrótce diabli wzięli. Ale o tym przy kolejnej okazji. ■



peryskop

 **BUZDYGANY 2014**

Nagroda miesięcznika

Polska Zbrojna

SIEDMIU WYBRANYCH

Dowódca dwóch zmian PKW Afganistan,
lekarz, komandos, fotoreporter, snajper,
marynarz i specjals. Poznajcie tegorocznych
laureatów naszej nagrody.

ANDREY KUZMIN/FOTOLIA.COM



BUZDYGANY 2014
Nagroda miesięcznika

GEN. BRYG. RAJMUND T. ANDRZEJCZAK

Generał z zacięciem

*Za ambitne wyznaczanie wysokich standardów
wyszkolenia, poszukiwanie nieschematycznych
rozwiązań taktycznych, a jednocześnie troskę
i dbałość o rozwój swoich żołnierzy.*

Według rekomendacji, która napłynęła do redakcji, gen. bryg. Rajmund T. Andrzejczak Buzdygan „Polski Zbrojnej” dostał „za rzadką umiejętność mądrego i skutecznego łączenia potrzeby pielęgnowania tradycji z wymogami nowoczesności, za zdolność do budowania esprit de corps za pomocą szerokiej wiedzy i bogatego doświadczenia własnego i podwładnych”.

Skrót tej oficjalnej rekomendacji warto uzupełnić słowami gen. dyw. Mirosław Różańskiego, do 2008 roku dowódcy 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej, którą w latach 2012–2014 dowodził zdobywca tegorocznego Buzdygana: „Gen. Rajmund Andrzejczak został zabrany z biurka i wsadzony na rok do Afganistanu, gdzie, jak sam dzisiaj przyznaje, przez pierwsze sześć miesięcy pobierał lekcję i dopiero w trakcie drugiej zmiany zrozumiał, po co to wszystko się dzieje. Poniósł ogromne koszty tej lekcji, a następnie, w kraju, zebrane doświadczenia przeniósł na niwe szkoleniową. Dziś wyprzedza pewne kanony postępowania w naszych siłach zbrojnych, mentalnie

jest zdecydowanie bardziej w NATO niż wielu z nas, dlatego niełatwo było czasem zrozumieć jego koncepcje. Jak bowiem można zrobić ćwiczenia w trzech różnych częściach kraju, i to na szczeblu batalionu? Takich dowódców właśnie nam potrzeba”.

Na przygotowanie się do wyjazdu i objęcie stanowiska miał w istocie trzy tygodnie, a swoich ludzi zobaczył dopiero na ćwiczeniach certyfikujących kontyngent. W trakcie IV zmiany PKW Afganistan, po wycofaniu polskich kompanii rozproszonych w prowincji Paktika, całość sił skoncentrowano pod polskim dowództwem w prowincji Ghazni. Połączono również rozdzielone w czasie wcześniejszych zmian funkcje dowódcy kontyngentu i dowódcy elementu bojowego, co na płk. Andrzejczaka nakładało podwójne obowiązki. Miał się zajmować sprawami administracyjnymi, narodowymi, logistycznymi, a zarazem operacyjnymi, tak więc także dowodzeniem brygadową grupą bojową w całej prowincji. Z tej wielości zadań i funkcji, jak twierdzi, najtrudniejsze były działania dyplomatyczne i negocjacje. Układał



wszystko po kolei w nowej rzeczywistości, a w Polsce oczekiwano spektakularnych sukcesów w łapaniu terrorystów, a nie do końca chyba zdawano sobie sprawę z możliwości i ograniczeń. „Przyszło jeszcze bardzo długo czekać, zanim zrozumiano, że dla skuteczności operacyjnej ważniejsze jest to, ilu ludzi uratowaliśmy, niż ilu zabijamy”.

Dał radę! Odrobił niezwykle trudną, ale też bezcenną lekcję, która miała zaowocować ze szczególną intensywnością od 2012 roku, gdy dowodził 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną. Gen. bryg. Sławomir Wojciechowski w tonie anegdoty opowiada historię „nominacji” gen. Andrzejczaka na swego następcę: „Kiedyś, przy kolacji, powiedziałem Rajmundowi o kłopotach ze znalezieniem następcy i dodałem: »Ty byś mi najlepiej pasował na dowódcę brygady«. A potem nie dość, że przywiązałem się do tej myśli, to jeszcze podzieliłem się nią z innymi. Po jakimś czasie zaczęto wokół mówić, że Andrzejczak jest kandydatem na dowódcę 17 Brygady. I nim został”.

Gen. Wojciechowski uzasadnia swoją wizję: „Rajmund był młodym generałem, ale po zaliczeniu dwóch ciężkich tur w Afganistanie miał za sobą sporo traumatycznych przeżyć,

a zarazem cennych doświadczeń. Do tego jest postacią barwną, z artystycznym zacięciem, fanem heavy metalu. Podobno gra na gitarze basowej”.

Zdaniem gen. Wojciechowskiego nie może być nic lepszego dla odchodzącego dowódcy niż świadomość, że zostawia jednostkę w dobrych rękach, a realizacja jego koncepcji przesuwają się o kolejny szczebel w górę: „Jedynie co mogłem wówczas zrobić, to stworzyć warunki swemu następcy. Tak jak mnie gen. Różański przygotował pole do dobrego startu”.

Gen. Andrzejczak ma opinię dowódcy niepokojąco wyprzedzającego swój czas. Z szacunkiem odnosił się do tradycji, pamięci historycznej, ale kojarzono go przede wszystkim z cyfryzacją. To pewne uproszczenie, bo lista „grzechów nowoczesności” jest bardzo długa, poczynawszy od wykorzystywania najnowszych systemów dowodzenia, przez łączenie sposobu działania wojsk zmotoryzowanych z wymiarem powietrzno-ładowym, szerokie wykorzystanie bezpośredniego wsparcia lotniczego czy systemu JCATS (Joint Conflict and Tactical Simulation), po kompleksowe wprowadzanie w wojsku cyfrowych systemów komunikacji. A to wszystko miało na celu przygotowanie 17 WBZ do digitalizacji i wyposażenia jej w inteligentne systemy zarządzania HMS/BMS.

Pod rządami Andrzejczaka sporo działało się również w taktyce. Powstała na przykład w brygadzie grupa rozpoznawcza, a ćwiczenia z użyciem różnego rodzaju broni „Gepard '14” zostały uznane przez inspektora wojsk lądowych za wzorcowe. I można by tak wyliczać jeszcze bardzo długo...

Często publicznie i bez ogródek mówił gen. Andrzejczak o sprawach, które go niepokoiły, o zagrożeniu wynikającym z „utruty nabytych w misjach zdolności i regresu w rozwoju nowej myśli”. Zwracał uwagę na sprawy na co dzień pomijane, na przykład na to, że od nowoczesnego sprzętu nie mniej ważne są kultura organizacyjna, zarządzanie zasobami ludzkimi czy polityka kadrowa, zwłaszcza wobec podoficerów. W jednej z rozmów powiedział, że po doświadczeniach operacji afgańskiej i trzech latach dowodzenia rozwiniętą brygadą doskonale wie, że bez pomocnika do spraw podoficerów nie byłby w stanie zajmować się sprawami żołnierzy z dwóch niższych korpusów. „To jest człowiek mający reprezentować najwyższe standardy, ma mieć najlepsze oceny i ma rekomendować rozwój żołnierzy”. W ciągu trzyletniej kadencji wysłał swojego „sierżanta majora” do akademii podoficerów Stanów Zjednoczonych, a ponad 200 szeregowych do polskiej szkoły podoficerskiej. Był dumny, gdy zajmowali tam czołowe miejsca i mieli najwyższe notowania, po czym wracali, by służyć w armii jako podoficerowie.

Obecnie gen. bryg. Rajmund T. Andrzejczak jest zastępcą dowódcy 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Wyprzedza pewne kanony postępowania w naszych siłach zbrojnych, mentalnie jest zdecydowanie bardziej w NATO niż wielu z nas. Takich dowódców nam potrzeba.



PIOTR BERNABIUK



BUZDYGANY 2014
Nagroda miesięcznika

BARTOSZ BERA

Fotograf z charakterem

Za entuzjazm w fotografowaniu polskiego wojska, szczególnie lotnictwa, dzięki któremu nie ustaje w poszukiwaniu tego jedyne­go i najlepszego ujęcia.

Bartek Bera to profesjonalista. Doskonale przygotowany do pracy, zdeterminowany. Bardzo komunikatywny i otwarty na nowe wyzwania. Ma niezbędną specjalistyczną lotniczą wiedzę. Podczas sesji zdjęciowych z powietrza tworzy z pilotami zgraną, w pełni odpowiedzialną załogę”, opisuje ppłk pil. Krzysztof Zwoliński, dowódca grupy działań lotniczych w 49 Bazie Lotniczej w Pruszczu Gdańskim. „Wielokrotnie lataliśmy razem w Afganistanie i podczas treningów w Polsce. Nie boi się żadnych wyzwań. Lotnictwo to jego pasja. Może dlatego tak dobrze się dogadujemy. Dla mnie to zaszczyt, że mogłem z nim współpracować”, dodaje por. pil. Sławomir Kalbarczyk z 49 Bazy.

Ma 32 lata. Pochodzi z Częstochowy, ale od 13 lat mieszka w Krakowie. Jest absolwentem handlu zagranicznego i pracuje w szwajcarskim banku inwestycyjnym. Kiedyś chciał zostać pilotem wojskowym, ale ze względu na wadę wzroku porzucił marzenia o mundurze. Dziś przyznaje, że byłby kiepskim żołnierzem. Klnie jak szewc, bywa krnąbrny i pyskaty.

Zdjęcia najczęściej robi „po godzinach”. Na hobby poświęca wszystkie wolne dni i urlopy. Fotografować zaczął w 2005 roku. Początkowo jako spotter „polował” na samoloty cywilne, później

wrócił do pasji z dzieciństwa i zajął się wojskiem. „Jeździłem na pokazy lotnicze, zacząłem odwiedzać bazy wojskowe. Przełomowym momentem była wizyta w 32 Bazie Lotniczej w Łasku. Wtedy zrozumiałem, że nie chcę już fotografować niczego innego”, wspomina Bera.

Zainteresowani wojskowością doskonale znają jego zdjęcia. Można je zobaczyć w polskich i zagranicznych magazynach. Bera jest pierwszym polskim fotografem, którego praca znalazła się na okładce prestiżowego pisma „Combat Aircraft”. Sam jednak przyznaje, że dla niego miarą sukcesu jest to, że fotografie jego autorstwa zdobiją ściany większości jednostek lotniczych w Polsce.

W domowych archiwach ma dziesiątki tysięcy zdjęć, głównie lotniczych. Specjalizuje się w sesjach „air to air”, czyli utrwalaniu aparatem jednego samolotu lub śmigłowca z pokładu drugiego. Latał nad Bałtykiem, Zatoką Gdańską, Kujawami, Drawskiem Pomorskim, Nadarzycami, Wędrzynem, zaporą w Niedzicy i klasztorem w Kalwarii Zebrzydowskiej. Śmigłowce i samoloty uwiecznił nad Krakowem, Warszawą. Fotografował także na Litwie i w Afganistanie. Spod Hindukuszu przywiózł jedno ze swoich najlepszych zdjęć. Na tle wschodzącego słońca nad afgańską pustynią złapał w kadrze dwa Mi-24.

„To pozytywnie zakręcony człowiek. Jak się dowiedział, że latamy na poligonie na północy Polski, wsiadł w samochód i gnał kilkaset kilometrów w jedną stronę. I to wszystko dla jednego dobrego ujęcia. Nie da się ukryć, że ma talent i dobre oko”, przyznaje kpt. pil. Jacek Janowski, pilot Mi-24 z 56 Bazy Lotniczej w Inowrocławiu. „Lubię jego zdjęcia. Wiele wisi u mnie w domu. Wśród nich jest jedno dla mnie wyjątkowe, zrobione podczas zajęć poligonowych w Nadarzycach. Bartek złapał w kadrze dwa śmigłowce. Mi-24 są gotowe do ataku i otwierają ogień”, przyznaje kpt. Janowski.

Najczęściej fotografuje śmigłowce. „To wdzięczne modele, bo mają piękną sylwetkę. Ładnie wyglądają w szyku, a do tego szybko startują i lądują. Fotografując je, trzeba jednak uważać, by osiągnąć kompromis między rozmyciem wirnika a ostrością całej sylwetki”, wyjaśnia. Nic zatem dziwnego, że robił zdjęcia dla wszystkich jednostek śmigłowcowych w Polsce. W kadrze uwiecznił także niemal każdy typ samolotu, który jest w wyposażeniu polskiego wojska. Fotografował z pokładu Mi-24, Mi-17, Mi-2, casy, turboleta, spartana oraz amerykańskiego samolotu tankowca. Jego niespełnionym marzeniem jest zrobienie w powietrzu sesji Su-22 i polskiego F-16. Najbardziej cieszą go zdjęcia wykonane właśnie w taki sposób: „Z powietrza fotografowałem już wiele razy. Szczególnie wymagające są jednak sesje przygotowywane specjalnie dla fotografów. Wówczas nie ma miejsca na pomyłki i przypadkowość. Praca musi być starannie zaplanowana i co do minuty przemyślana. Trzeba zwrócić uwagę na położenie samolotu względem słońca, ważne są też manewry, które w locie wykonuje samolot nosiciel. W takich sytuacjach główną przeszkodą są spaliny i bardzo niska temperatura”, opowiada fotograf.

„Żeby zrobić dobre zdjęcie, najpierw trzeba poznać śmigłowce i samoloty, bo fotografowanie na pokładzie jest wymagające”, dodaje. I tak, jego ulubionym Mi-24 lata się bardzo przyjemnie, ale zdjęcia robi dość ciężko, tylko przez okienka, co ogranicza pole widzenia, a żeby widok był lepszy, trzeba kłęczeć. Nieco lepiej jest w W-3, bo fotograf przypina się specjalną uprząż i może usiąść w drzwiach. W przypadku Mi-2 ta praca może być wyzwaniem. „Większe okienko jest tylko z prawej strony śmigłowca. Przy wolniejszym locie spaliny układają się niekorzystnie, a poza tym mocno trzęsie”, opisuje Bera. Nie ma za to problemów na pokładzie Mi-17. Zdjęcia można zrobić przez okienka dla strzelców lub przez otwartą rampę.

W 2013 roku zaczął fotografować polskie wojska specjalne. Był współautorem kampanii promującej „Wojsko Polskie – Twoja armia@”. Robił wówczas zdjęcia wszystkim naszym jednostkom specjalnym. Zachwycił się GROM-em i Formozą. „Operatorzy Formozy łapałem w kadrze, kiedy pędziliśmy łodzią po Zatoce Gdańskiej. Emocje były ogromne. Płynęliśmy kilkadziesiąt kilometrów na godzinę. Istniało spore ryzyko, że wpadnę do wody albo w najlepszym wypadku zamoczę aparaty”, wspomina. Łatwiej nie było także podczas sesji z jednost-

Na swoim koncie ma dziesiątki tysięcy zdjęć. Fotografuje żołnierzy wojsk specjalnych, lecz najbardziej pasjonuje go lotnictwo. Jego specjalnością są sesje powietrzne „air to air”.



ARCH. BARTOSZA BERY

ką GROM. Bera dołączył do szkolenia operatorów w tzw. killing house. „Strzelali ostrą amunicją, więc pewnie trochę ryzykowałem. W którymś momencie postanowiłem wejść do środka budynku i od wewnątrz złapać w kadrze moment, kiedy operatorzy wysadzają drzwi. Takich emocji jeszcze nigdy nie przeżyłem”, przyznaje.

„Bartek na planie jest niezmordowany. Nigdy nie robi przerw w pracy, cały czas szuka nowego ujęcia. Ma pełno pomysłów, a przy tym zaraża energią innych ludzi”, opisuje fotografa Norbert Rudaś, reżyser i scenarzysta. Z kolei ppłk Krzysztof Płażuk, rzecznik prasowy Centrum Operacji Specjalnych, ceni w Berze przede wszystkim profesjonalne przygotowanie do każdego zadania. „Niezmienne taktowny, spokojny i pełen zapału do roboty. Jestem przekonany, że nasze ograniczenia związane ze specyfiką wojsk specjalnych nie wzbudzały jego entuzjazmu, ale nie dał tego po sobie poznać”, mówi ppłk Płażuk. „I nigdy nie gwiazdorzył. Widać, że kocha to, co robi. A robi naprawdę dobre zdjęcia”.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



BUZDYGANY 2014
Nagroda miesięcznika

PŁK DR N. MED. ROBERT BRZozowski

Eskulap na misji

*Za wyjątkowe doświadczenie medyczne
w sytuacjach bojowych, dzięki
któremu w kraju stworzył Zakład
Medycyny Pola Walki.*

Miał największe doświadczenie, więc w bazie w Ghazni operował najczęściej rannych. Płk. dr. n. med. Roberta Brzozowskiego amerykańscy medycy prosili o wsparcie przy stole operacyjnym. Zakład Medycyny Pola Walki Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie to jego „dziecko”. W 2010 roku pułkownik dostał rozkaz stworzenia placówki, która zbierze doświadczenia z misji wojennych, aby przekazywać je wojskowej i cywilnej służbie zdrowia. Zespół tworzy kilka osób, które (podobnie jak kierujący nim płk Brzozowski) poznały specyfikę służby na misji na własnej skórze. Teraz popularyzują wiedzę na temat stosowania nowoczesnych „wojskowych” metod leczenia w medycynie cywilnej. W zakładzie opracowano między innymi siedem autorskich warsztatów szkoleniowych dla ratowników.

Jak tłumaczy doktor, urazy w Afganistanie mają inny charakter niż te, na które jesteśmy narażeni w życiu codziennym. Są to najczęściej obrażenia wielonarządowe. „Rozległe ubytki ściany klatki piersiowej czy uszkodzenia jelita cienkiego

i grubego spowodowane postrzałem w brzuch po raz pierwszy zobaczyłem w Afganistanie”, wspomina Robert Brzozowski. „Musieliśmy działać szybko i zdecydowanie. Początkowo uczyłem się tego od amerykańskich lekarzy, potem postarałem się, aby te doświadczenia zostały wykorzystane w polskich szpitalach”.

Po raz pierwszy przyjechał do Afganistanu w 2010 roku. Przez kolejne lata wracał do bazy w Ghazni jeszcze cztery razy. W czasie VIII zmiany był szefem zespołu chirurgicznego. Na X szkolił personel medyczny szpitala polowego. Podczas XI zmiany został kierownikiem gabinetu radiologicznego (znał się świetnie na ultrasonografii i radiologii). Na XII zaś dowodził szpitalem polowym w Ghazni. Na XIV ponownie został szefem zespołu chirurgicznego i zastępcą komendanta szpitala.

Gdy w 2010 roku w bazie Ghazni wylądował samolot, na którego pokładzie znajdował się płk Brzozowski, internista ppłk Sławomir Pieniąta, dowódca grupy zabezpieczenia medycznego, tworzącej polski szpital polowy, wiedział, że



*Poznał życie na wojnie
i zdobył doświadczenie
w warunkach bojowych.*

z kraju przyleciał dobry chirurg. Mimo że w Polsce kończyli tę samą uczelnię, spotkali się dopiero w Afganistanie. Pracowali razem na VIII i XIV zmianie. „Gdy Robert pełnił dyżur, mogłem być spokojny, że ranni żołnierze z pola walki uzyskają najlepszą pomoc”, wspomina ppłk Pieniuta, który dziś pełni obowiązki zastępcy komendanta 4 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką we Wrocławiu.

Noc z 22 na 23 stycznia 2013 roku należała do tych, których się nie zapomina. Komandosi z grupy szturmowej wojsk specjalnych wpadli wówczas w zasadzkę, zostali ostrzelani z broni małokalibrowej i zaatakowani granatami. Rany odniosło dziesięciu żołnierzy, a najcięższe kpt. Krzysztof Woźniak, który jako pierwszy dostał się pod ogień talibów. Mimo że natychmiast przetransportowano go do polskiego szpitala w bazie Ghazni, zmarł podczas reanimacji. Lekarze uratowali życie pozostałych dziewięciu komandosów. Jak wspomina płk Brzozowski, nigdy wcześniej w polskim szpitalu w bazie w Ghazni nie było jednocześnie tylu rannych Polaków.

„Na misji zawsze musisz być w pełnej gotowości. Nawet jak masz dzień wolny, w każdej chwili może przyjść sygnał, że jest potrzebna dodatkowa pomoc. To olbrzymia odpowiedzialność i nieustanny stres. Ale też niesamowita satysfakcja z dobrze wykonanej pracy”, mówił płk Brzozowski w jednym z wywiadów dla „Polski Zbrojnej”.

Jego pacjentami w szpitalu w bazie wojskowej w Ghazni byli nie tylko Polacy, lecz także Afgańczycy: żołnierze, policjanci i cywile, także dzieci – ofiary min, wybuchów, postrzałów. „Moją pierwszą pacjentką była kilkuletnia dziewczynka. Dostała rykoszetem w brzuch podczas wymiany ognia między policją a talibami. Wcześniej nie operowałem dzieci, ale zabieg się udał, wyciąłem część jelita i usunąłem pocisk”, wspomina płk Brzozowski.

Mimo że lekarze rzadko opuszczali bazę, bo pomagali rannym głównie w szpitalu polowym, ich życie także było zagrożone. Do campu mogła dolecieć talibska rakietka, a alarm przeciwrakietowy mógł zostać ogłoszony w trakcie

operacji ciężko rannego. Co wtedy zrobić: zostawić pacjenta z otwartym brzuchem, żeby samemu się schować? „Doktor Brzozowski nie bał się operować pod ostrzałem, choć zdawał sobie sprawę z ryzyka. Wysyłał mniej potrzebny personel do schronu, a sam kontynuował zabieg”,

opowiada „Wir”, ratownik medyczny pola walki, żołnierz Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu, który pracował z nim na VIII, X i XII zmianie PKW Afganistan. „Wir” latał śmigłowcem medevacu, dostarczał rannych żołnierzy do szpitala, obserwował, jak doktor im pomagał. „Robił to z wielką pasją”, podkreśla.

„Jest ciepłym i otwartym człowiekiem, ale jako chirurg przy stole operacyjnym koncentruje się na pacjencie. Staje się wtedy bardzo restrykcyjny, wymagający i surowy. I nie ma w tym wcale sprzeczności”, opowiada dr Sławomir Pieniuta. Jak mówi, w ciągu dwóch lat, które spędził w szpitalu polowym w Ghazni, tylko raz był świadkiem tego, że Amerykanie dopuścili kogoś obcego do stołu operacyjnego. Tym kimś był dr Brzozowski. „Poprosili go o pomoc przy operacji amerykańskiego żołnierza, co było dużym uznaniem dla jego umiejętności”, wspomina dr Pieniuta.

„Pewna ręka i zdecydowanie. Wie, co robi i czego oczekuje. Nie boi się podejmować szybko decyzji w sytuacji, gdy wielu lekarzy by się poddało” – tak zawodowe umiejętności przyjaciela charakteryzuje ppłk rez. prof. Waldemar Machała, szef Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii Szpitala im. Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, który jako anestezjolog przez kilka miesięcy współpracował z płk. Brzozowskim na XI zmianie PKW Afganistan. „Wielu zawdzięcza mu życie”, dodaje. I dorzuca: „Jest też koleżeński i można na nim polegać”.

„Robert Brzozowski poznał życie na wojnie i zdobył doświadczenie w warunkach bojowych. Pomagał rannym żołnierzom i za to jest szanowany w naszym środowisku”, podsumowuje „Wir”.

EWA KORSAK

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER



BUZDYGANY 2014
Nagroda miesięcznika

KPR. TOMASZ CIACH

Żołnierz uporządkowany

Za to, że sprawdził się w trudnych i dramatycznych chwilach na misji i jest znakomitym szkoleniowcem strzelców wyborowych.

Do wyróżnienia Buzdyganem „Polski Zbrojnej” kpr. Tomasz Ciach dorastał rok po roku – poprzez oddanie służbie, fanatyczne niemalże podejście do szkolenia, odwagę połączoną z rozsądkiem w trudnych chwilach, podczas operacji bojowych w Iraku i Afganistanie. Kpr. Robert Derewońko „Derek” i st. szer. Przemysław Białek „Biały”, którzy przeżyli z nim najtrudniejsze chwile, mówią, jaką pewnością siebie dawał im jako dowódca w boju i jak wspianym jest przyjacielem.

Jak większość żołnierzy 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, miał okazję służyć w misjach irackiej i afgańskiej. Brał udział w setkach patroli i dziesiątkach operacji bojowych. Podczas zmasowanego ataku rebeliantów na bazę Ghazni 28 sierpnia 2013 roku kpr. Tomasz Ciach odegrał znaczącą rolę w obronie wysuniętej pozycji, zwanej hotelem. Dowodził swoją sekcją strzelców wyborowych, uczestniczył w wymianie ognia, osłaniał wycofanie rannych, wprowadzał idące z odsieczą siły szybkiego reagowania (Quick Reaction Force – QRF) razem z zespołem MEDEVAC. Wykazał się inicjatywą, rozsądkiem i zimną krwią w najtrudniejszych momentach.

Argumenty rekomendujących kpr. Ciacha do Buzdygana „Polski Zbrojnej” nie ograniczają się

jednakże do dokonań na polu walki. Zwracają oni uwagę na prowadzenie na najwyższym poziomie kursów strzelców wyborowych, wspominają o profesjonalnym opracowaniu tabel strzeleckich czy skryptu snajperskiego.

Mjr Przemysław Wardowski, twórca idei, a następnie systemu szkolenia strzelców wyborowych w 25 BKP, uważa kpr. Ciacha za swój osobisty sukces wychowawczy i określa go jako żołnierza kompletnego: „Tomek ma w sobie wszystkie cechy znakomitego żołnierza i przez to jest właśnie wyjątkowy. Jest człowiekiem o głębokich przekonaniach patriotycznych, przeświadczonym o słuszności sprawy, w którą się angażuje, i ogromnie lojalnym wobec dowódców”.

Urodzony żołnierz? Otóż To-



ARCH. TOMASZA CIACHA

*Nie marzył od dzieciństwa
o mundurze. To był
zaledwie plan B. Wojsko
stało się jednak całym jego
życiem.*

masz Ciach wcale nie marzył od dzieciństwa o służbie wojskowej. Zamiłowanie miał do informatyki i za najważniejszy cel uważał ukończenie studiów. Służba wojskowa stanowiła w jego życiowych projektach co najwyżej plan B. Skorzystał z niego, gdy na trzecim roku stwierdził, że ma już dość łączenia nauki z pracą w hipermarkecie budowlanym i treningiem zapaśniczym. Bez wahania wybrał wówczas kawalerię powietrzną. Jako postać wybijająca się posturą, siłą i sprawnością, został celowniczym karabinu maszynowego pk w 3 Szwadronie 7 Batalionu 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Wkrótce został żołnierzem nadterminowym, a zaraz potem, w 2007 roku pojechał na misję do Iraku. Jeszcze przed wylotem przeżył chwile strachu: „Podczas zawodów złapałem paskudną kontuzję kolana i bałem się, że szwadron poleci, a mnie zostawią w Tomaszowie”.

W czasie misji rola celowniczego karabinu maszynowego była niewdzięczna – kiedy na patrolach stał w wieży, nieustannie prowadził obserwację otoczenia i był gotów w każdej chwili do otwarcia ognia. Na jego oczach zginął najlepszy przyjaciel, kpr. Piotr Nita: „Widziałem, jak po ataku wyciągają Piotrkę z płonącego samochodu. Ułożyli go na ziemi. Miałem nadzieję, że jest ranny i się z tego wygrzebie. Byliśmy jedną paką – z Piotrkim, z »Białym«, z Tomkiem Jurą. Razem się szkoliliśmy i chodziliśmy na imprezy”. To się zdarzyło 7 lutego, a 20 kwietnia poległ Tomasz Jura.

Śmierć przyjaciół miała dla kpr. Ciacha przełomowe znaczenie. Mówi o swojej reakcji po tragedii, o ówczesnych przemyśleniach: „Od razu po wypadku była we mnie taka złość, że chciałem się tłuc ze wszystkimi. Dopiero gdy jako najbliżsi koledzy nieśliśmy trumnę, dotarło do nas, co się stało. Wtedy zeszła ze mnie ta wściekłość. Nie myślałem po tej tragedii, by się wycofać ze służby, znaleźć mniej ryzykowne zajęcie. Wręcz przeciwnie, w Iraku przekonałem się, że jestem we właściwym miejscu”.

Po powrocie do kraju, w grudniu, mjr Wardowski zabrał go, już jako żołnierza zawodowego, do „wilczego stada”, zespołu strzelców wyborowych: „Czułem się, jakbym Pana Boga za nogi złapał. Miałem karabin SWD – pamiętam do dziś numery RI 273, rok produkcji 1978. Z jednej strony zaczęło się szkolenie – non stop dobówki, wyjazdy na poligon, a z drugiej zdarzyłem się z bardzo wysokimi wymaganiami, ale i nietuzinkowym podejściem do żołnierzy”.

Pamięta, jaki szok przeżyli, gdy Wardowski wziął ich ze sobą do Gliwic, by poprowadzić kurs snajperski dla żołnie-

rzy 6 Brygady Powietrznodesantowej: „Kto ma poprowadzić kurs? My? »Ciachu«, »Biały«, »Krawcu«, »Leny«... Starsi szeregowi? Strasznie się spięliśmy, czytaliśmy dużo fachowej literatury, a ze szczególną uwagą »The Ultimate Sniper« Johna Plastera, czyli biblię snajperów po angielsku. Staraliśmy się tak zaplanować szkolenie, żeby przekazać maksimum wiedzy, którą zdobyliśmy na szkoleniu z kapitanem. Kurs był naprawdę ciekawy, wręcz porywający! Uczestnicy anonimowo oceniali naszą robotę. Przechowuję te kartki do dziś, bo opinie były bardzo pozytywne”.

Tak naprawdę skrzydła rozwinął po szkole podoficerskiej, którą ukończył jako dowódca sekcji strzelców wyborowych. Po niej prowadził kursy w brygadzie, w swoim batalionie i w batalionie dowodzenia: „Zawsze czuliśmy się odmieńcami. Jeszcze w kraju, w jednostce, mówili o nas »matriksy«. Znikaliśmy w poniedziałek rano w lesie, a wracaliśmy w piątek brudni, śmierdzący, z przekrwionymi oczami, ale z poczuciem wielkiego spełnienia, że stajemy się coraz lepsi w robocie, którą kochamy”.

Podobnie było w Afganistanie: „Wychodziliśmy za bazę przeważnie w nocy, a nad ranem wracaliśmy. Choć zdarzało się nam siedzieć cały dzień na słońcu, aby zejść niezauważonym po zmroku. W każdej wolnej chwili staraliśmy się odsypiać, bo nigdy nie było wiadomo, co przyniesie następna godzina”.

„Tomek musi mieć wszystko uporządkowane”, opisuje mjr Wardowski. „Jeżeli coś było robione na wariata, to musiał sobie poszczególne zadania ułożyć po kolei. Jak była robota, to siedział nad dokumentami, nie szedł do domu. A jednocześnie to wojownik, który bez wahania pójdzie do walki z nożem w zębach. Przy tym jest bystry, inteligentny. Gdyby dokończył studia, mógłby być znakomitym oficerem”.

Kpr. Tomasz Ciach za służbę w misjach został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Krzyża Wojskowego, Gwiazdą Afganistanu i medalem ISAF, amerykańskim odznaczeniem za udział w operacji sił wsparcia bezpieczeństwa NATO. Jako znakomity szkoleniowiec z dziedziny działań strzelców wyborowych i snajperki dowodzi teraz drużyną rozpoznawczą. Po odejściu z jednostki mjr. Przemysław Wardowski zaniechano szkolenia strzelców wyborowych. ■

PIOTR BERNABIUK



BUZDYGANY 2014
Nagroda miesięcznika

KMDR POR. PIOTR SIKORA

Promotor marynarki

Za nieprzeciętne umiejętności dowódcze podczas misji natowskich, zarówno na lądzie, jak i w morzu, które są znakomitą promocją polskiej marynarki wojennej.

Koledzy i współpracownicy mówią o nim w samych superlatywach: doskonale zorganizowany, kulturalny i najważniejsze – na robocie się zna, jak mało kto. Paradoksalnie, choć jest marynarzem z krwi i kości, urodził się i dorastał z dala od morza. Na świat przyszedł 46 lat temu w Paczkowie, nieopodal polsko-czeskiej granicy. Uczył się w Liceum Ogólnokształcącym Carolinum im. Jana III Sobieskiego w Nysie. Już wówczas jednak ciągnęło go nad morze. Czas wolny poświęcał największej pasji – żeglarsztwu. Dwukrotnie jako jeden ze zwycięzców konkursu nawigacyjnego wziął udział w rejsach szkoleniowych na pokładzie żaglowca „Dar Młodzieży”. W 1988 roku Sikora postawił kropkę nad „i”. Wstąpił do Akademii Marynarki Wojennej.

Służbę w marynarce wojennej rozpoczął od 9 Flotylli Obrony Wybrzeża w Helu. Początkowo pełnił tam obowiązki dowódcy działu rakietowo-artyleryjskiego i broni podwodnej na okrętach obrony przeciwminowej 13 Dywizjonu Trałowców. Potem został zastępcą dowódcy trałowca ORP „Śniardwy”, wreszcie sam zaczął dowodzić tym i kolejnymi okrętami – niszczycielami min OORP „Flaming”, „Czajka”, trałowcem ORP „Mamry” (kierował też poczynaniami 1 Okrętowej Grupy Trałowej).

Był świadkiem i uczestnikiem przełomowych dla marynarki wydarzeń. Jako dowódca niszczycieli min dwukrotnie brał udział w Stałym Zespole Sił Obrony Przeciwminowej NATO Europy Północnej. „Dla nas był to przede wszystkim czas nauki”, wspomina. Musiała ona jednak przebiegać dobrze, bo już w 2005 roku Sikora, wówczas komandor podporucznik, został skierowany do sztabu natowskiego zespołu, który pracował na estońskim okręcie dowodzenia ENS „Admiral Pitka”. Zdobyte wówczas doświadczenie okazało się bezcenne, gdy kilka lat później obejmował samodzielne dowództwo nad Stałym Zespołem Sił Obrony Przeciwminowej NATO Grupa 1 (SNMCMG1).

Okrętem flagowym zespołu była wtedy polska jednostka ORP „Kontraadmirał Xawery Czernicki”. To właśnie na niej mieścił się sztab, którego pracami kierował awansowany do stopnia komandora porucznika Sikora. Misja rozpoczęła się w styczniu 2013 roku i trwała prawie 12 miesięcy. W tym czasie okręty wchodzące w skład tego zespołu operowały na Bałtyku, Morzu Północnym i Oceanie Atlantyckim. Łącznie pokonały 16,7 tys. Mm. Strzegły bezpieczeństwa szlaków żeglugowych, a na wodach Wielkiej Brytanii, Holandii, Belgii i Litwy ich załogi zlikwidowały niewybuchy z czasów II wojny światowej, które w sumie zawierały

kilka ton niebezpiecznych materiałów. Brały też udział w licznych międzynarodowych manewrach, między innymi „Steadfast Jazz” u wybrzeży Polski, „Joint Warrior” na Atlantyku czy „Northern Coasts” w pobliżu Szwecji.

Jak przyznają marynarze, którzy uczestniczyli w misji, pracy było mnóstwo, ale dowódca bardzo szybko ją sobie poukładał. „Myślał z dużym wyprzedzeniem i dobrze planował. Pamiętał o rzeczach kluczowych, takich jak pogoda, długość dnia. A przy tym nie tracił z oczu detali związanych choćby z logistyką”, wspomina kpt. mar. Piotr Wojtas, który przez część misji SNMCMG1 był oficerem prasowym zespołu. „Kiedy przystępowaliśmy do operacji przeciwninowej, dobrze wiedzieliśmy, co faktycznie jesteśmy w stanie zrobić i jak się do tego zabrać”, dodaje.

Dowódca, co podkreślają uczestnicy misji, w każdych okolicznościach starał się integrować zespół. Dbał o to przede wszystkim na morzu. Okręty miały poruszać się w grupie, a prędkość zawsze była dostosowana do najwolniejszego. „Chodziło o to, by jednostki nie zostały same w razie jakichś problemów, na przykład awarii czy pożaru. Marynarze mieli dawać z siebie wszystko, a jednocześnie czuć się maksymalnie komfortowo”, podkreśla kpt. mar. Wojtas.

Na tym jednak nie koniec. Kmdr por. Sikora bardzo dużą wagę przykładał do dyplomatycznego wymiaru misji. „Zależało mu na tym, by pokazać ludziom, kim jesteśmy, co i dlaczego robimy. Dlatego pozostawał otwarty na media i gości, którzy podczas wizyt w portach chcieli odwiedzić okręty”, tłumaczy kpt. mar. Wojtas. Istotne znacznie miały również spotkania polskich marynarzy z przedstawicielami emigracji, zwykle planowane z wyprzedzeniem, oraz wizyty w ważnych dla historii Polski miejscach. Kiedy na przykład okręty zespołu zacumowały w Belgii, marynarze pojechali do Tielt. Tam złożyli kwiaty pod pomnikiem Wolności, który mieszkańcy wzniesli w hołdzie polskiemu żołnierzom. Odwiedzili też muzeum w Agedem poświęcone polskiemu i kanadyjskim wojskowym.

Kilka miesięcy później doszło do niecodziennego wydarzenia – okręty NATO weszły do portu w Sankt Petersburgu, a potem ćwiczyły wspólnie z jednostkami rosyjskimi. Działo się to rzecz jasna jeszcze przed pogorszeniem wzajemnych stosunków, ale i tak misja była wyjątkowo delikatna. „Rosjanie nie zgadzali się, by na ich wodach przebywały jednocześnie więcej niż cztery okręty sojuszu”, wspomina kpt. mar. Wojtas. Tym razem zespół musiał się podzielić. Dowódca zadbał jednak o to, by nikt nie czuł się poszkodowany czy mniej ważny od partnerów. Część okrętów weszła do Sankt Petersburga, pozostałe czekały w Kłajpedzie. Wkrótce doszło do wymiany. Podczas wizyty w Rosji delegacja SNMCMG1 uczciła również pamięć ofiar oblężenia Leningradu. Gest ten został doceniony podczas szczytu NATO–Rosja.

Kmdr por. Sikora służył też na wielu stanowiskach na lądzie. Był między innymi specjalistą Wydziału Broni Morskich Szefostwa Szkolenia Dowództwa Marynarki Wojennej. Odpowiadał tam za udział polskich okrętów w ćwiczeniach i operacjach rozminowywania NATO i „Partnerstwa dla pokoju”, a także egzaminach w ośrodku szkoleniowym Mine Countermeasure Vessels Operational Sea Training w Zeebrugge. Jednocześnie przez cały czas się dokształcał – ukończył na przykład specjalistyczne kursy bojowego użycia uzbrojenia minowego czy planowania operacji. Wiedzę uzupełniał w akademii obrony w Rydze oraz Szkole Wojny Minowej EGUERMIN w Ostendzie.

W 2010 roku został zastępcą dowódcy, a w 2014 roku dowódcą 13 Dywizjonu Trałowców. „To człowiek odpowiedzialny, rzeczowy, kompetentny i uprzejmy. Zresztą na tym poziomie w armii nie ma już miejsca na krzyki i obelgi. Podwładnych trzeba szanować, bo wszyscy oni pracują na renomę jednostki, a więc także jej dowódców. Kmdr Sikora doskonale to rozumie”, podkreśla kmdr ppor. Arkadiusz Kurdybelski, zastępca dowódcy 13 Dywizjonu. W podobnym tonie wypowiada się kmdr Zygmunt Białogłowski, szef sztabu 8 Flotylli Obrony Wybrzeża (to właśnie w jej skład wchodzi 13 Dywizjon). „Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Zasługuje na wyróżnienie. Tym bardziej że to dobry czas, by zauważyć i promować marynarkę wojenną i ludzi, którzy ją tworzą”.

Kmdr por. Sikora podkreśla: „Buzdygan to właściwie nagroda dla całego dywizjonu, no i naszych rodzin. Bywa, że spędzamy na morzu długie miesiące, a nasi bliscy muszą sobie wówczas jakoś radzić w codziennym życiu. Chciałbym, aby wszyscy oni poczuli się docenieni”.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Jest marynarzem z krwi i kości, choć dorastał z daleka od morza. A od roku pełni obowiązki dowódcy 13 Dywizjonu Trałowców.



MARIAN KLUCZYŃSKI



BUZDYGANY 2014 Nagroda miesięcznika

SOYERS

Komandos uniwersalny

*Za mistrzostwo w elitarnej sztuce
naprowadzania lotnictwa na cele naziemne
oraz przekazywanie imponującego
doświadczenia zdobytego na misjach.*

To była jego najtrudniejsza operacja. Na początku 2013 roku stacjonujący w Afganistanie komandosi z Task Force 50 przygotowywali się do schwytania jednego z najgroźniejszych talibskich terrorystów. Zadaniem Soyersa było zapewnienie wsparcia powietrznego, które miało skutecznie zabezpieczyć działania komandosów. Operator przez kilka dni ustalał szczegóły, aby śmigłowce transportowe i bojowe, myśliwce, uzbrojone bezzałogowce, samoloty zakłócające i wywiadowcze pojawiły się w konkretnie wskazanym miejscu i w precyzyjnie wyznaczonym czasie. Gdy wszystko było już gotowe, ruszył na akcję z pozostałymi komandosami. Zakończyła się ona sukcesem. „Użycie środków bojowych z powietrza to ostateczność”, mówi Soyers. „Czasami jednak nie ma wyjścia. Kilkakrotnie przeprowadziłem bojowe naprowadzania, ale takie operacje trzeba starannie rozważyć i zaplanować, żeby przypadkiem nie ranić wojsk własnych ani żadnych cywilów”.

38-letni Soyers jest jednym z najbardziej doświadczonych żołnierzy Jednostki Wojskowej Komandosów w Lublińcu. W armii służy od 18 lat. Siedmiokrotnie był w Afganistanie, gdzie spędził w sumie niemal cztery lata. Na misjach wziął

udział w przeszło 200 operacjach specjalnych najwyższego ryzyka.

„Każdy z moich podwładnych na swój sposób jest wyjątkowym żołnierzem, specjalistą w swoim fachu. Prawda jest jednak taka, że są też »najlepsi wśród najlepszych« i kimś takim jest właśnie Soyers”, mówi „Biały”, dowódca zespołu bojowego A z JWK, i dodaje: „To doskonały operator, jeden z pierwszych JTAC-ów [od joint terminal attack controller] w naszej jednostce i pierwszy podoficer mentor, który zajął się wsparciem militarnym na bardzo wysokim poziomie. Soyers jest także ogromnie pomocny dla mnie jako dowódcy. W każdej chwili mogę skorzystać z jego doświadczenia”.

Od dziecka interesował się historią oręża i marzył o wojsku. Wychowywany w duchu patriotycznym (jego przodkiem był hetman kozacki z XVII wieku, który wielokrotnie występował w obronie Rzeczypospolitej przed wojskami moskiewskimi i tureckimi), zaraz po skończeniu liceum zgłosił się do Wojskowej Komendy Uzupełnień w Wejherowie. „Do WKU chodziłem kilkadziesiąt razy”, wspomina komandos. „Przeszedłem wszystkie możliwe badania dopuszczające mnie między innymi do wykonywania skoków spadochronowych i nurkowania. Chciałem dostać się do jednostki po-

wietrznodesantowej, ale komenda, obiecując ciekawą służbę, skierowała mnie do 1 Pułku Specjalnego w Lublińcu”.

W Lublińcu zameldował się 5 marca 1997 roku. Przeszedł służbę zasadniczą, nadterminową, a później został żołnierzem zawodowym. „Widziałem, jak zmienia się ta jednostka. Jestem dumny, że po tyłu reformach i transformacjach nadal jestem jej częścią. Dziś z przekonaniem mogę powiedzieć, że służę w jednej z najlepszych jednostek w Polsce”, dodaje. Na początku służby wyszkolił się jako skoczek spadochronowy, pletwonurek, a później jako nurek bojowy. Pod wodą spędził już ponad 1000 godzin. Przyznaje, że bycie pletwonurkiem ukształtowało jego charakter. „To jedna z najtrudniejszych specjalności ogólnowojskowych. Wymaga zarówno samodzielności, jak i współdziałania w grupie. Do takiej służby trzeba mieć predyspozycje i być zdyscyplinowanym”, uzupełnia Soyers.

Po dwóch misjach w Afganistanie rozpoczął szkolenie w nowym kierunku. Nauczył się angielskiego i ukończył kurs dla wysuniętych nawigatorów naprowadzania lotnictwa, tzw. JTAC-ów. Wkrótce przetestował zdobyte umiejętności. Pojechał do Afganistanu po raz trzeci. Tym razem jednak nie z komandosami, lecz z wojskami lądowymi, bo w składzie kontyngentu brakowało wyszkolonych JTAC-ów.

Jak pracuje na misjach? Przede wszystkim odpowiada za skoordynowanie wsparcia lotniczego. Jednym z podstawowych obowiązków JTAC-a jest planowanie i zgłaszanie zapotrzebowania na statki powietrzne, czyli środki do przerzutu wojsk własnych i wsparcia operacji, następnie doradzanie dowódcy w sprawach wykorzystywania lotnictwa oraz skutków jego użycia, zapewnienie bezpieczeństwa wojskom własnym oraz statkom powietrznym, a wreszcie naprowadzanie lotnictwa na cele naziemne. JTAC jest osobą upoważnioną do wydania zgody na otwarcie ognia do celów naziemnych przez załogę statku powietrznego.

„Naprowadzanie lotnictwa na cel to niezwykle trudne i odpowiedzialne zadanie. Trzeba wziąć pod uwagę wysokość i położenie lecących samolotów i być maksymalnie skoncentrowanym. Pracuje się jednocześnie na kilku płaszczyznach. Po angielsku rozmawia się z załogami samolotów i śmigłowców, a po polsku ze swoim dowódcą. Trzeba przy tym śledzić każdy ruch na ziemi i w powietrzu”, opisuje Soyers. O tym, że naprowadzanie lotnictwa jest absorbujące, przekonał się już kilkakrotnie, gdy skoncentrowany na swojej pracy, nie zauważył bezpośredniego zagrożenia. „Zdarzyło się, że kolega rzucił się na mnie i zasłonił własnym ciałem, bo rozpoczął się ostrzał. Czasami wystarczą sekundy nieuwagi”, wspomina.



Soyers jest mentorem, nurkiem i jednym z pierwszych JTAC-ów w Jednostce Wojskowej Komandosów.

Komandos na swoim koncie ma kilka naprowadzeń, które zakończyły się skutecznym użyciem uzbrojenia. Ale, jak wyjaśnia, dla JTAC-a to ostateczność. „Woj-ska specjalne działają małymi grupami. Zwykle nie dopuszczamy do kontaktu bezpośredniego, bo to oznacza dekonspirację naszej misji. Wsparcie powietrzne staje się jednak prawdziwym błogosławieństwem, kiedy dostajemy się pod silny ogień przeciwnika. Kilkakrotnie przekonał się o tym w Afganistanie”.

Zanim jednak JTAC ruszy na akcję ze swoim pododdziałem, musi ją starannie przygotować. Zwykle planuje z kilkudniowym wyprzedzeniem. Kiedy jego koledzy odpoczywają przed walką, on siedzi w centrum operacyjnym (tactical operation center – TOC) i ustala szczegóły. „Nie ma się kiedy wypaść. Telefon się urywa. Trzeba wszystko zaplanować co do minuty. Koledzy zawsze żartowali, że jeśli w centrum dzwoni telefon, to wiadomo, że do JTAC-a”, wspomina.

„Od 2014 roku Polska jest w NATO państwem wiodącym w dziedzinie operacji specjalnych. Między innymi przewożymy siłom specjalnym innych państw. Naszym atutem w tych relacjach jest wiedza i doświadczenie”, mówi dowódca JWK, płk Wiesław Kukuła. „Ludzie tacy jak Soyers budują zaufanie do nas. Nie każdy to potrafi”.

Obecnie w jednostce zajmuje etat JTAC-a i mentora. Odpowiada za szkolenie, przygotowanie i prowadzenie zajęć, między innymi w dziedzinie planowania i wykorzystania środków wsparcia powietrznego, a także w posługiwaniu się bronią i strzelaniu. W 2014 roku brał udział w przygotowaniu chorwackich sił specjalnych do służby w Afganistanie. Razem z kolegami z jednostki uczył Chorwatów taktyki, przepisów, ale przede wszystkim tego, w jaki sposób powinni szkolić afgańskie siły bezpieczeństwa. Po certyfikacji Polacy i Chorwaci razem pojechali do Afganistanu, gdzie przez kilka miesięcy doradzali tamtejszym jednostkom w planowaniu i prowadzeniu operacji oraz je wspomagali. Niespełna rok później szkolili żołnierzy brazylijskich sił specjalnych.

„Jako mentor dysponuje wyjątkowym doświadczeniem. Charakteryzuje go cierpliwość i wręcz niewiarygodna umiejętność prostego wytłumaczenia najbardziej skomplikowanych procedur. Podziwiam go za sposób, w jaki niweluje bariery językowe i kulturowe. Podoficerowie tacy jak on są prawdziwymi ambasadorami w mundurach”, przyznaje płk Wiesław Kukuła. Koledzy z zespołu bojowego cenią go przede wszystkim za otwartość, gotowość niesienia pomocy i ogromną wiedzę. „Ma imponujące doświadczenie i konsekwentnie dąży do wyznaczonego celu. Jest wszechstronnie wyszkolony. To uniwersalny żołnierz”, opowiada jeden ze specjalistów i dodaje: „Jest bardzo lubiany i szanowany. Ciężko pracował na swój autorytet”.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



BUZDYGANY 2014
Nagroda miesięcznika

PŁK MARCIN SZYMAŃSKI

Oficer kompletny

Za to, że przyczynił się do sukcesu polskich wojsk specjalnych na arenie międzynarodowej i za inicjatywę współpracy środowiska akademickiego z wojskiem.

To człowiek z ogromną wiedzą, otwartym i analitycznym umysłem. Świetnie zorganizowany, prezentujący nowoczesne sposoby kierowania pracą sztabu. Może służyć za wzór innym żołnierzom. Płk Marcin Szymański to perfekcjonista. Jest uosobieniem wszystkich najlepszych cech składających się na etos zawodu oficera”, zapewnia gen. bryg. Jerzy Gut, dowódca Centrum Operacji Specjalnych – Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych.

Kilkanaście lat był związany z jednostkami lądowymi, a od czterech nosi beret specjalsów. Do Dowództwa Wojsk Specjalnych dołączył w najgorętszym okresie jego funkcjonowania. „Mieliliśmy różnego rodzaju kursy, ćwiczenia i konferencje. Przygotowywaliśmy się do osiągnięcia statusu państwa ramowego i objęcia rocznego dyżuru w Siłach Odpowiedzi NATO”, wspomina gen. Gut. „Płk Szymański starannie zaplanował wszystkie te przedsięwzięcia. Od początku wyróżniał się na tle całego sztabu”.

Jest absolwentem Zmechu (dzisiejsza Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych), kursu dla oficerów piechoty w Fort Benning w Stanach Zjednoczonych i studiów magisterskich na wydziale bezpieczeństwa narodowego w poddyplomowej szkole marynarki wojennej USA w Kali-

fornii. Karierę zawodową rozpoczął w 6 Brygadzie Kawalerii Pancernej, a później służył na różnych stanowiskach w 1 i 12 Dywizji Zmechanizowanej oraz w Wielonarodowym Korpusie Północno-Wschodnim. Trzykrotnie uczestniczył w misjach zagranicznych.

„Studiowałem w USA, gdy rozpoczęła się interwencja militarna w Iraku. Już wtedy wiedziałem, że muszę się tam znaleźć. Moment, w którym Polska zaangażowała się w tak dużą misję, był dla naszej armii przełomowy”, opisuje. W Iraku, jako młody kapitan, zajął stanowisko asystenta dowódcy Wielonarodowej Dywizji Centrum-Południe, w Afganistanie najpierw dowodził polską grupą bojową, a następnie został zastępcą dyrektora centrum współpracy z armią afgańską w tamtejszym ministerstwie obrony.

Chociaż dziś jest związany z wojskami specjalnymi, to najlepiej wspomina czas, gdy dowodził 1 Batalionem Piechoty Zmotoryzowanej w 12 Brygadzie. „To był bardzo ważny i satysfakcjonujący dla mnie okres. Dowodziłem jednym z pierwszych w pełni uzasadnionych batalionów – 800 żołnierzami zawodowymi”, wspomina oficer i dodaje: „Braliśmy udział we wdrażaniu nowych systemów uzbrojenia, w tym transporterów Rosomak i przeciwpancernych pocisków kierowanych Spike.



Dzięki jego zaangażowaniu w Krakowie powstał jedyny w swoim rodzaju think thank skupiający akademików i wojskowych.

Stworzyliśmy też grupę bojową, która w 2008 roku pojechała do Afganistanu”.

Pod Hindukuszem batalion pod dowództwem płk. Szymańskiego był odpowiedzialny za przeniesienie polskiej strefy odpowiedzialności z prowincji Paktika do Ghazni. Nie było to proste. Przeprowadzka wypadła w szczytowym okresie działalności ugrupowań partyzanckich. „Nie dość, że zadanie było skomplikowane pod względem operacyjnym i logistycznym, to jeszcze działaliśmy w warunkach niemal ciągłego ataku przeciwnika. Niestety, nie udało mi się przywieźć wszystkich żołnierzy do domu”, wspomina pułkownik. „Zginęło czterech Polaków, dwóch Amerykanów, mieliśmy też 20 rannych. Misja nauczyła mnie pokory oraz umiejętności pracy w warunkach dużego chaosu, w środowisku konfliktu asymetrycznego”.

Płk Piotr Bieniek, który był zastępcą Szymańskiego na misji ISAF, dodaje, że to oficer, który nie boi się wyzwań. „Ma ogromną wiedzę, jest merytorycznie przygotowany do każdego zadania. Jest prawdziwym liderem, doskonałym dowódcą. To najlepszy żołnierz mojego pokolenia”.

Podczas blisko 20-letniej służby wojskowej zajmował wiele stanowisk związanych z dowodzeniem i pracą w sztabie. Za swoich wojskowych mentorów uznaje gen. w st. spocz. Mieczysława Stachowiaka, który imponował mu wiedzą specjalistyczną, oraz gen. broni Włodzimierza Potasińskiego.

Do Dowództwa Wojsk Specjalnych przyszedł w 2011 roku. „W Krakowie był potrzebny oficer w oddziale planowania długoterminowego. Ta tematyka zawsze mnie pociągała. Poza tym Dowództwo Wojsk Specjalnych dynamicznie się rozwijało. Postanowiłem stać się częścią tego procesu”, opowiada.

Jak sam uważa, do pracy w strukturach dzisiejszego COS przygotowały go wojska lądowe. Dzięki służbie w różnych jednostkach rozumie, czym są operacje połączone, jak powinien przebiegać proces planowania, potrafi też zarządzać zespołami ludzi.

Gdy trafił do Dowództwa Wojsk Specjalnych, przygotowywało się ono do narodowej, następnie natowskiej certyfikacji. Sprawdziany miały potwierdzić, że dowództwo i sztab są gotowe do planowania i prowadzenia operacji specjalnych w NATO. Na początku płk Szymański zajął stanowisko szefa oddziału planowania DWS, później szefa pionu operacyjnego, a obecnie jest szefem sztabu. Równocześnie jest także szefem sztabu Dowództwa Komponentu Sił Specjalnych

w Siłach Odpowiedzi NATO. „Zakończony w 2014 roku sukcesem proces certyfikacji dowództwa to w dużej mierze efekt talentu, niezwykle osobowości i skutecznego przywództwa płk. Szymańskiego. Kierując sztabem Centrum Operacji Specjalnych, a w okresie praktycznych ćwiczeń, międzynarodowym zespołem tworzącym sztab, umiejętnie zintegrował podległy zespół”, opisuje gen. Gut.

Mimo wielu zajęć służbowych znajduje czas na aktywność publicystyczną i wydawniczą. W 1999 roku otrzymał roczną nagrodę „Przeglądu Wojsk Lądowych” za liczne publikacje dotyczące szkolenia. W 2000 roku wydał podręcznik „Z angielskim do NATO”, a obecnie pracuje nad fragmentem książki dotyczącej bezpieczeństwa i współpracy transatlantyckiej między Polską a Stanami Zjednoczonymi.

„Płk Szymański widzi konieczność połączenia środowiska akademickiego z wojskowym i rozumie potrzebę wymiany wiedzy i doświadczeń między tymi światami. Akademicy cenią go za dogłębne analityczne myślenie, za zrozumienie problemów, otwartość i świetną znajomość języka angielskiego. To człowiek, który nie stawia murów, nie tworzy dystansu”, mówi Piotr Orłowski, pracownik Centrum Operacji Specjalnych i Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Oficer od kilku lat jest także głównym animatorem współpracy edukacyjnej wojsk specjalnych i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dzięki jego zaangażowaniu w Krakowie powstał jedyny w swoim rodzaju think-thank skupiający akademików i wojskowych. „Współpraca z uniwersytetem to po części rozwinięcie moich pasji naukowo-publicystycznych. Zaangażowałem się też w projekty ze środowiskiem akademickim, ponieważ popieram natowskie podejście, tzw. comprehensive approach. Odwołuje się ono do przekonania, że na sytuacje kryzysowe i operacje militarne powinniśmy patrzeć w szerszym kontekście. Nie tylko przez pryzmat optyki militarnej, lecz także poprzez kwestie związane z polityką, ekonomią czy informacją”.

Jaki jest prywatnie? „Ma do siebie dystans i niezwykle poczucie humoru. To dusza towarzystwa, człowiek zabawny i błyskotliwy, potrafi znaleźć się w każdej sytuacji”, przyznaje płk Piotr Bieniek. Większość wolnego czasu płk Szymański poświęca 11-letniemu synowi, któremu stara się przekazać pasję do żeglowania. Wspólnie odkrywają uroki Bałtyku i Adriatyku. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



Laureaci wojskowego plebiscytu, od lewej: mjr w st. spocz. Roman Dakiniewicz, mar. Joanna Tomala, st. chor. sztab. w st. spocz. Władysław Stecyk, st. szer. Dominik Gałązka i odbierający nagrodę w imieniu st. mar. Marcina Chabowskiego kmdr por. Paweł Łępa, szef gdyńskiego Wojskowego Zespołu Sportowego.

JACEK SZUSTAKOWSKI, MACIEJ CHILCZUK

Gwiazdy sportu

„Jesteśmy dumni z waszych sukcesów. Dajecie wspaniały przykład innym”, mówił wicepremier Tomasz Siemoniak na Gali Sportu Wojskowego.

Droczna uroczystość wręczenia nagród najlepszym wojskowym sportowcom odbyła się 16 marca. Impreza jest organizowana przez Sztab Generalny Wojska Polskiego. Wręczano na niej też wyróżnienia przyznane przez portal polska-zbrojna.pl. Gala jest okazją do podsumowania działalności sportowej w siłach zbrojnych.

Na uroczystości byli obecni Tomasz Siemoniak, minister obrony narodowej, oraz Andrzej Biernat, minister sportu i turystyki. W 2014 roku przedstawiciele obu tych resortów podpisali porozumienie o współpracy. „Nadal rozmawiamy o jej poszerzeniu. Wspólnie z wojskiem szukamy nowych projektów, pomysłów korzystnych dla obu stron”, mówił minister Biernat. Dodał, że jest zwolennikiem dwutorowego rozwoju kariery polskich sportowców. Dlatego tak ważne jest dla nas porozumienie ze służbami mundurowymi. „Wszystko zmierza do te-

go, że wojsko przejmie część opieki nad polskim sportem”, zapowiedział.

NAGRODY REDAKCJI

Podczas gali zostały ogłoszone wyniki „Plebiscytu na najpopularniejszych sportowców Wojska Polskiego”, którego organizatorem po raz trzeci jest portal polska-zbrojna.pl. Przypomnijmy, że pierwsze trzydzieści edycji tego plebiscytu w latach 1977–2006 organizował dziennik, następnie gazeta codzienna Wojska Polskiego i tygodnik „Polska Zbrojna”. Trzy lata temu inicjatywę przywróciła redakcja portalu polska-zbrojna.pl, jedno z wydawnictw Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

W trakcie gali nagrody przyznane przez redakcję wręczali gen. Mieczysław Gocuł, szef Sztabu Generalnego, oraz płk Dariusz Kacperczyk, dyrektor Wojskowego Instytutu Wydawni-



Tomasz Siemoniak, minister obrony narodowej, gratuluje st. szer. Dominikowi Gałązce.

W 2014 ROKU WOJSKOWI SPORTOWCY ZDOBYLI 66 MEDALI

czego. Tytuł sportowca roku zdobył, w internetowym głosowaniu czytelników, maratończyk st. mar. Marcin Chabowski. Marzyna z gdyńskiego Wojskowego Zespołu Sportowego to ubiegłoroczny złoty medalista wojskowych mistrzostw świata w niemieckim Eindhoven. Laureat nie mógł osobiście odebrać nagrody, ponieważ był na zgrupowaniu w Meksyku. Wcześniej jednak powiedział „Polsce Zbrojnej”, że zwycięstwo w plebiscycie jest dla niego ogromnym wyróżnieniem. „Jestem szczęśliwy, że moja codzienna ciężka praca została doceniona przez głosujących”. Teraz dla st. mar. Marcina Chabowskiego najważniejszy jest start na VI Letniej Olimpiadzie Wojskowej w Korei Południowej.

W kategorii mistrz sportu powszechnego internauci wyróżnili st. szer. Dominika Gałązkę. Na ubiegłorocznych mistrzostwach Wojska Polskiego nie miał sobie równych w pokonywaniu specjalnego toru przeszkód przygotowanego w ośrodku sprawności fizycznej. Szer. Gałązka kontynuuje znakomitą pasję sportowców z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej, którzy w 2014 roku po raz czwarty z rzędu triumfowali w centralnym współzawodnictwie w sporcie powszechnym. Sportowiec na gali podziękował za wsparcie żonie Natalii: „Dzięki niej udało mi się zdobyć to prestiżowe wyróżnienie”.

Kolejne nagrody przyznali już nie internauci, lecz członkowie kapituły plebiscytu portalu polska-zbrojna.pl. Trenerem roku został st. chor. sztab. w st. spocz. Władysław Stecyk, a wyróżnienie „nadzieja sportu wojskowego” trafiło do mar. Joanny Tomali. Nagrodę specjalną za całokształt działalności otrzymał zaś mjr w st. spocz. Roman Dakiniewicz.

St. chor. sztab. w st. spocz. Władysław Stecyk był wyróżniany wielokrotnie, jeszcze jako sportowiec uprawiający zapasy. W 1997 roku zdobył nagrodę Fair Play. Dziś jest trenerem st. szer. Iwony Matkowskiej, zapaśniczki z Wojskowego Klubu Sportowego „Grunwald” w Poznaniu. W 2014 roku zdobyła ona tytuł wicemistrzyni świata. Była też najlepsza na wojskowym czempionacie.

W tym roku kapituła uhonorowała nagrodą specjalną trenera mjr. w st. spocz. Romana Dakiniewicza z Cywilno-Wojskowego Związku Sportowego „Zawisza” w Bydgoszczy. Przez 50 lat pracy szkolił on czterech olimpijczyków, mistrzów skoku o tyczce. Wśród jego podopiecznych byli między innymi Mariusz Klimczyk, Mirosław Chmara, Łukasz Michalski i Paweł Wojciechowski. Trenowani przez niego zawodnicy ustanowili 58 rekordów Polski i zdobyli 232 medale na krajowych mistrzostwach we wszystkich kategoriach wiekowych. „Jako trener czuję się spełniony. Kiedyś sobie powiedziałem, że jeśli w którymś roku mój zawodnik nie zdobędzie żadnego medalu na mistrzostwach Polski, to będzie to dla mnie znak, że czas wycofać się ze sportu”, powiedział trener.

Jako nadzieję sportu wojskowego kapituła wybrała uprawiającą strzelectwo zawodniczkę Wojskowego Zespołu Sportowego „Flota” w Gdyni. Mar. Joanna Tomala jest mistrzynią świata i Europy juniorów (w drużynie, w konkurencji pistolet pneumatyczny 40 strzałów), trzykrotną akademicką mistrzynią świata, dwukrotną mistrzynią Polski seniorek.

WYBRANI PRZEZ SZTAB GENERALNY

Przedstawiciele Sztabu Generalnego Wojska Polskiego przyznali wyróżnienia dla zwycięzców poszczególnych klasyfikacji za 2014 rok. Najlepszą jednostką wojskową w rywalizacji w sporcie powszechnym okazała się 11 Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej. Żołnierze z Żagania triumfowali po raz czwarty z rzędu. W całorocznych zmaganiach wyprzedzili reprezentację 12 Dywizji Zmechanizowanej oraz Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. Spośród uczelni wojskowych najlepsze wyniki w 2014 roku uzyskali zawodnicy startujący w barwach Wojskowej Akademii Technicznej.

Na gali podsumowano także starty sportowców wyczynowych. Najlepsza okazała się zapaśniczka st. szer. Iwona Matkowska. Zdobywczyni pierwszego miejsca wyprzedziła pięcioboistkę st. szer. Oktawię Nowacką oraz zapaśnika kpr. Damiana Janikowskiego. „Nie byłoby naszych sukcesów bez opieki organizacyjnej i szkoleniowej Ministerstwa Obrony Narodowej oraz Wojska Polskiego. Chciałabym podziękować za poświęcony nam czas i wysiłek włożony w nasz rozwój”, powiedziała zwyciężczyni klasyfikacji Sztabu Generalnego WP.

W 2014 roku wojskowi sportowcy zdobyli 66 medali. „To bardzo dobry prognostyk przed najważniejszą imprezą tego roku, czyli wojskowymi igrzyskami. Odbędą się one w październiku w Korei Południowej”, powiedział gen. Mieczysław Gocuł, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Płk rez. Tomasz Kwiecień został z kolei wyróżniony nagrodą Herkules Roku. Jest ona przyznawana przez Wojskową Federację Sportu za wyjątkowe osiągnięcia w dziedzinie kultury fizycznej. Laureat od 2006 roku pełni funkcję prezesa Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego, jest także członkiem Zarządu Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Polscy strzelcy za jego kadencji zdobyli między innymi 44 tytuły mistrzów świata i Europy, 35 medali srebrnych i 40 brązowych. ■





| WOJSKA LĄDOWE |

NORBERT BĄCZYK

CZEKAJĄC NA BORSUKA

Większość naszych bojowych wozów piechoty jest starsza niż żołnierze, którzy nimi jeżdżą. I wszystko wskazuje na to, że na następcę BWP-1 przyjdzie jeszcze kilka lat poczekać.

TOMASZ MIELCZAREK / 7 BOW

T

en wóz był przestarzały już u schyłku Układu Warszawskiego, dlatego pod koniec lat osiemdziesiątych w Wojsku Polskim zaczęto go zastępować konstrukcją nowszą. BWP-1, czyli bojowy wóz piechoty, bo o nim mowa, to konstrukcja z lat sześćdziesiątych XX wieku. W wyposażeniu armii polskiej znalazł się w roku 1974. Miał zastąpić SKOT-a (średni kołowy opancerzony transporter). Ostatnich 100 pojazdów kupiliśmy w 1988 roku. Potem pojawiły się pierwsze BWP-2, nowocześniejsze, o odmiennym uzbrojeniu. Wraz z upadkiem bloku wschodniego ich import szybko jednak wstrzymano i polskie wojska zmechanizowane zostały z BWP-1.

Ćwierć wieku później i 16 lat od wejścia do NATO sytuacja ta wciąż się nie zmieniła. Programy modernizacji wozów nie zostały urzeczywistnione. Nie pozostało nic innego, jak zapisać w dokumentach, że okres eksploatacyjny zostaje wydłużony z 30 do 45 lat. W przyszłości leciwe bojowe wozy piechoty planuje się zastąpić nową konstrukcją, która ma powstać w ramach programu „Borsuk”. Jego założenia są jednak tak ambitne, że wydają się wręcz nierealne.

KOSZULA BLIŻSZA CIAŁU

BWP to pojazd dla piechoty zmechanizowanej. Na ogół każda drużyna ma własny wóz, który służy jej za środek transportu na polu walki, a także wspiera ją ogniem broni pokładowej po spieszeniu. Idea, według której konstruuje się te pojazdy, wiąże się z chęcią zespolenia w walce czołgów i piechoty, tak aby wzajemnie wspierały się na placu boju. Żołnierze muszą mieć zatem wóz, który potrafi nadążyć za czołgami, także w trudnym terenie. Jego opancerzenie i uzbrojenie jest wyraźnie słabsze niż czołgu, jednak wystarczające do

walki z innymi BWP, transporterami oraz piechurami przeciwnika. Ponadto dzięki przeciwpancernym pociskom kierowanym wóz ma środki do samoobrony w razie napotkania broni pancernej nieprzyjaciela.

Pierwsze BWP pojawiły się w latach sześćdziesiątych XX wieku, a w ostatniej dekadzie zimnej wojny do arsenałów wprowadzono pojazdy kolejnej generacji. Niestety, Wojsko Polskie nie zdążyło się wówczas przebroić w nowszy model. Potem przez wiele lat nie nadgoniliśmy tego opóźnienia. Pojawiło się wprowadzić kilka propozycji, czy to nowego bojowego wozu piechoty (np. BWP-2000), czy też modernizacji BWP-1 (ostatnią był program „Puma”), ale żadna z nich nie została nawet skierowana do realizacji. Tymczasem w 2002 roku podpisano umowę na dostawy tzw. kołowych transporterów opancerzonych. Pod skrótem KTO krył się faktycznie nowy bojowy wóz piechoty, bo rosomaki z armatami kalibru 30 mm według norm są klasyfikowane właśnie w ten sposób. Taktyka użycia wozów kołowych jest jednak nieco odmienna niż klasycznych, gąsienicowych BWP. Te ostatnie mogą towarzyszyć czołgom niemal w każdych warunkach, lepiej radząc sobie w trudnym terenie, ale ceną jest mniejsza tzw. mobilność operacyjna.

W siłach zbrojnych powstał więc spór, czy rosomaka można traktować jako nowy, przyszłościowy model bojowego wozu piechoty dla całych wojsk lądowych. Tym bardziej że zarówno w planach sprzed dekady, jak i dzisiaj w ten typ wozu planuje się przebroić tylko trzy brygady zmechanizowane. Tymczasem Wojsko Polskie ma, według etatów, trzy brygady pancerne i osiem brygad zmechanizowanych, choć nie wszystkie z nich formalnie tak się nazywają (jest jedna brygada zmechanizowana zwana... pancerną, jedna górska, a jeszcze jedna brygadą obrony

KONSORCJUM

Opracowaniem nowego pojazdu ma się zająć konsorcjum pod kierownictwem Huty Stalowa Wola SA.

Jej partnerami będą: Ośrodek Badawczo Rozwojowy Urzędzeń Mechanicznych, Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne SA, Wojskowe Zakłady Elektroniczne SA, Wojskowe Zakłady Inżynierijne SA, Wojskowy Instytut Techniki Pancernej i Samochodowej, Wojskowa Akademia Techniczna, Akademia Obrony Narodowej, Politechnika Warszawska i Rosomak SA.



NAJWIĘKSZYM ATUTEM BWP-1 JEST MANEWROWOŚĆ, ALE NIE JEST TO JUŻ BROŃ NOWOCZESNA



BWP-1 wszedł do uzbrojenia Wojska Polskiego na początku lat siedemdziesiątych XX wieku. Mimo planów, nie podjęto w Polsce produkcji tego pojazdu, importując go z zagranicy. Dostawy BWP-1 kontynuowano aż do 1988 roku, ostatecznie pozyskując ponad 1300 wozów.

wybrzeża). Jak zatem widać, ponad dwie trzecie z istniejących dziś związków taktycznych nie będzie beneficjentem programu „Rosomak”.

Skoro rosomaka uznano za wóz dla brygad o zwiększonej mobilności, niemających docelowo pojazdów gąsienicowych, to jaki ma trafić do pozostałych, nadal korzystających właśnie z gąsienic? W programie modernizacji na lata 2009–2018 nie zaprzętało sobie jeszcze tym zbytnio głowy.

W programie na lata 2013–2022 natomiast już się to wyraźnie zmieniło. W „Priorytetowych zadaniach modernizacji technicznej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej w ramach programów operacyjnych” znalazło się 14 kluczowych dziedzin. Jako czwartą wymieniono „modernizację wojsk pancernych i zmechanizowanych”. Chodzi o „osiągnięcie zdolności operacyjnej pododdziałów i oddziałów zmechanizowanych do prowadzenia działań w zmieniającym się środowisku pola walki. Celem programu jest zastąpienie w pierwszej kolejności wysłużonych i wyeksploatowanych wozów bojowych BWP-1 i czołgów rodziny T-72 nowymi opancerzonymi wozami bojowymi zbudowanymi w oparciu o uniwersalną modułową platformę gąsienicową (UMPG), która będzie również bazą dla gamy pojazdów specjalistycznych. Koszt programu do 2022 r. wynosi ok. 8648,2 mln zł”.

Przy czym koszty związane z tym programem będą ponoszone dopiero w latach 2017–2018 i będzie on najpóźniej rozpoczęty spośród wszystkich 14 zasadniczych przedsięwzięć.

Na bazie UMPG mają powstać dwie podstawowe odmiany pojazdu: lżejsza, jako BWP o kryptonimie „Borsuk”, oraz cięższa, czyli lekki czołg o kryptonimie „Gepard”.

PLANY I JESZCZE RAZ PLANY

Jeszcze niedawno sądzono, że nowy BWP, według przyjętego przez rząd w 2013 roku harmonogramu, będzie można zamówić już w 2017 roku. Być może byłoby to nawet możliwe, gdyby nie to, że ma on zostać opracowany od podstaw przez krajowy przemysł zbrojeniowy. Projekt jest wspierany finansowo przez Ministerstwo Obrony Narodowej za pośrednictwem Narodowego Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR). 3 września 2014 roku Centrum ogłosiło rozstrzygnięcie konkursu na opracowanie nowego, pływającego, bojowego wozu piechoty. Wskazano, aby gotowy do produkcji pojazd powstał w ciągu 36 miesięcy. Jego opracowaniem ma się zająć konsorcjum pod kierownictwem Huty Stalowa Wola SA.

Pozostaje zagadką, kto sformułował takie wymagania czasowe. Jest bowiem niemożliwe, aby w ciągu trzech lat opracować BWP od podstaw, a następnie wszechstronnie go przetestować. Dlatego bardzo szybko nieco urealniono ten wymóg. Jesienią 2014 roku podpisano umowę na opracowanie i przebadanie borsuka w ciągu 60 miesięcy. NCBiR na ten cel przekaze konsorcjum HSW SA 75 mln zł. Prototyp powinien się pojawić jesienią 2017 roku i przez kolejne dwa lata przejść wszystkie konieczne próby oraz badania. W 2019 roku ma zatem być już sprawdzony wyrób, gotowy do produkcji seryjnej. ➔

Wyrażenie „nieco urealniono” nie zostało tu użyte przypadkowo. Jeśli spojrzeć na współczesne, nowoczesne BWP, to widać, że okres od fazy koncepcyjnej do osiągnięcia przez nie stadium gotowego, zadowalającego użytkownika wyrobu jest nieporównywalnie dłuższy niż pięć lat. Niemcy potrzebowali trzech lat na budowę demonstratora pumy, kolejnych dwóch na skompletowanie prototypów do testów i następnych trzech na wykonanie pierwszych wozów zbliżonych do wariantu docelowego. Fazę testową zakończyli dziewięć lat po wykonaniu pierwszego demonstratora i 12 lat po podpisaniu wstępnego kontraktu. Tyle że Niemcy mają olbrzymie doświadczenie w konstruowaniu takich pojazdów, nieporównywalne zaplecze przemysłowe, liczne patenty. Program miał też zupełnie inny budżet. W Polsce nigdy jeszcze nie opracowano zaś samodzielnie i od podstaw żadnego bojowego wozu piechoty czy czołgu. Nigdy też taka konstrukcja nie była produkowana seryjnie przez nasz przemysł inaczej niż dzięki licencjom zagranicznym.

Czy Niemcy nie pracowali za długo nad pumą? Szwedzi dla swego CV-90 potrzebowali pięciu lat, by ukończyć prototypy. I kolejnych trzech, by rozpocząć produkcję seryjną, i znowu trzech, zanim wozy trafiły do linii. Jednak to dotyczyło znacznie prostszej konstrukcji niż ta, z którą dziś mamy do czynienia, bo pierwsze szwedzkie wozy mało już przypominają najnowsze odmiany CV-90.

Znacznie gorzej poszło Koreańczykom. Potrzebowali pięciu lat na serię prototypów K-21 i kolejnych dwóch, żeby trafiły one na testy do armii. Kontrakt na produkcję seryjną zawarto dziewięć lat od podpisania listu intencyjnego. Ruszyła ona po kolejnym roku. Wkrótce się jednak okazało, że ten wóz nie spełnia wymagań wojska i konieczne jest jego przeprojektowanie.

Jeśli zatem za punkt wyjścia przyjąć doświadczenia innych państw, niewielkie są szanse, aby do roku 2022 Wojsko Polskie rzeczywiście doczekało się seryjnych borsuków w linii. W tym czasie najmłodsze BWP-1 będą już miały średnio po niemal 40 lat.

W oficjalnych deklaracjach często pada stwierdzenie, że nie mamy w Polsce możliwości samodzielnego opracowania bojowego samolotu wielozadaniowego oraz skomplikowanego efektora (czyli rakiety) na potrzeby programów obrony przeciwlotniczej, takich jak „Wisła” czy „Narew”. Skąd zatem pomysł, że możemy samodzielnie opracować bojowy wóz piechoty, a nawet lekki czołg? Oczywiście ze wsparciem technologicznym potentatów zachodnich. Tyle że ci są raczej zainteresowani sprzedażą nam gotowego wyrobu, na prawach licencji, a nie dzieleniem się szczegółowymi rozwiązaniami konstrukcyjnymi przy powstaniu polskiego pojazdu, który stanie się konkurencją dla ich własnych wozów. Trzeba też pa-

WÓZ DO ZADAŃ SPECJALNYCH

BORSUK O MASIE WŁASNEJ OKOŁO 25 T BĘDZIE PŁYWAŁ, ALE JEDNOCZEŚNIE DYSPONOWAŁ SOLIDNĄ OCHRONĄ BIERNĄ, W TYM PRZED MINAMI, IMPROWIZOWANYMI URZĄDZENIAMI WYBUCHOWYMI CZY GRANATNIKAMI PRZECIWPANCERNYMI.

Ma być odporny od czoła na ogień armat kalibru 30 mm. Przed ppk natomiast będą go chronić aktywne systemy samoobrony. Wóz zostanie wyposażony w zaawansowany system obserwacji dziennej i nocnej oraz uzbrojony w 30-milimetrową armatę szybkostrzelną, sprzężony z nią karabin maszynowy, a także zestaw pocisków Spike do samoobrony przed czołgami. Bezzałogowa wieża mieszcząca to całe uzbrojenie ma zostać opracowana przez Hutę Stalowa Wola SA (będzie również do rosomaków; jej makietę pokazano na zeszłorocznym MSPO). Sercem borsuka powinien być nowoczesny silnik dużej mocy (700–800 KM), zablokowany z automatyczną skrzynią biegów, zawieszenie zaś będzie najpewniej hydropneumatyczne. Wóz powinien przewozić co najmniej sześciu żołnierzy desantu, każdy z wyposażeniem osobistym i systemem walki indywidualnej Tytan. Potencjał modernizacyjny, w tym otwarta architektura systemów elektronicznych, musi być znaczny.

miętać, że najważniejsze nie jest opracowanie „jakiegoś wozu”, lecz zbudowanie dobrego i nowoczesnego BWP, który będzie zadowalającym narzędziem walki dla polskiej piechoty zmechanizowanej. Jeśli konsorcjum HSW SA sprostą temu wyzwaniu, będzie to największy sukces polskiego przemysłu zbrojeniowego w jego całej dotychczasowej historii.

DWA W JEDNYM

Założenia konstrukcyjne są równie ambitne jak plany czasowe. Oficjalnie szczegółowe wymagania dla borsuka nie są jawne. Nawet jednak te parametry, które podano do publicznej wiadomości, budzą kontrowersje. Najwięcej z nich dotyczy wymogu pływalności. Ogranicza on poważnie konstruktorów, bo taki wóz nie może być za ciężki i za dobrze opancerzony. Liczba sensorów, które da się zamontować w pojeździe, oraz sposób i miejsce ich montażu także będą determinowane kwestiami wyporności oraz stabilności konstrukcji w wodzie.

Dziś nie ma na świecie żadnego nowoczesnego bojowego wozu piechoty, który łączyłby w sobie solidną ochronę z pływalnością oraz akceptowalną masą. Widać, że polscy planiści chyba zapatrzili się na koreański K-21, który miał pływać. Ów wymóg przerósł jednak, przynajmniej na razie, jego

KRZYSZTOF WILEWSKI

DEMONSTRATOR BWP ANDERS. POJAZD TEN NIE WZBUDZIŁ ZAINTERESOWANIA WOJSKA, PONIEWAŻ POWSTAŁ W ODE-
RWANIU OD OCZEKIWAŃ POTENCJALNEGO UŻYTKOWNIKA



NIEMIECKI BWP PUMA, NAJNOWSZY EUROPEJSKI POJAZD TEJ KLASY. NIEMCY POTRZEBOWALI KILKUNASTU LAT, ABY DOPRACOWAĆ KONSTRUKCJĘ, KTÓRA WCHODZI DO UZBROJENIA BUNDESWEHRY

RHEINMETALL DEFENCE

twórców (dwa K-21 zatoneły) i, jak już stwierdzono, wóz wymaga przeprojektowania.

WYMÓG PŁYWALNOŚCI OGRANICZA KON- STRUKTORÓW, BO ICH WÓZ NIE MOŻE BYĆ ZA CIĘŻKI I ZA DOBRZE OPANCERZONY

UKRYTY PROBLEM

Paradoks związany z borsukiem polega na tym, że program jego budowy jest jednocześnie i poważnie spóźniony, i przedwczesny. Małe są szanse, aby do 2022 roku seryjne wozy pojawiły się w jednostkach liniowych. A to oznacza, że jeszcze przez wiele lat nasza piechota zmechanizowana będzie pod tym względem przeraźliwie przestarzała, a jej możliwości bojowe przez to poważnie ograniczone. Nie wolno tego bagatelizować – piechota zmechanizowana to podstawa naszych wojsk lądowych. A przecież nie jest powiedziane, że program zakończy się sukcesem i borsuk zadowolony zamawiającego.

Dobrze, że mamy już jeden nowoczesny BWP w naszej armii, czyli rosamaka. Można go bowiem traktować jako pewną alternatywę w razie porażki borsuka (choć oba programy łączy kwestia docelowego uzbrojenia w wieżę bezzałogową).

A dlaczego jest to program przedwczesny? Nowy BWP musi być wozem isticie interdyscyplinarnym. Kompatybilnym od początku z założeniami programów takich jak „Tytan”, „C4ISR”, „Mikro-BSL”. Prace nad nim powinny zostać poprzedzone dogłębными analizami docelowego modelu drużyny i kompanii piechoty, jej wyposażenia, stawianych zadań. Ponad dekadę temu kupiono rosamaka, nie mając systemu. Skutki tego odczuwamy do dziś. Nie wolno nam popełnić tego błędu ponownie, w wypadku borsuka. Miejmy nadzieję, że czasu wystarczy. ■

W CV90 – oprócz trzyosobowej załogi – jest miejsce dla ośmiu żołnierzy desantu.

TADEUSZ WRÓBEL

Moc pod pancerzem

Na świecie istnieje tylko około dziesięciu produkowanych seryjnie bojowych wozów piechoty na platformie gąsienicowej.

W odpowiedzi na zbudowanie w latach sześćdziesiątych XX wieku w Związku Sowieckim bojowego wozu piechoty, BMP-1, na Zachodzie podjęto prace nad podobnymi konstrukcjami. Jeszcze w trakcie zimnej wojny do służby weszły: amerykański bradley, brytyjski warrior, francuski AMX-10P oraz niemiecki marder, a później rozpoczęła się produkcja kilku nowych pojazdów.

SIŁA W RODZINIE

W połowie lat osiemdziesiątych XX wieku firmy Bofors i Hagglund, na podstawie wymagań szwedzkich wojsk lądowych, opracowały bojowy wóz piechoty Stridsfordon 90, lepiej znany pod angielską nazwą Combat Vehicle (CV90). Szwedzi stworzyli ponad 22-tonowy pojazd, który – podobnie jak wcześniejsze konstrukcje zachodnie – nie pływał, ale był mocno uzbrojony i dobrze opancerzony. Jako uzbrojenie CV90 wybrano armatę Boforsa kalibru 40 mm.

Przedni pancerz chronił przed 30-milimetrowymi pociskami przeciwpancernymi. Cały pojazd miał wytrzymać trafienia 14,5-milimetrowymi pociskami przeciwpancernymi. Z czasem opancerzenie i ochronę przeciwminową CV90 wzmocniono. Ostatnie wersje mogą przetrwać eksplozję miny zawierającej ekwiwalent 10 kg TNT, a dodatkowo opancerzenie ceramiczne chroni cały wóz przed pociskami kalibru 30 mm. Kevlar wewnątrz pojazdu ma zaś powstrzymać odłamki. W pojeździe

– oprócz trzyosobowej załogi – było miejsce dla ośmiu żołnierzy desantu.

Armia szwedzka zamówiła CV90 w 1991 roku, a pierwsze wozy dostała dwa lata później. Pojazd okazał się sukcesem komercyjnym – kupiły go siły zbrojne Norwegii, Finlandii, Danii, Szwajcarii i Holandii, a niedawno od armii holenderskiej 44 sztuki CV90 odkupiła Estonia. W sumie wyprodukowano ponad tysiąc takich konstrukcji. Tym samym można mówić o najpopularniejszym be-wupie w Europie Zachodniej. Jednym z powodów takiego sukcesu była możliwość wprowadzenia zmian na życzenie klientów. Dotyczyły one głównie uzbrojenia – zamiast armaty kalibru 40 mm w eksportowych CV90 montowano na przykład armaty automatyczne Bushmaster II kalibru 30 mm i Bushmaster III kalibru 35 mm.

Szwedzi nie ograniczyli się tylko do wersji be-wupa. Podwozie CV90 wykorzystano do stworzenia rodziny pojazdów specjalistycznych, między innymi wozów ewakuacyjnych, dowodzenia i obserwacyjnych dla artylerii. Przygotowano też demonstratory lekkich czołgów z armatami kalibru 105 mm lub 120 mm. Najnowszą ofertą jest platforma CV90 Armadillo, na której można tworzyć wersje specjalistyczne o masie do 35 t. Opancerzenie chroni cały kadłub przed pociskami przeciwpancernymi kalibru 25 mm.

Innymi nowymi konstrukcjami zachodnioeuropejskimi są bewupy Ulan w Austrii i Pizarro w Hiszpanii. Oba pojazdy to wynik bliskiej współ-



TULPAR

W 2013 roku pierwszy raz zaprezentowano publicznie nowy, rodzimej konstrukcji turecki bojowy wóz piechoty Tulpar. W wersji podstawowej ma masę 32 t. Pojazd uzbrojono w armatę 30-milimetrową. Opcjonalnie jest przewidziany montaż kontenerów z ppk. Podstawowe opancerzenie chroni przed pociskami 14,5 mm, ale istnieje możliwość wzmocnienia najbardziej wrażliwych części kadłuba tulpara. We wnętrzu mieści się ośmiu żołnierzy desantu.

pracy tych państw (Austrian Spanish Cooperation Development – ASCOD). W wersji austriackiej pojazd ma masę 29,3 t, a jego główną bronią jest armata Mauser MK-30-2. W odmianie pizarro masa bojowa jest natomiast mniejsza, 28 t. W pojazdach zamontowano różne silniki (w hiszpańskim o mniejszej mocy). Ulan, oprócz trzyosobowej załogi, zabiera ośmiu żołnierzy desantu, a pizarro o jednego mniej. Pancerz z przodu powinien wytrzymać trafienia pociskami przeciwpancernymi kalibru 30 mm, a cały pojazd ma być odporny na ostrzał pociskami przeciwpancernymi kalibru 14,5 mm.

Austriacka armia ograniczyła się do zakupu 112 wozów w wersji bojowej. Hiszpanie chcieli natomiast nabyć 356 sztuk pizarro, w tym pojazdy specjalistyczne. Ze względu jednak na problemy finansowe ograniczono zamówienia. Po kolejnych cięciach spośród dziesięciu potencjalnych wersji, oprócz bojowej, zamówiono tylko wozy dowodzenia i saperskie, razem 261. Jedyny dotąd kontrakt eksportowy, ale bardzo spektakularny, podpisano z Wielką Brytanią. Dotyczy aż 589 sztuk objętych programem nowej platformy gąsienicowej, w którego ramach powstaną między innymi czołgi rozpoznawcze. Ich bazą jest zmodernizowane podwozie ASCOD II.

NA CO NACISK

W końcu lat dziewięćdziesiątych XX wieku we Włoszech rozpoczęła się produkcja rodzimej konstrukcji gąsienicowego bojowego wozu piechoty Dardo. Jest to pojazd o masie bojowej 23,4 t. Jako jego główne uzbrojenie wybrano armatę Oerlikon KBA kalibru 25 mm. Na wieży są dwa kontenery z przeciwpancernymi pociskami kierowanymi. Przedni chroni włoski pojazd przed pociskami 25-milimetrowymi, a boczny przed 14,5-milimetrowymi. Oprócz trzyosobowej załogi w wozie jest miejsce jeszcze dla sześciu żołnierzy desantu. Co prawda, pojawiły się informacje o wersjach specjalistycznych dardo, takich jak samobieżny moździerz kalibru 120 mm, ale armia włoska kupiła ich tylko 200 w wersji bojowej. Pierwsze dostarczono jej w 2002 roku. Nie było zamówień z zagranicy.

Najnowszą konstrukcją europejską, jeśli chodzi o bewupy, jest niemiecka puma. To zupełnie odmienne rozwiązanie od wcześniejszych – w projekcie uwzględniono doświadczenia z konfliktów w Afganistanie i Iraku. W wersji bazowej masa pojazdu wynosi około 31,5 t, a z pełnym pakietem opancerzenia sięga 41–43 t. Podstawowym uzbrojeniem pumy jest armata Mauser MK-30-2, ale – w odróżnieniu od ulana i pizarro – zamontowana w zdalnie sterowanej wieży bezzałogowej. Być może w przyszłości zostanie dozbudowana w kontenery z pociskami przeciwpancernymi.

W niemieckiej konstrukcji nacisk położono na zapewne jak najwyższego poziomu ochrony balistycznej i przeciwminowej. I tak, odporny na trafienia pociskami kalibru 30 mm jest nie tylko przód kadłuba, lecz są chronione także jego boki. Wewnątrz pumy jest miejsce dla trzyosobowej załogi i sześciu żołnierzy desantu. Armia niemiecka zamierzała zamówić 405 pum, ale potem plany te zredukowano do 350 sztuk, w tym ośmiu pojazdów szkolnych. Niemniej jednak zmieniająca się sytuacja polityczno-wojskowa w Europie może doprowadzić do weryfikacji poziomu zamówień sprzętu pancernego. Niemcy już postanowili dokupić kołowe wozy opancerzone Boxer.

ZE WZGLĘDU NA WYSOKIE CENY RYNEK ZBYTU NA NOWOCZESNE BOJOWE WOZY PIECHOTY JEST OGRAŃCZONY

Własne konstrukcje gąsienicowych bojowych wozów piechoty stworzyły państwa azjatyckie o opcji zachodniej. Już w latach osiemdziesiątych XX wieku taki pojazd powstał w Japonii. Typ 89 to wóz o masie 26,5 t, uzbrojony w automatyczną armatę Oerlikon KDE kalibru 35 mm zasilaną z 17-nabojowych magazynków i w dwa kontenery z ppk Jyu-MAT. Oprócz trzyosobowej załogi w pojeździe mieści się siedmiu żołnierzy desantu. W latach 1989–2004 japońskie lądowe siły samoobrony zamówiły 68 wozów w wersji bojowej, choć pierwotne plany zakładały produkcję aż 300. Jedyną jednostką operacyjną, która je dostała, jest 11 Pułk Piechoty na wyspie Hokkaido.

Nowszą konstrukcją od typu 89 jest południowokoreański K21, którego produkcja rozpoczęła się w 2008 roku. Potrzeby tamtejszych wojsk lądowych oszacowano na około 900 pojazdów. K21 jest wyjątkowy wśród zachodnich bewupów, bo jako jedyny został przystosowany do pływania. Aby to było możliwe, po bokach 26-tonowego wozu zamontowano nadmuchiwane, siedmiokomorowe pontony. Południowokoreański wóz otrzymał silne uzbrojenie – armatę kalibru 40 mm i dwa kontenery z ppk. Opancerzenie K21 ma podobne parametry jak w większości zachodnich konstrukcji. Przód pojazdu wytrzymuje trafienia pociskami 30-milimetrowymi, a reszta kadłuba – 14,5-milimetrowymi. Jednocześnie zabiera większy desant, aż dziewięćosobowy (załoga jest trzyosobowa).

Bojowy wóz piechoty opracowała też firma ST Kinetics z Singapuru. Produkcja pojazdu Bionix AFV rozpoczęła się w 1996 roku. Wóz ma masę bojową 23 t. Początkowo był uzbrojony w armatę Bushmaster kalibru 25 mm (Bionix 25), którą zastąpiono z czasem większą, Bushmaster kalibru 30 mm (Bionix II). Oprócz trzyosobowej załogi w pojeździe mieści się siedmiu żołnierzy desantu.

Powstał też transporter Bionix 40/50, uzbrojony w automatyczny granatnik kalibru 40 mm i karabin maszynowy kalibru 12,7 mm. W wozie mieści się dziewięćosobowy desant. Do produkcji weszły jeszcze: wóz zabezpieczenia technicznego, most towarzyszący i pojazd do oczyszczania pól minowych (trailblazer).

SPRAWDZONE PATENTY

Większość powstałych dotychczas w krajach zachodnich bojowych wozów piechoty jest uzbrojona w armaty automatyczne kalibru 25–35 mm (w Rosji i wzorujących się na niej Chinach są używane w połączeniu armaty kalibru 30 i 100 mm). Tylko część bewupów dysponuje przeciwpancernymi pociskami kierowanymi (niekiedy są jedną z opcji). W wypadku pojazdów produkowanych w Europie z pewnością wpływ na to miał koniec zimnej wojny i przekonanie, że nie grozi już konfrontacja z armią Związku Sowieckiego. W nowych konstrukcjach lub nowych wersjach już istniejących coraz częściej mogą być montowane zdalnie sterowane moduły wieżowe. Aczkolwiek niektóre armie pozostaną konserwatywne i będą stawiały na sprawdzone wieże załogowe.

Nawet w czasach zimnej wojny dużą wagę przykładano na Zachodzie do zapewnienia pojazdom jak najmocniejszego pancerza, a nie wymagano od nich pływerności. Zakładano prowadzenie działań obronnych. Po wojnach w Afganistanie i Iraku dodano bewupom jeszcze mocniejszy pancerz. ■

NORBERT BĄCZYK

Wóz idealny

Program „Borsuk”
nie może być traktowany
wyłącznie jako próba stworzenia
następcy leciwych BWP-1.
Pojazd ten musi się wpisywać
w szerszy kontekst budowy
nowoczesnych sił zbrojnych.

Dekadę temu do rosomaka podeszliśmy nieco po macoszemu. To miał być pojazd skonstruowany przede wszystkim z myślą o misjach zagranicznych, dla brygad szybkiego reagowania, które w ramach międzynarodowych sił sojuszniczych wykonywałyby zadania bojowe oraz stabilizacyjne. Ogólne założenia projektu wynikały z doktryny NATO, a nie oczekiwań krajowych. Mimo to pojazd dostosowano do potrzeb polskich – uwzględniono wymóg pływalności, co skutkowało gorszym opancerzeniem. Brak systemowego podejścia i złe oszacowanie kosztów programu sprawiły jednocześnie, że rosomaki nie miały przeciwpancernych pocisków kierowanych (ppk) i zostały wyposażone w zbyt małą liczbę radiostacji. Czy w programie nowego bojowego wozu piechoty Borsuk będzie można uniknąć podobnych wpadek?

SZERSZE SPOJRZENIE

Dziś najważniejszy jest człowiek. Maszyny bojowe projektuje się zatem tak, aby załoga i desant miały komfortowe warunki służby i wysoki poziom ochrony. Nowe wozy nie powstają już w związku z wymaganiami doktryny armii masowych, kiedy to sprzęt sam w sobie nie musi się odznaczać jakimiś szczególnie wysokimi walorami technicznymi, bo zrekompensuje to masowość jego użycia. Dziś każdy pojazd, a nade wszystko jego załoga i desant, są na wagę złota. Jednostek sprzętu jest mniej, ale nowoczesna armia walczy w ten sposób, aby minimalizować swoje straty, także dzięki technicznemu zaawansowaniu użytkowanych platform. Również i z tego powodu stają się one bardzo kosztowne.

Nie należy jednak szukać oszczędności. Trudno, że specjalne fotele przeciwybuchowe są bardzo drogie, a elementy poprawiające bezpieczeństwo radykalnie zwiększają masę. Najważniejszy jest człowiek. Pod tym względem widać bardzo wyraźnie, że państwa Zachodu nie idą na kompromisy.

Bojowy wóz piechoty to „buldog” – broń klasycznego pola walki w wojnie pełnoskalowej, czyli takiego, które obserwowaliśmy w 2003 roku w Iraku, w 2006 roku w Libanie, w 2011 roku w Libii, a dziś widzimy na Ukrainie. W takim konflikcie są potrzebne pojazdy łączące w sobie różne wymagania: wyso-



**WSPÓŁCZEŚNIE NAWET
JEDEN CZOŁG CZY BWP NALEŻY
POSTRZEGAĆ JAKO CZĘŚĆ
ZWARTEGO, STAŁE
BĄDĄCEGO WE WZAJEMNYCH
INTERAKCJACH, SZEROKIEGO
SYSTEMU**



ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

ką mobilność i zapewnienie żołnierzom dużej świadomości sytuacyjnej z solidną ochroną, porządną siłą ognia, pojemnym przedziałem desantowym. Nie wszystkie te elementy można mieć jednocześnie. Dlatego popularne staje się pojęcie konstrukcji modułowej – pojazdu-platformy, który można zaaranżować różnorodnie, w zależności od zadania. Tak jest i u nas. Już jakiś czas temu ogłoszono program uniwersalnej modułowej platformy gasienicowej (UMPG). W jej ramach ma powstać między innymi bojowy wóz piechoty Borsuk. Kwestia uniwersalnej platformy dla BWP rodzi wiele pytań dotyczących takty-

OPINIA

RAFAŁ
MIERNIK

Przyszła platforma dedykowana wojskom lądowym musi odznaczać się możliwością implementacji szeregu zaawansowanych technologii. Mówimy tu nie tylko o wykorzystaniu ich już na etapie projektowania wozu, ale również w przyszłości, kiedy to gotowy już pojazd dzięki przyjętym rozwiązaniom będzie podatny na kolejne modernizacje i doposażenie. W systemy, które będą dostępne dopiero w dalszej przyszłości. Natomiast już dziś trzeba zwrócić uwagę na takie zagadnienia jak np. wielozakresowe pokrycia maskujące, nowy typ nanopancerza ceramicznego i oczywiście zaawansowane wyposażenie z zakresu łączności i wymiany danych.

Płk **Rafał Miernik** jest szefem sekcji analiz systemów wsparcia walki w I3TO.

ki i zasad walki. Czy lepiej jest oczekiwać umieszczenia możliwie wielu sensorów na każdym wozie i formowania homogenicznych plutonów, jak się to dzieje obecnie, czy może rozsądniej jest stworzyć zupełnie nowy model plutonu czy kompanii, z różnymi pojazdami, przeznaczony do różnych celów? Co staje się ważniejsze: spieszenie licznej i dobrze wyposażonej piechoty czy siła ognia BWP? To pytania, które należy postawić na początku formułowania doktryny walki, czego pochodną będą wymagania techniczne dla tego typu pojazdów.

ZNAJOMOŚĆ POTRZEB

Można nawet pójść dalej i powiedzieć, że współcześnie klasyczne BWP zdają się niepotrzebne, że zamiast równoległego rozwoju bojowego wozu piechoty uzbrojonego w armatę kalibru 30 mm, przydatną głównie do walki z innymi bojowymi wozami piechoty, oraz wozu wsparcia bezpośredniego Gepard, o silniejszym uzbrojeniu, lepiej z borsuka zrobić transporter opancerzony bez wieży (dzięki czemu będzie przewozić liczniejszą drużynę piechoty, o większych możliwościach po spieszeniu) i już na poziomie plutonów zmechanizowanych połączyć go z gepardami. To akurat jednak koncepcja, która w naszej armii nie jest brana pod uwagę.

Współcześnie nawet jeden czołg czy BWP należy postrzegać jako część zwartego, stale będącego we wzajemnych interakcjach, szerokiego systemu. Zyskało to modną nazwę sieciocen-



tryczności. To pojęcie można rozciągnąć na etap planowania i realizacji programów uzbrojenia. Inżynierowie projektujący nowy wóz muszą mieć świadomość, że będzie on operował w konkretnym środowisku, w którym obowiązują określone standardy. Wojsko zaś jest zobowiązane odpowiednio wcześniej te standardy opracować i wdrożyć. Jeśli to nie działa, mamy do czynienia z takimi problemami, jak chociażby brak zgrania systemów łączności między różnymi typami pojazdów bojowych. W borsuku takie elementy muszą być dopięte już na poziomie projektowania. Ten pojazd musi bowiem powstawać nie równoległe, lecz jednocześnie z takimi programami jak choćby „Tytan”.

OCZAMI ŻOŁNIERZY

Gdyby zapytać dowódcę kompanii, plutonu, wozu czy drużyny piechoty, jaki powinien być ich zdaniem idealny bojowy wóz piechoty, opinie mogłyby się nieco różnić. Inaczej na narzędzie walki patrzy bowiem dowodzący całym plutonem, inaczej kierowca. Ale wspólnych wniosków będzie jednak więcej.

Dla załogi kluczowe parametry to mocna jednostka napędowa, dobra świadomość sytuacyjna, solidna ochrona i potężna siła ognia. I tak napęd, koniecznie w łatwym do wymiany i diagnostyki układzie power-pack, musi mieć nadmiar mocy. Dzięki temu wóz będzie się sprawnie poruszał w terenie, szybko jeździł i stanie się niezawodny. Właściwe warunki pracy załóg będą automatycznie przekładały się na efektywność całych pododdziałów. „Właz i przyrządy obserwacyjne kierowcy powinny umożliwiać mu obserwację półsfery przed wozem oraz zapewniać możliwość obserwacji sąsiednich wozów w szyku. Przyszły BWP powinien mieć zatem duże i odpowiednio rozmieszczone peryskopy, noktowizor lub nawet termowizor dla kierowcy do obserwacji drogi w nocy, a także kamerę cofania”, wyjaśnia kpt. Michał Pietrzak, oficer w Wydziale G-2 12 Dywizji Zmechanizowanej, wcześniej między innymi dowódca kompanii na BWP-1 w 7 Brygadzie Obrony Wybrzeża.

Jak powinien być uzbrojony nowy wóz? „Uzbrojenie, środki obserwacji i sprzężony z nimi system kierowania ogniem są najistotniejszą częścią współczesnego bojowego wozu piechoty. Ich dobór trzeba poprzedzić staranną analizą, uwzględniającą sposób przyszłego wykorzystania nowego wozu w walce”, zauważa kpt. Pietrzak. „Szybkostrzelna armata powinna umożliwiać użycie amunicji programowalnej i być zdolna do niszczenia nie tylko siły żywej i wozów opancerzonych, lecz także celów nisko lecących, w tym śmigłowców i bezzałogowych statków powietrznych. Konieczna jest też wyrzutnia ppk, żeby razić czołgi przeciwnika. W wypadku wyboru wieży bezzałogowej należy rozpatrzyć możliwość usuwania zacięć i niesprawności uzbrojenia z wnętrza wozu. System kierowania ogniem powinien mieć tryb hunter-killer [wymiana funkcji między dowódcą i działonowym]”, dodaje kapitan.

Obserwację ma zapewnić między innymi dookólne urządzenie do obserwacji dziennie-nocnej dla dowódcy. Do tego konieczne są odpowiednie radiostacje. Solidną ochronę zapewniłby pancerz właściwy chroniący od czoła przed ogniem armat szybkostrzelnych innych BWP, po bokach – od ognia wkm, a od spodu dawałby solidną osłonę od min. Należy też wspomnieć o aktywnych systemach samoobrony, głównie przed ppk.

Jak łatwo zauważyć, obecnie eksploatowany w Wojsku Polskim BWP-1 nie spełnia... żadnego z tych wymogów. Nawet rosomakowi wiele z takiej listy brakuje.

Dla drużyny piechoty jadącej do walki w BWP jego siła ognia może być z kolei już pewnym problemem. Im większa siła ognia pojazdu, tym mniej miejsca dla żołnierzy desantu, a drużyna złożona na przykład zaledwie z sześciu ludzi, po spieszeniu nie będzie miała dość sił, aby działać samodzielnie. Piechurzy podkreślają zawsze, że chcą wiedzieć dokładnie, w jakich warunkach przyjdzie im działać w chwili opuszczenia wozu. Przedział desantu musi być zatem wyposażony w nowoczesne kamery dziennie-nocne pokazujące teren wokół pojazdu. Włazy muszą się łatwo zamykać i otwierać, i być na tyle duże, by objuczeni w broń i wyposażenie osobiste żołnierze łatwo mogli się nimi przemieszczać. Warunki bytowe w BWP powinny być takie, aby nawet długa jazda nie zmęczyła żołnierzy, ponieważ muszą być oni gotowi do walki. Chodzi zatem o klimatyzację, odpowiednią aranżację foteli, pokładowe ładowarki do urządzeń elektronicznych, miejsce na bagaż.

Dowódca kompanii zwróci z pewnością uwagę na system dowodzenia i wymiany danych z wozami z plutonów, w tym na system zarządzania polem walki. Jego borsuk musi być swoistym centrum dowodzenia, ze zwielokrotnionymi względem pozostałych BWP środkami łączności. Chodzi o to, aby nie trzeba było korzystać z plecakowej radiostacji radiotelefonisty.

Czy głośny dziś wymóg pływalności jest tym, co dowódca wozu, żołnierz desantu czy nawet dowódca kompanii mogą uznać za szczególnie przydatny? Wydaje się, że niekoniecznie. W warunkach pokoju pokonywanie przeszkód wodnych w ten właśnie sposób jest zmorem, ze względu między innymi na wiele szczególnych procedur bezpieczeństwa i wyzwań logistycznych. Nic dziwnego, że rzadko jest to trenowane. W czasie wojny o tym, czy kompania sforsuje rzekę, czy nie, i tak będzie decydowało przede wszystkim wsparcie saperów, a nie możliwości samych wozów. Pływalność podoba się jednak na wyższych sztabach, bo poszerza teoretyczne możliwości taktyczne wojsk, pozwala uelastyczyć planowanie, daje większe pole do działania.

TO NIE CZOŁGI

Koncepcja wozu Borsuk uwzględnia konieczność zastosowania w nim wielu nowatorskich rozwiązań – chodzi o mocny silnik, uzbrojenie (30-milimetrowa armata w wieży bezzałogowej oraz ppk), aktywne systemy samoobrony, funkcjonowanie w sieciocentrycznym systemie wymiany danych. Jednocześnie jest jednak bardzo klasyczna. Ma bowiem być zbudowany pojazd o typowych dla BWP cechach, jeśli chodzi o uzbrojenie, wymiary, masę czy wielkość przedziału desantowego. Tak więc ma powstać bojowy wóz piechoty, tyle że z wieloma awangardowymi rozwiązaniami. Nie jest to nic nietypowego, taki kierunek rozwoju tego typu konstrukcji można obserwować na całym świecie.

Bojowe wozy piechoty to jednak nie czołgi. Nigdy nie osiągną ich siły ognia czy poziomu ochrony (to ostatnie jest możliwe w wypadku najcięższych wozów tego typu, które są po prostu... czołgami bez wież). Zasadniczym ich zadaniem jest dowieszenie na pole walki i wsparcie w boju drużyny piechoty. I o tym przede wszystkim trzeba pamiętać w kontekście programu „Borsuk”. Być może realizowany program UMPG, w którego ramach ma powstać i BWP, i „lekki czołg” Gepard, da nam możliwość bardziej elastycznego podejścia do tego, jaki pojazd jest idealnym narzędziem transportu i wsparcia drużyny piechoty na polu walki. ■

SIERŻ. MARIAN BRYKALSKI

W wojsku służy od: 20 kwietnia 1993 roku.



Data i miejsce urodzenia:

24 czerwca 1973 roku,
Słomniki.

Tradycje wojskowe: brak.

Stanowisko: dowódca drużyny – kierownik nurkowania w plutonie nurków. Kompania saperów 6 Batalionu Dowodzenia 6 Brygady Powietrznodesantowej.

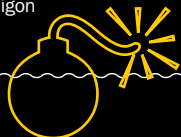
Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: trudno powiedzieć. Najbardziej cieszę się, że zostałem żołnierzem.

Moje największe osiągnięcie: w 2013 roku. Dzięki uznaniu moich kolegów z jednostki otrzymałem tytuł Podoficera Roku 6 Brygady Powietrznodesantowej. Prywatnie najbardziej jestem dumny z mojej licznej rodziny.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podobą mi się: bordowy beret spadochroniarza.



Moja książka życia: „Poligon szatana” Igora Bunicza.



Misje i ćwiczenia: cztery razy uczestniczyłem w misjach zagranicznych. Dwukrotnie jako saper służyłem w Bośni i Hercegowinie, raz byłem w Kosowie i Afganistanie. W kraju odbyłem wiele kursów i szkoleń nurkowych, a także szkolenia spadochronowo-desantowe, między innymi na spadochronach szybujących AD 2000. Jako saper codziennie biorę udział w zajęciach pod wodą i na lądzie, wykorzystując materiały wybuchowe oraz miny.

Gdybym mógł zmienić coś

w wojsku: ograniczyłbym pracę papierkową, która jest pracochłonna i coraz bardziej zawiła, a czasami nawet przeszkadza. Taką zmianą na pewno wpłynęłaby korzystnie na wyszkolenie żołnierzy.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: różnorodność symboliki, między innymi oznak rozpoznawczych i odznak honorowych, które odnoszą się do heraldyki rycerskiej.

Przełomowe wydarzenie w życiu: decyzja o związaniu się z zawodową służbą wojskową.



Niezapomniany film: „The Guardian”.



Zostałem żołnierzem, bo: zawsze chciałem. To mogło być przeznaczenie. Rodzinne anegdoty mówią, że gdy jako ministrant nosiłem świecę, wyglądałem tak, jakbym trzymał karabin :).

Najlepsza broń: karabin AKMS.



Edukacja wojskowa: Inżynieryjna Szkoła Podoficerska w Dębicy, kurs przygotowawczy podoficerów do wojsk aeromobilnych we Wrocławiu.



Co robię po służbie: głównie poświęcam czas rodzinie. Mam fantastyczną żonę, dwóch synów i córkę, a w lipcu zostanę tatą po raz czwarty.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. MARCIN GIL/6 BPD

kadr



| MISJE |

WALDEMAR MŁYNARCZYK

PODNIĘBNA SESJA

Do bazy litewskich sił
powietrznych przyjechali najlepsi
fotografowie, aby wziąć udział
w sesji zdjęciowej „air to air”.

WALDEMAR MŁYNARCZYK / COMBAT CAMERA DORSZ



ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ

Jeden z pilotów tuż przed startem. Zanim maszyny wzbiją się w przestrzeń, wszystko musi być dokładnie sprawdzone.

Polski kontyngent na Litwie ma do dyspozycji cztery samoloty MiG-29. Trzon PKW „Orlik VI” wystawiła 23 Baza Lotnictwa Taktycznego z Mińska Mazowieckiego. Głównym zadaniem naszych żołnierzy jest pełnienie dyżurów w systemie natowskim i strzeżenie granic państw bałtyckich: Estonii, Litwy i Łotwy. Pilnują oni również przestrzeni powietrznej oraz udzielają pomocy załogom samolotów wojskowych i cywilnych w sytuacjach awaryjnych podczas lotu.

Siły wydzielone z państw sojuszniczych są zaangażowane w misję typu air policing od 29 marca 2004 roku. Jako pierwsza dyżur pełniła Belgia. Najpierw odbywały się one w rytmie trzymiesięcznym, ale od 31 marca 2006 roku kolejne

zmiany trwają po cztery miesiące. Polacy są teraz zaangażowani w 37. rotację misji „Baltic Air Policing”, której przewodzą Włochy. Oprócz MiG-29 na Litwie stacjonują zatem również włoskie samoloty Eurofighter Typhoon.

W bazie litewskich sił powietrznych zorganizowano podniebną sesję zdjęciową „air to air”. Przygotowania do tego wydarzenia wymagały zaangażowania sporej grupy zarówno żołnierzy z natowskich kontyngentów wojskowych, jak również Litwinów z bazy w Szawlach. W rezultacie pojawili się tam najlepsi fotografowie pasjonaci lotnictwa. Efekty pracy zespołu reporterskiego Combat Camera Dowództwa Operacyjnego RSZ można podziwiać na zdjęciach, które wykonano z platformy samolotu litewskich sił powietrznych C-27J Spartan. ■

MIG-29 NAD CHMURAMI. NA TAKIE
KADRY CZEKAJĄ CHYBA WSZYSCY
MIŁOŚNICY LOTNICTWA

WALDEMAR MLYNARCZYK / COMBAT CAMERA DORSZ (2)

POLACY I WŁOSI BIORĄCY UDZIAŁ W DYŻURZE NATOWSKIM STANOWILI DOBRY
TEAM, CHRONIĄC PRZESTRZEŃ PAŃSTW NADBAŁTYCKICH

ARKADIUSZ DWULATEK /
COMBAT CAMERA DORSZ

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Pod osłoną nocy

Już wkrótce zaczną desantować ludzi i ładunki nocą, będą też lądować i startować z nieutwardzonych lądowisk. Piloci samolotów transportowych przygotowują się do nowych zadań.

Loty z wykorzystaniem noktowizji są wykonywane w polskim lotnictwie od kilku lat. W NVG (Night Vision Goggles) latają piloci wielozadaniowych F-16, powidzkich C-130 Hercules i M-28 B/PT Skytruck. Nocne loty wykonują także załogi polskich śmigłowców (w goglach latały bojowo na przykład w Afganistanie).

Dwa lata temu w lotach tego typu wyszkoliła się także pierwsza grupa pilotów i techników z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego. Załogi z Balic mogą startować, wykonać lot na określonej trasie i lądować, ani na moment nie zdejmując gogli. Po kursie podstawowym z nocnych lotów w NVG przyszedł czas na szkolenie zaawansowane – baliccy piloci i technicy kończą właśnie kurs w Hiszpanii.

NIE PO OMACKU

„Wchodzimy w ostatni etap szkolenia taktycznego, czyli loty z wykorzystaniem gogli noktowizyjnych”, mówi płk pil. Krzysztof Cur, dowódca 8 Bazy Lotnictwa Transportowego, i dodaje: „Już niebawem będziemy w pełni wyszkoleni i przygotowani do najbardziej wymagających zadań lotniczych. Będziemy mogli niezauważenie przylecieć w dowolne miejsce i z dowolnego miejsca wystartować, na przykład z nieutwardzonych pasów startowych. Pod osłoną nocy polecimy w re-

jony konfliktów zbrojnych. Będziemy też gotowi do ewakuacji obywateli z terenów niebezpiecznych i desantowania ludzi i ładunków”.

Płk Cur podkreśla, że intensywne szkolenie z latania nocą bez używania oświetlenia jest konieczne, choćby ze względu na charakter współczesnych konfliktów zbrojnych oraz zobowiązania naszej armii. Obecnie trwa dyżur komandosów w Siłach Odpowiedzi NATO, w przyszłym roku będzie aktywowana Wyszehradzka Grupa Bojowa Unii Europejskiej. „Nie wiadomo, jakie czekają nas misje w przyszłości. Lotnictwo transportowe musi być przygotowane na różnego rodzaju scenariusze”, dodaje dowódca.

Loty w goglach wspomagających nocne widzenie wykonują najbardziej doświadczeni lotnicy. W wypadku samolotów transportowych szkolenie przechodzą piloci oraz technicy pokładowi i technicy załadunku.

Zanim jednak piloci włożą gogle noktowizyjne, muszą odbyć cały cykl specjalistycznych badań i szkoleń. Na początek kandydaci zgłaszają się na testy psychologiczne i badania medyczne. „Lotnicy muszą być dokładnie przebadani. Na przykład sprawdza się odcinek szyjny kręgosłupa. To konieczne ze względu na wagę hełmu. Są też wykonywane testy psychologiczne, podczas których sprawdzamy czas reakcji,

podzielność uwagi oraz koncentrację”, wyjaśnia pil. Marek Gąsik z Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej w Warszawie.

KURS PO CIEMKU

W trakcie badań specjaliści oceniają, w jakim stopniu piloci noszący gogle noktowizyjne radzą sobie z percepcją i przyswajaniem informacji. „Pole widzenia w goglach jest ograniczone do kąta 38°. To może przeszkadzać. Jest ciemno, a do pilota docierają bodźce peryferyczne w stopniu znacznie ograniczonym. Mimo to musi on przezwyciężyć trudności związane z ewentualnym wystąpieniem zaburzeń orientacji przestrzennej i wykonać bezpieczny lot”, wyjaśnia specjalista z WIML-u.

Po badaniach załogi trafiają do Instytutu na dwudniowe szkolenie z widzenia nocnego. Kurs jest podzielony na dwie części: teoretyczną i praktyczną. Na początek personel latający przyswaja wiedzę związaną z okulistyką, na przykład zagadnienia dotyczące specyficzności widzenia w dzień i w nocy. „Omawiamy przykłady nieprawidłowego stosowania gogli, doprowadzającego do powstawania wypadków lotniczych. Zwracamy uwagę na ograniczenia związane z widzeniem nocnym. Wyjaśniamy, jak człowiek rozpoznaje w nocy cha-

rakterystyczne elementy”, wymienia Marek Gąsik. „Tłumaczymy, jakiego rodzaju oświetlenie jest potrzebne, żeby na matrycach gogli można było rozpoznawać szczegóły. I wreszcie, mówimy o warunkach meteorologicznych mających wpływ na działanie w NVG”.

Szkolący się oglądają również przygotowane przez specjalistów z WIML-u filmy. „Podczas lotu samolotem filmujemy scenę sytuacji zewnętrznej. Prezentowany obraz jest jednocześnie rejestrowany za pomocą kamery zwykłej i noktowizyjnej”, dodaje Gąsik.

W trakcie zajęć praktycznych lotnicy przechodzą trening w ciemni. Uczą się dopasowywać i kalibrować gogle, a później oswajają się z urządzeniem, obserwując makietę terenu wykonaną w skali 1:150. Na planszy umieszczono między innymi lotnisko, budynki, linie energetyczne, wzgórza, pojazdy, drzewa. „To takie wrażenie, jakby obserwowali teren z pokładu statku powietrznego z wysokości 150 m”, wyjaśnia kierownik pracowni. „Podczas zajęć możemy także symulować różnego rodzaju oświetlenie. Między innymi światło Księżyca, oświetlenie pasa startowego, światła dróg kołowania czy nawet oświetlenie słupów energetycznych”.

Kursanci próbują swoich sił w goglach noktowizyjnych także w trakcie ćwiczeń na dynamicznym symulatorze lotu. ➔

SKRZYDŁO W GOGŁACH

W jednostkach 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego loty w goglach noktowizyjnych wykonują załogi Mi-17, M-28, C-130 i C-295M. Do latania w NVG są przeszkoleni piloci, nawigatorzy, technicy, loadmasterzy oraz strzelcy pokładowi (na Mi-17). Lotnicy wykonują loty treningowe najczęściej raz w miesiącu. Noktowizja była używana także podczas różnego rodzaju ćwiczeń, między innymi „Noble Sword '14”, czyli natowskiej certyfikacji wojsk specjalnych przed dyżurem w NATO.



8 B L T R.

Do ich dyspozycji są kabiny odwzorowujące środowisko pracy pilotów samolotu F-16 lub MiG-29. Z tego ostatniego wariantu korzystają w czasie nauki piloci śmigłowców i samolotów transportowych. „Nie ma znaczenia, w jakiej kabinie siedzimy, bo naszym zadaniem nie jest nauka i trening techniki pilotażu. Możemy symulować chmury, deszcze i opady śniegu. Uczymy, jak odczytywać przyrządy pilotażowo-nawigacyjne”, wyjaśnia Marek Gąsik. „Najważniejsze, żeby zrozumieć, że gogle nie zamieniają nocy w dzień. To jedynie urządzenie pomocnicze, które też ma swoje ograniczenia”.

NASTĘPNY ETAP

Po skończonej nauce w WIML-u piloci wyjechali na szkolenie do Hiszpanii. „W Sewilli częściowo powtarzaliśmy poznane wcześniej wiadomości, przy czym hiszpańscy wykładowcy koncentrowali się głównie na iluzjach optycznych”, wyjaśnia kpt. pil. Karol Hali, dowódca załogi z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego, który w goglach noktowizyjnych wylatał ponad 70 godzin. Pilot wyjaśnia, że w czasie kursu każdy z lotników trenował także na symulatorze. „Ćwiczyliśmy sytuacje szczególne, czyli na przykład wyłączenie silników, problemy z elektroniką, lądowanie na niepełnowymiarowych pasach, gwałtowne zmiany pogody oraz uszkodzenia gogli w różnych fazach lotu”.

Po sesji treningowej lotnicy usiedli za stery C-295M. Każdy wykonał dwa kilkugodzinne loty. „Kurs podstawowy przygotowuje do lotów na małych, średnich i dużych wysokościach. Uczy podstawowych podejść taktycznych i lotów w terenie górzystym”, opisuje mjr pil. Sławomir Byliniak, zastępca dowódcy eskadry z 8 Bazy, jeden z pierwszych pilotów samolotowych, którzy zostali przeszkoleni do lotów w NVG. Pilot obecnie szkoli się w Hiszpanii na poziomie zaawansowanym. „Między pierwszym a drugim kursem musi minąć przynajmniej rok. Po kursie zaawansowanym będziemy przygotowani z podejść taktycznych, desantowania ładunków i ludzi. Przećwiczmy loty w szyku oraz lądowanie na pasach nieutwardzonych”, dodaje pilot.

Kolejnym etapem, po ukończeniu kursu podstawowego, było szkolenie w Polsce. Zwykle latali raz w miesiącu (wymagane minimum to raz na trzy miesiące). „Takie zadania lotnicze są na różnym poziomie trudności. Zaczęliśmy od lotów przy dobrej pogodzie, gdy podstawa chmur wynosiła 500 m, a widoczność sięgała 5 tys. m”, wyjaśnia kpt. Hali.

Do każdego lotu nocnego piloci muszą się starannie przygotować. Wyznaczoną trasę sprawdzają najczęściej jeszcze za dnia. Poznają teren, różnego rodzaju przeszkody, a ewentualne miejsca niebezpieczne porównują z mapami. „Trzy dni przed planowanym lotem staramy się przychodzić do pracy na zmianę popołudniową. Musimy się przestawić na »tryb nocny«. Podczas lotów z goglami trzeba się mocno koncentrować. Nie można sobie pozwolić na zmęczenie czy roztargnienie”, opisuje kpt. Hali. Loty w NVG wykonują nie wcześniej niż godzinę po zachodzie i nie później niż godzinę przed wschodem słońca (w przeciwnym razie przeszkadza im luna).

Do lotu, podczas którego załoga używa NVG, jest przygotowywany także samolot. Kabina zostaje przyciemniona, a wewnątrz wyłącza się wszystkie światła. Odpowiednie informacje muszą mieć także kontrolerzy lotniska. Za ich zgodą są wyłączane światła pasa startowego i dróg kołowania. „Jeśli lotnisko jest w pełni oświetlone, nie można używać noktowizji, bo światło strasznie razi. Do treningów wybieramy najczęściej lotniska wojskowe, które mogą wyłączyć światła i zapewnić nam wolną strefę w powietrzu. Najczęściej latamy więc do Świdwina, Łasku, Powidza. Wykonujemy też loty w Bieszczady i Tatry”, podkreśla mjr Byliniak.

OSZUKAĆ OKO

Choć piloci lubią latać z noktowizją, przyznają, że urządzenia do nocnego widzenia mogą szybko zmęczyć. Powodem tego jest między innymi zaburzenie rytmu okołodobowego, iluzje optyczne, a nawet waga hełmu, wynosząca wraz z goglami około 3 kg.

Iluzje optyczne to jedno z najpoważniejszych niebezpieczeństw, na które muszą być przygotowani piloci w czasie wykonywania lotów nocnych w NVG. Mogą mieć oni problem z określeniem prawidłowej wysokości lotu, właściwej odległości pomiędzy obiektami. „Zdarzają się także zjawiska określane jako ślepotą zmierzchowa czy czarna dziura. Ta ostatnia dotyczy sytuacji, kiedy w trakcie podejścia do lądowania załoga ma zmniejszoną liczbę punktów odniesienia”, wyjaśnia Marek Gąsik.

„Wiele zależy od położenia Księżyca, od intensywności światła. Może się zdarzyć, że lecąc w stronę Księżyca, widzimy najwyższą przeszkodę, a niższej już nie, bo jest zaciemniona. Trzeba pamiętać o możliwych iluzjach i bardzo starannie przygotowywać trasę takiego lotu”, przyznaje kpt. Hali. ■



Symulator GMDSS, podobnie jak inne w Akademii, został stworzony z myślą zarówno o podchorążych, jak i oficerach pokładowych marynarki wojennej.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Wirtualny okręt

Tu mówi „Słowacki”, czyli jak szkoli morską Akademię.

Dla mnie to jest тренаżer nie 3D, ale 9D”, przekonuje kmdr por. Mirosław Chmieliński, kierownik Pracowni Broni Rakietowej i Artylerii w Akademii Marynarki Wojennej. Tak właśnie, na niewielkim monitorze, przed oczami strzelca porusza się trójwymiarowy model samolotu bądź śmigłowca. Krótko mówiąc: cel. Sama armata obraca się o 180 stopni, w dodatku platforma, na której została osadzona, imituje kołysanie okrętu – to 4D i 5D. Pozostałe D to efekty odczuwalne dzięki dodatkowym urządzeniom zamontowanym w kabinie. Wystarczy wymienić przyrząd, który tłoczy do wnętrza przesycone wilgocią powietrze, czy włożoną pod siedzenie nagrzewnicę. „Dzięki temu możemy stworzyć operatorowi warunki zbliżone do tych, które miałyby choćby na Morzu Śródziemnym”, tłumaczy kmdr por. Chmieliński.

Oto jedna z perełek pracowni – тренаżer morskiego przeciwlotniczego zestawu artyleryjsko-rakietowego ZU-23-2MR. Mówiąc prościej – mam przed oczami klasyczną armatę Wróbel II. Identyczne można oglądać na przykład na pokładach niszczycieli min projektu 206 FM (OORP „Czajka”, „Flaming”, „Mewa”) czy na polskich okrętach transportowo-minowych. Tyle że ta, zamiast na burcie, została zamontowana w niewielkiej ogrzewanej hali i połączona z wirtualnym światem. Za moment będę miał okazję przekonać się w praktyce, jak ten system działa.

DWÓJKA ZE STRZELANIA

Siadam w niewielkiej kabinie strzelca. Między kolanami mam wystającą z podłogi dźwignię z przyciskami. Dzięki niej można obracać kabiną i strzelcą. Zakładam hełmofon, przez który usłyszę dzwonek okrętowego alarmu i meldunek o zbliżającym się celu. Sam cel zobaczę w umiejscowionym na wysokości oczu monitorze. Tam też będę widział wyloty luf, któ-

rymi operuję, i wystrzelone przez siebie pociski. „Gotów? Mam nadzieję, że jesteś po śniadaniu, bo robię stan morza na poziomie 3”, rzuca kmdr por. Chmieliński. Chwilę później armata zaczyna kołysać się z jednej strony na drugą, na ekranie zaś pojawia się morze, fra gment mojego okrętu i wolno sunący śmigłowiec nieprzyjaciela. Niebo jest zachmurzone, pada deszcz, słowem: pogoda pod psem. Usiłuję „gonić” śmigłowiec, przesuwam armatę, strzelam. „Stop! Ilość zużytej amunicji: 40 sztuk. Dużo. Czas strzelania: 38,95 s. Za długo. Śmigłowiec nie stoi przecież w miejscu. Przy tej prędkości zdąży uciec z pola rażenia po 30 s! Cel nie został strącony. Krótko mówiąc: ocena dwa”, podsumowuje kierownik pracowni.

W ten sposób na тренаżerze ćwiczą podchorążowie, którzy w przyszłości zostaną oficerami marynarki wojennej, ale też marynarze z obsady okrętów. Od 2011 roku przewinęło się przez to miejsce 1600 osób. „Wystrzelili tyle wirtualnych pocisków, ile marynarka przez dziesięć lat. Obliczyłem, że ich trening był 500 razy tańszy, niż gdyby miał się odbywać na okrętach”, podkreśla kmdr por. Chmieliński.

Tymczasem тренаżer oparty na armacie Wróbel II to zaledwie wycinek tego, czym dysponuje pracownia. Najstarszy sprzęt pochodzi z 1927 roku. To makieta morza, po której instruktor przesuwając przymocowany do prowadnicy model okrętu. Jednocześnie przez otwory w planszy wystawia tekturowe imitacje słupów wody wzbijanych przez upadający pocisk. Ćwiczący wydaje komendy „dalej”, „bliżej” i w ten sposób trenuje wstrzeliwanie się w cel.

Dziś тренаżer ten jest traktowany raczej jak eksponat, ciekawostka, która stanowi uzupełnienie nowoczesnych urządzeń. Takich, jak choćby konsola przeznaczona do treningów strzeleckich z wykorzystaniem rakiet RBS Mk II. Tego rodzaju sprzęt można znaleźć na okrętach rakietowych typu Orkan. ➔



„W trenarze armaty Wróbel II siadam w niewielkiej kabine strzelca. Między kolanami mam wystającą z podłogi dźwignię z przyciskami. Dzięki niej można obracać kabiną i strzelać”, mówi autor tekstu.

I właśnie służący na nich marynarze bardzo często odwiedzają pracownię. „Tutaj mogą ćwiczyć w spokoju. Poza tym powtarzają, że jak zepsują, to przynajmniej nie swoje”, żartuje kmr por. Chmieliński. Na ciemnym monitorze błyszczą kontury linii brzegowej nad Zatoką Gdańską. Nad Półwyspem Helskim widać niewielki niebieski prostokąt – to nieprzyjacielski okręt, którego muszą dosięgnąć nasze rakiety. Marynar obsługujący system projektuje tor ich lotu. „W tym wypadku jedną rakietę należałoby puścić od strony Zatoki Gdańskiej, drugą od zachodu. Nieprzyjaciel ma szansę dostrzec pierwszą, ale w tym czasie druga wyskoczy mu zza Półwyspu Helskiego i będzie po nim”, tłumaczy kierownik pracowni.

Do tego można by dodać choćby endoskopowe stanowisko diagnostyki luf armat morskich (urządzenie z przewodem wyposażonym w miniaturową kamerę, dzięki której można obejrzeć wnętrze lufy i ocenić jej zużycie) czy multimedialny system identyfikacji obiektów morskich (przyszli oficerowie uczą się odróżniać od siebie poszczególne modele pojawiających się na Bałtyku jednostek pływających). Lista cały czas się wydłuża.

Najmłodsze dziecko pracowni to trenar, na którym można ćwiczyć strzelanie z wielkokali-

browego karabinu maszynowego bądź wyrzutni Grom. Składa się on z platformy imitującej fragment okrętowego pokładu. Specjalny mechanizm sprawia, że kołysze się ona z wybraną przez operatora siłą. Jak okręt na morzu.

„Podczas konstruowania trenarza eksperci analizowali, w jaki sposób poruszają się jednostki różnego typu. Ich zachowanie na falach różni się przecież w zależności od wielkości czy budowy. A to ma przełożenie na sytuację, w której operuje stojący na burcie strzelec”, tłumaczy kmr por. Wojciech Mundt, rzecznik AMW.

Wchodzę na platformę, gdzie wkładam specjalne okulary. Za moment zobaczę w nich przeciwnika. Na ramieniu dźwigam wyrzutnię. „To tak zwana makieta masowo-gabarytowa, czyli idealne odwzorowanie oryginalnego sprzętu”, tłumaczy kmr por. Chmieliński. Wyrzutnia wraz z rakietą waży 17 kg. Makieta niewiele mniej. Platforma zaczyna się kołysać. Stan morza: ponownie 3. Na twarzy czuję strumień powietrza ze stojącej pod platformą dmuchawy – na morzu też przecież zwykle wieje. Jeszcze chwila i jest. Przed sobą widzę śmigłowca. Namierzam go, naciskając spust, wreszcie wypuszczam rakietę. Pudło. „Zgodnie z instrukcją obrony przeciwlotniczej

WYSTRZELILI TYLKO WIRTUALNYCH POCISKÓW, ILE MARYNARKA PRZEZ DZIESIĘĆ LAT

operator wyrzutni musi mieć 300 przechwyceń, by wykonywać strzelanie. Znacznie łatwiej ćwiczyć to tutaj niż na morzu. Przede wszystkim ze względu na koszty”, podkreśla kmdr por. Chmieliński. A ćwiczyć trzeba, tym bardziej że w 2014 roku wyrzutnie Grom znalazły się w wyposażeniu części polskich okrętów. A na tym nie koniec, bo AMW nie chce się ograniczać wyłącznie do szkolenia marynarzy. W wirtualnym świecie można odtworzyć nie tylko morze, lecz także choćby terytory do złudzenia przypominające te w Afganistanie.

Trenażer został oddany do użytku kilka tygodni temu. Zapłacił za niego resort obrony, a pieniądze pochodzą z planu modernizacji technicznej sił zbrojnych. Łącznie pracownia otrzymała już na ten cel 5 mln zł.

„SŁOWACKI” WZYWA POMOCY!

Kolejna sala, do której wchodzi, sprawia wrażenie raczej niepozorne. Próżno szukać tutaj armat czy karabinów na ruchomych platformach. Jej trzon to 17 komputerowych stanowisk. Jedno należy do instruktora, pozostałych 16 przygotowanych z myślą o ćwiczących. Do każdego z komputerów została przyczepiona kartka z nazwą fikcyjnego statku. Jest więc „Słowacki”, jest „Lem”, są „Mickiewicz” i „Żeromski”.

To właśnie najnowszy nabytek Pracowni Łączności Morskiej i Radiolokacji – symulator Global Maritime Distress and Safety System (GMDSS). „To światowy morski system łączności alarmowej i bezpieczeństwa”, tłumaczy kmdr por. Artur Szczepański, kierownik pracowni. Podchorążowie i kadra marynarki wojennej szkolą się tutaj z obsługi urządzeń łączności, alarmowania czy prowadzenia łączności w razie wypadku i akcji ratowniczej. Tyle teorii. A teraz trochę praktyki.

Na monitorach widzimy mapę świata. Ćwiczący mogą przybliżać dowolne rejony globu. Teraz uwagę koncentrujemy na Bałtyku, bo właśnie tam doszło do katastrofy, której scenariusz przygotował instruktor. Na przechodzącym nieopodal Kłajpedy „Słowackim” wybuchł pożar. Załoga rozpoczyna procedury alarmowe. „Przede wszystkim trzeba wywołać i powiadomić o wydarzeniach najbliższą stację brzegową. Mary-

narze powinni to zrobić w sposób określony międzynarodowymi przepisami, podając po angielsku swoją pozycję”, tłumaczy kmdr por. Szczepański. Meldunek jest nadawany przez radio, które stanowi integralną część każdego ze stanowisk. Wysłany w ten sposób sygnał dociera także do sąsiedniego „Prusa”. „Zgodnie z procedurami powinien on czekać, aż odezwie się wywoływana stacja brzegowa. To właśnie ona, wraz z Morskim Ratowniczym Centrum Koordynacyjnym, będzie zawiadywała akcją ratunkową. Do udziału w niej musi się przygotować każda z jednostek znajdujących się w pobliżu”, tłumaczy kmdr por. Szczepański.

Symulator GMDSS, podobnie jak inne w Akademii, został stworzony z myślą zarówno o podchorążych, jak i oficerach pokładowych MW oraz obsadach okrętowych działów łączności. „Dlaczego również oni? Wystarczy zadać sobie pytanie, jak często w ostatnich latach mieli do czynienia z katastrofą na morzu. Taką wiedzę trzeba utrzymywać, bo jest, niestety, ulotna”, podkreśla kierownik pracowni. Umiejętność stosowania procedur alarmowych stanowi dla użytkowników morza wielki problem. „Liczba fałszywych alarmów dochodzi nawet do 95%”, szacuje kmdr por. Szczepański.

W uniknięciu ewentualnych wpadek mogą pomóc zajęcia w sąsiednim laboratorium łączności morskiej. Ono również powstało za pieniądze przeznaczone na modernizację armii. Składa się z dziesięciu stanowisk dla kursantów i jednego dla instruktora. W trakcie ćwiczeń prowadzą oni między sobą łączność na różnych częstotliwościach, z użyciem najnowocześniejszych urządzeń. Przy każdym komputerze zostały zainstalowane niewielkie przyrządy do nadawania alfabetem Morse’a, a dzięki specjalnemu programowi można przesyłać z komputera na komputer sygnały świetlne. Podchorążowie uczą się tu też kodów flagowych.

„Marynarz musi znać podstawy komunikacji. To tak jak z nauką astronawigacji. Kiedy wysiadzie elektronika, trzeba określić położenie okrętu, patrząc na gwiazdy. Mało prawdopodobne? Możliwe, ale trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność”, zaznacza kmdr por. Szczepański i dodaje: „Łączność to podstawa funkcjonowania okrętu. Proszę pamiętać, że była ona pierwszą rzeczą, którą musieliśmy dostosować do standardów NATO po tym, jak wstąpiliśmy do sojuszu”.

NIE TYLKO DLA MARYNARZY

Tylko od początku 2015 roku w AMW zostało oddanych do użytku sześć nowych symulatorów i trenażerów. A na tym nie koniec. „Naszą bazę przez cały czas staramy się rozbudowywać i unowocześniać”, podkreśla kmdr por. Mundt. Wkrótce na przykład w okręcie podwodnym typu Kobben, który od kilku lat stoi na dziedzińcu uczelni, zostanie urządzone laboratorium. „Jesteśmy w trakcie modernizacji marynarki wojennej. Stopniowo będą wprowadzane do służby nowe okręty. Musimy za tymi zmianami nadążyć, a nawet je wyprzedzać. Poza tym, mimo że jesteśmy uczelnią morską, nie zamierzamy ograniczać się do pracy na rzecz jednego tylko rodzaju sił zbrojnych. Z naszej oferty mogą korzystać wszyscy żołnierze modernizującej się armii, a nawet instytucje cywilne”, mówi rzecznik Akademii. Niedawno gdyńska uczelnia nawiązała współpracę chociażby z Instytutem Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Specjaliści z obu instytucji przymierzają się do tego, by wspólnie prowadzić szkołę meteo dla żeglarzy. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Byłem legionerem

Kiedys stawali przed sądem. Dziś byłych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej można znaleźć w naszej armii. Ich obecność w wojsku jest jednak tematem tabu.

Jestem żołnierzem, bo od zawsze kocham wojsko. Nie pociągała mnie jednak »szara piechota«. Szukałem wyzwań, adrenaliny. Lubię sprawdzać się w najtrudniejszych, najbardziej ekstremalnych sytuacjach», opowiada swoją historię pewien żołnierz. Nie zgadza się na opublikowanie stopnia, imienia czy nazwiska. Ujawnienie jego jednostki też nie wchodzi w grę. „Służba w Legii nadal budzi emocje. Nie chcę być przesłuchiwany, wypytywany. Nie zrobiłem nic złego. Jestem polskim żołnierzem. I chcę, aby tak pozostało”.

DOBRY ŻOŁNIERZ

Wzdryga się na sugestię, że służbę w obcej formacji kiedys uważano za zdradę. „Nie zdradziłem. Czuję się patriotą. Pobyt w Legii Cudzoziemskiej nie sprawił, że mniej kocham swój kraj. Mało tego, uważam, że teraz, jako wszechstronnie wyszkolony żołnierz, mogę lepiej mu służyć. To nieprawda, że byłem najemnikiem. Na pewno nie w złym tego słowa znaczeniu. Zawsze walczyłem po dobrej stronie, tej samej, co polscy żołnierze. Legia jest przecież częścią armii sprzymierzonej, będącej, jak nasza, w NATO. Zawsze chciałem być żołnierzem w jakimś elitarnym oddziale. Kiedys nie umiano mnie wykorzystać, więc zaciągnąłem się do Legii. Dzisiaj jest inaczej. Służę więc w polskim mundurze i czuję się spełniony”, argumentuje.

„Nazywaj mnie Kolkov. To moje legionerskie nazwisko. Byłem tam dobrym żołnierzem. W czasie służby awansowałem na stopień premier class, czyli na starszego legionistę. Podczas jednej z misji zostałem ranny. To wydarzenie było zwrotem w moim życiu. Zakończyłem służbę w Legii. Pozwolili mi odejść ze wszystkimi honorami”.

Siedzący naprzeciwko mnie żołnierz, który we francuskich oddziałach cudzoziemskich podawał się za Ukraińca, zaczyna opowiadać o pobycie w legendarnej formacji. „W ciągu trzech lat byłem na wielu misjach. W Gujanie Francuskiej zajmowaliśmy się głównie ochroną. Odbyłem tam także słynny kurs Commando. Na terenie Dżibuti patrolowaliśmy granicę z Somalią. W tym kraju rebelianci kilka razy pogonili mój pododdział ogniem, ale w sumie było spokojnie. W Czadzie z kolei wręcz lajtowo. Byłem też w Wybrzeżu Kości Słoniowej oraz Kosowie. Służba polegała na tym, że kilka miesięcy siedział się gdzieś daleko w świecie, na dwa tygodnie wracało do Francji, aby wykorzystać urlop, i znów ruszało się w inny zapalny region kuli ziemskiej”, tłumaczy.

„Służyłem w 2 Cudzoziemskim Regimentzie Inżynierijnym, stacjonującym w Saint-Christol. Byłem żołnierzem bo-

jowego pododdziału commando de montagne [kompania piechoty górskiej]. W moim regimencie było niewielu Słowian. Przez długi czas mieszkaliśmy w sali z moim kapralem, który pochodził z Madagaskaru, i żołnierzem z Nepalu. Chcąc nie chcąc, musiałem szybko nauczyć się języka francuskiego”, dodaje.

SPEŁNIANIE MARZEŃ

Po chwili zadumy Polak noszący kiedys białe kepi zaczyna wspominać, jak trafił do legendarnej formacji, nazywanej często matką wojowników: „W 1997 roku poszedłem do służby zasadniczej. Na początku 1998 roku otrzymałem stopień kaprała. Kiedy latem dostałem tak zwany urlop taryfowy, wsiałem w pociąg i z Warszawy, przez Wiedeń, Wenecję, Monaco i Cannes, dotarłem do Aubagne we Francji, gdzie udałem się do punktu werbunkowego. Sierżant zapytał mnie, czy ukończyłem w kraju służbę wojskową. Skłamałem. Zapytał kolejny raz, a gdy znów potwierdziłem, zapytał, dlaczego go okłamuję. Na dowód otworzył moją książeczkę wojskową, gdzie nie było pieczątki o zwolnieniu do rezerwy. Później tłumaczył mi, że jeżeli się zaciągnę do Legii, będę dezertorem z polskiej armii ściganym jak przestępca. Przekonywałem jednak, że służba w ich jednostce to moje marzenie. On jednak nie ustąpił. Dał mi trzy dni do namysłu. Zapewnił, że jak wrócę do wojsku, to mnie przyjmie bez problemu. Radził też, abym wracał do kraju. Miałem 19 lat. Byłem małym chłopcem, a musiałem podjąć bardzo ważną decyzję. W końcu jednak postanowiłem wrócić do Polski”, opowiada legioner.

„Z tego urlopu spóźniłem się do koszar dwa tygodnie i zostałem ukarany za opuszczenie kraju bez zezwolenia. Mimo to miesiąc później awansowałem na starszego kaprała. Przełożeni wiedzieli, że jestem dobrym żołnierzem. Wkrótce podpisałem nawet akces na żołnierza nadterminowego i dostałem skierowanie na kurs chorążych. Niestety rozpoczęło rozwiązywanie jednostki. Zrobił się chaos kadrowy. Nie miałem już szans na żaden kurs ani na jakieś przeniesienie. Po dwóch kolejnych tygodniach trafiłem do cywila”, mówi rozczarowany, chociaż od tamtej pory minęło wiele lat.

DROGA PRZEZ PIEKŁO

Był wówczas 2000 rok. Po wyjściu do rezerwy Kolkov nie mógł sobie znaleźć miejsca w cywilnym życiu. „Byłem rozgoryczony, bo armia mnie odrzuciła. W głowie znów zaczęły



FURTKĄ DO NORMALNOŚCI, NAZYWANEJ PRZEZ BYŁYCH ŻOŁNIERZY LEGII CUDZOZIEMSKIEJ ABOLICJĄ, STAŁA SIĘ USTAWA Z 29 LIPCA 2005 ROKU O ZMIANIE USTAWY O POWSZECHNYM OBOWIĄZKU OBRONY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ORAZ O ZMIANIE USTAWY O SŁUŻBIE ZASTĘPCZEJ.

W jej art. 4 ust. 1 czytamy:

„Obywatele polscy, którzy przed wejściem w życie niniejszej ustawy przyjęli i pełnią służbę w wojsku lub organizacjach wojskowych państw członkowskich Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego albo państw członkowskich Unii Europejskiej bez wymaganej zgody, są obowiązani pisemnie zawiadomić o tym fakcie w ciągu roku od dnia wejścia w życie ustawy organ właściwy w sprawach udzielania zgody na służbę w obcym wojsku lub obcej organizacji wojskowej, za pośrednictwem polskiego

urzędu konsularnego w tym państwie. W zawiadomieniu należy wskazać nazwę obcego wojska lub obcej organizacji wojskowej, w której obywatel polski pełni służbę, oraz czas rozpoczęcia i termin jej zakończenia, a także przynależność ewidencyjną do wojskowej komendy uzupełnień na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Do zawiadomienia należy dołączyć dokument zawierający tytuł prawny stanowiący podstawę przyjęcia i pełnienia służby, z którego wynika nazwa obcego wojska lub obcej organizacji wojskowej, w której

jest pełniona służba, oraz termin jej rozpoczęcia i zakończenia”.

W kolejnych punktach ustawy zapisano:

„Spełnienie obowiązku, o którym mowa w ust. 1, jest równoznaczne z uzyskaniem przez obywatela polskiego zgody na służbę w obcym wojsku lub obcej organizacji wojskowej, do czasu zakończenia tej służby”.

„Nie podlega karze określonej w art. 141 §1 ustawy z dnia 6 czerwca 1997 r. – Kodeks karny (DzU nr 88 poz. 553 z późn. zm.) obywatel polski, który spełnił obowiązek określony w ust. 1”.

się pojawiać myśli o Legii”, przyznaje. „W końcu wsiadłem w pociąg i pojechałem do Strasburga do punktu werbunkowego. Przyjęli mnie bez problemów i trafiłem do ośrodka szkoleniowego w Castel, zwanego farmą. Jak przypomnę sobie szkolenie podstawowe, często nazywane drogą przez piekło, to przechodzą mnie ciarki. Egzamiны jednak poszły mi nieźle – po wszystkich testach i sprawdzianach byłem siódmy na 44 ochotników. Wreszcie otrzymałem wymarzone białe kepi. Miałem nawet prawo wyboru regimentu”, mówi z dumą.

SYN LEGIONU

„Znalazłem się w gronie dziwnych żołnierzy. Służyłem między innymi razem z Saszą, pułkownikiem z rosyjskiego specnazu, i niezwykle wysportowanym krawcem z Norwegii. Do Legii Cudzoziemskiej trafiają bowiem różni ludzie. Wielu ucieka na przykład przed wymiarem sprawiedliwości. Służą w niej jednak nie tylko przestępcy, lecz także zwyczajni faceci, którzy marzą o przygodzie”, podsumowuje Kolkov.

To pytanie musiało się pojawić w naszej rozmowie. Czy było warto? Kolkov się nie waha: „Tak. Zwiedziłem kawał świata. Może nawet służyłbym dłużej, gdyby w Wybrzeżu Kości Słoniowej mały chłopiec z kałachem nie postrzelił mnie w udo. Ale i tego nie żałuję”, przyznaje żołnierz. „Uważam, że przygoda w elitarnych oddziałach była warta jednej lekkiej rany”.

Wrócił do kraju. „Zacząłem pracować, ożeniłem się, mam dwóch wspaniałych synów i nadal jestem żołnierzem. Mimo postrzału jestem w pełni sprawny. Biegam w maratonach. Staram się być dobrym żołnierzem”, przyznaje. „Niestety czasu w Legii nie mam wliczonego do służby. Może tak by się stało, gdybym używał tam swojego nazwiska, ale białe kepi nosiłem jako Ukrainiec. Takie były zasady”, wyznaje. „Boli mnie, że niektórzy dowódcy patrzą na nas jak na ludzi z marginesu społecznego. Szkoda, bo byli legionieści to dobrze wyszkoleni żołnierze, których umiejętności można wykorzystać, szczególnie podczas misji zagranicznych. Mam nadzieję, że stosunek do nas kiedyś się zmieni”, kończy swoją opowieść Kolkov. ■



MATKA TERESA Z DIWANIIJI

Z Edytą Górlicką

o jednej z ważniejszych decyzji w życiu i pozytywnych skutkach czteroipółletniej nieobecności w domu rozmawia
Paulina Glińska.

Byla Pani na czterech zmianach misji w Iraku i pięciu w Afganistanie. Skąd u osoby niezwiązanej z wojskiem taki pomysł?

Faktycznie, w wojsku nigdy nie byłam. Mało też o nim wiedziałam, bo nikt w rodzinie nie służył w armii. Miałam jednak doświadczenie w udzielaniu pomocy humanitarnej, bo działałam jako wolontariuszka. Pomysł na misję przyszedł nagle. Byłam wtedy na takim etapie swojego życia, że czułam dużą potrzebę zmian. Wyjazd wydawał mi się idealnym pomysłem. I wtedy, w 2005 roku, zdecydowałam się na udział w misjach. Pojechałam do Iraku na piątą zmianę.

Pamięta Pani pierwszą misję?

Dla mnie to było wejście w zupełnie nieznaną sferę. Razem z dwoma oficerami pracowałam w zespole Centrum Koordynacji Pomocy Humanitarnej [Humanitarian Assistance Coordination Center – HACC]. Początkowo w ambasadzie amerykańskiej, potem, po przekazaniu bazy w Wasit, przenosiliśmy „dobytek” do Diwaniji. Zajmowaliśmy się szeroko pojętą pomocą humanitarną. Przekazywaliśmy na przykład żywność, między innymi dla Irakijczyków mieszkających w obozach dla uchodźców, pielgrzymów, bezdomnych, pacjentów szpitali.

Zapadły Pani w pamięć jakieś szczególne sytuacje, gdy pomagaliście Irakijczykom?

Byliśmy zaangażowani w wiele projektów. Organizowaliśmy konsultacje lekarskie, pomagaliśmy w dostarczaniu mieszkańcom podstawowych środków higieny osobistej, lekarstw, żywności, wody, wózków inwalidzkich, wysyłaliśmy irakijskie dzieci na operacje do Polski. Na kilka miesięcy trafił do naszego kraju między innymi chłopiec, który urodził się z dysfunkcją stawu barkowego. Potem, już po powrocie do Iraku, załatwiliśmy mu specjalną przepustkę, by na terenie bazy mógł odbywać dalszą rehabilitację. Innej dziewczynce, niesłyszącej od urodzenia, lekarze w Polsce wszczepili implant słuchowy. Pierwszym słowem, które powiedziała, było „Edyta”. Kiedy już po wszystkim wracałyśmy do Iraku całą rodziną, na pokładzie, ze względu na ogromny hałas, wszyscy włożyli sobie stopery do uszu. A ta mała dziewczynka ich nie chciała i zakazała nam też wyłączać aparat. Tak bardzo chciała słyszeć nieznane wcześniej odgłosy samolotu.

Na studia do Polski wysłaliśmy też dwójkę młodych Irakijczyków. Dziś oboje są inżynierami. Mam z nimi kontakt, a gdy ostatnio widziałam się z dziewczyną z tej dwójki, Basma, przyszła w krótkiej spódnicy i przywitała mnie słowami: „Cześć pani mama”. Zapytałam ją, dlaczego tak mnie na-

zywa. A ona na to: „Dałaś mi drugie życie”. Być może gdyby została w Iraku, podzieliłaby los innych Irakijek.

Pamiętam też do dziś jeden z największych dramatów, gdy do Polski na operację serca wysłaliśmy 11-miesięczną dziewczynkę. Wszystko się powiodło. Dziewczynka dobrze się czuła, ale trzy dni po przyjeździe do Iraku zmarła. Ojciec i dziadek przestali podawać jej niezbędne leki.

Po powrocie z pierwszej misji była Pani w domu przez rok. Co spowodowało, że wyjechała Pani ponownie?

Dzwonili ludzie, których poznałam na misji, i zaczęli mnie namawiać: „Słuchaj, a może byś pojechała z nami, jest wolne stanowisko, dobrze?”. Odzywały się też do mnie osoby, które wtedy były w Iraku i które kontynuowały moją pracę. Pisały, że miejscowi o mnie pytają i chcą wiedzieć, kiedy znów przyjadę. Zaczęło mi tej atmosfery misji brakować. Moje dzieci też widziały, że żyję tu i tam jednocześnie. Dlatego zgłosiłam się ponownie. Przeszłam rekrutację, a gdy w domu chciałam powiedzieć córkom, że wyjeżdżam, one od razu, widząc mój uśmiech, stwierdziły: „No, chyba wreszcie jedziesz na tę swoją misję”. Wykazały się naprawdę dużą dojrzałością. A ja byłam pewna, że beze mnie one sobie doskonale poradzą.

Którą z dziewięciu misji zapamięta Pani najbardziej?

Nie ma chyba takiej jednej, jedynej, najważniejszej. Każda niosła niby-podobne, ale jednak różne wyzwania. Pomagaliśmy ludziom, wspieraliśmy rozwój zawodowy kobiet, szkoliliśmy policjantów i strażaków, zajmowaliśmy się projektami rozwojowymi, remontami szkół, budową świetlic, przychodni, zapewnialiśmy mieszkańcom dostęp do wody, opieki medycznej, wymiaru sprawiedliwości czy lokalnych mediów. Na pewno jednak to Irak pozostanie moją pierwszą miłością. Tam przecież zachłysnęłam się innym światem, połknęłam misyjnego bakcyła.

Nie bez powodu więc nazywali Panią Matką Teresą z Diwaniji, a jedno z irackich przedszkoli nosi Pani imię...

Pewnie tak. Do dziś często się zdarza, że jak ktoś dzwoni, to tak mnie właśnie nazywa. Dzięki komunikacji przez internet mam stały kontakt ze znajomymi z Iraku i Afganistanu. Często pytają mnie, kiedy do nich przyjadę.

Kiedy zatem?

Z ostatniej misji wróciłam w kwietniu 2014 roku. Mam poczucie, że w mojej pracy, czy to w Iraku, czy Afganistanie, dałam z siebie wszystko, co mogłam, że włożyłam naprawdę mnóstwo serca. Boję się powiedzieć, że to już koniec misji, bo nigdy nic nie wiadomo, a może też nie chciałabym już kusić losu. Gdzieś w głębi czuję jednak, że to ten moment, w który powinnam powiedzieć sobie: dość.

By poświęcić czas córkom wychowanym nieco na odległość?

To na pewno cena misji, ale nie postrzegam tego w takich kategoriach. W najważniejszych etapach ich życia zawsze byłam przy nich: gdy miały studniówki, gdy kończyły szkoły, pisały matury, a potem zdawały na studia. Zawsze, gdy wracałam do kraju, był to czas tylko dla nas. Nie musiałam naprawiać relacji z córkami, bo one nigdy, mimo że byłam tysiące kilometrów od domu, się nie popsuly. Myślę, że tymi moimi wyjazdami pokazałam im, jak można żyć ciekawie, jak realizować swoje pasje.

Zatem na tych Pani misjach w pewnym sensie skorzystały też córki...

Stały się samodzielne, zaradne, zobaczyły, że warto inwestować w siebie i swoją przyszłość. Kasia marzyła o lataniu i teraz jest podchorążym Szkoły Orłąt. Dominika, jako studentka akademii muzycznej, występuje na koncertach w Europie. Spełniają się tak, jak ja się spełniałam. Żartują sobie czasami, że zbyt wysoko ustawiłam im poprzeczkę w osiągnięciu celów. W czasie misji udało mi się na przykład dokończyć pisanie pracy doktorskiej. Wiem, że dziewczyny są ze mnie dumne i że dziś, jako dorosłe już kobiety, potrzebują mnie bardziej niż wtedy, gdy były pochłonięte nauką. Na ostatnie Boże Narodzenie podarowały mi szczeniaka, który ma mnie zatrzymać w domu.

Co dały Pani te misje? Zmieniła się Pani?

Przewartościowałam swoje życie i jeszcze bardziej zaczęłam doceniać to, co mam. Już po pierwszej zmianie w Iraku wiedziałam, że żadne dobre samochody czy markowe ciuchy nie dadzą tego, co może dać poczucie bezpieczeństwa. To ono jest najważniejsze i to chcieliśmy zapewnić ludziom w krajach, do których jeździliśmy na misje.

Na pewno wyjazdy stały się dla mnie też sposobem na życie. Dziś, z perspektywy czasu, uważam, że była to jedna z ważniejszych i bardziej trafnych moich decyzji. Po pierwsze dlatego, że na lepsze zmieniło się moje życie. Po drugie, ze względu na osoby, którym byłam w stanie pomóc. Jestem dziś bardzo wdzięczna moim dzieciom, dowódcom, żołnierzom, ale też darczyńcom i wszystkim tym, którzy przez minione lata wierzyli we mnie i bardzo wspierali. ■

WIZYTÓWKA



**EDYTA
GÓRLICKA**

Doktor nauk politycznych. Uczestniczka czterech zmian misji w Iraku i pięciu w Afganistanie (w sumie spędziła tam blisko cztery i pół roku). Uhonorowana Gwiazdą Afganistanu. W Iraku pracowała jako koordynator pomocy humanitarnej i specjalista od współpracy cywilno-wojskowej. W Afganistanie była specjalistką w zespole odbudowy prowincji. Brała udział w projektach ekonomicznych oraz związanych z rozwojem i budową administracji. Z ostatniej misji wróciła w kwietniu 2014 roku.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Wzór zza oceanu

Amerykańscy goście opowiadali o systemie opieki nad weteranami w Stanach Zjednoczonych, a polscy gospodarze zastanawiali się, które ich rozwiązania warto przenieść na nasz grunt.



Kilkudniową wizytę delegacji Gwardii Narodowej stanu Illinois wypełniły spotkania i rozmowy. Temat był jeden: wymiana doświadczeń na temat wsparcia weteranów i rodzin żołnierzy uczestniczących w misjach poza granicami państwa. Gwardia Narodowa w Stanach Zjednoczonych wspiera armię regularną, wiele jej jednostek walczyło w Afganistanie i Iraku. Jak powiedział „Polsce Zbrojnej” płk Paul Fanning, szef kadr Gwardii Narodowej w Illinois, który stał na czele delegacji, amerykańscy gwardziści przyjechali do Warszawy, aby zobaczyć, jak Polska opiekuje się swoimi weteranami. „Mamy podobne problemy. Jednym żołnierzem zajmują się różne instytucje, nie zawsze efektywnie wymieniają się one informacjami. Chcemy poznać wasze doświadczenia, może dzięki temu uda się poprawić nasz system”, mówił.

RANNY WOJOWNIK

Kpt. Eric Huges, który jest równocześnie kapelanem Gwardii Narodowej stanu Illinois, opowiadał, jak Amerykanie pomagają rannym w misjach zagranicznych żołnierzom w powrocie do zdrowia. Projekt „Wounded Warrior” (ranny wojownik) koncentruje się na ich ponownej adaptacji w społeczeństwie oraz pomocy psychologiczno-medycznej, powrót do pracy jest z kolei wspierany w ramach programu „Soldier for Life” (żołnierz dla życia).

Płk Fanning podkreślał, że ważne są także pieniądze. „Bez wystarczających funduszy system nie będzie dobrze działał. Przydzielamy poszkodowanym weteranom opiekunów, nie polegamy na ogólnym systemie opieki zdrowotnej”, mówił.

Choć trudno porównywać amerykański system pomocy weteranom (budowany od 200 lat) z polskim (raczkuje od lat zaledwie kilku), to niektóre doświadczenia są podobne. Podczas seminarium na temat systemu opieki nad poszkodowanymi żołnierzami w Polsce i w USA, zorganizowanym w Centrum Weterana Działów poza Granicami Państwa, jako taki przykład obie strony wskazały różne orzec-

nictwo lekarzy: jeden stwierdza, że żołnierz jest niezdolny do służby, drugi wydaje opinię odmienną.

Z jakich amerykańskich doświadczeń możemy skorzystać? „Chciałbym przenieść na polski grunt zwolnienia podatkowe dla firm, które zatrudniają weteranów. Dla żołnierzy kończących 12-letnią służbę zawodową byłoby to świetne rozwiązanie. Wiem, że przed nami długa droga, nie od razu Rzym zbudowano”, mówi ppłk Leszek Stępień, dyrektor Centrum.

Płk Paul Fanning na pytanie, jakie rozwiązania szczególnie by nam polecał, odpowiedział, że bardzo ważne jest „wprowadzenie scentralizowanej bazy danych, w której znajdą się wszystkie dane o żołnierzu, począwszy od przebiegu jego służby i stanu zdrowia, a skończywszy na informacjach dotyczących społeczności, w której żyje. Chodzi bowiem o to, aby udzielać mu pomocy także w miejscu zamieszkania”.



PIOTR JASINSKI

PRZYWILEJ I HONOR

Tymczasem, jak mówią polscy weterani, nasz system jest podzielony, nikt nie skupia pomocy w jednym ręku. Dobrym rozwiązaniem byłby jeden system informatyczny, który (podobnie jak w USA) zbierałby wszystkie informacje o weteranie. Jednak problemy pojawiają się, gdy będziemy chcieli je przetwarzać – tak niestety działa ustawa o ochronie danych osobowych.

O tym, że możemy skorzystać z wielu amerykańskich doświadczeń w opiece nad weteranami, jest przekonany także Tomasz Kłoc, prezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami

Kraju, który był jednym z uczestników programu „International Visitor Leadership” – podczas trzytygodniowej podróży przez USA poznawał amerykański system pomocy weteranom. „Uważam, że mimo wielu różnic, niektóre procedury i rozwiązania, które mieliśmy okazję poznać, można zastosować w naszym kraju”, ocenia.

„Służba z żołnierzami Wojska Polskiego to przywilej i honor”, napisał na pożegnanie w księdze pamiątkowej Centrum Weterana płk Paul Fanning. ■

**DOBRYM
ROZWIĄZANIEM
BYŁBY JEDEN
SYSTEM
INFORMATYCZNY,
KTÓRY ZBIERAŁBY
WSZYSTKIE
INFORMACJE
O WETERANIE**

JAROSŁAW
RYBAK

Trolle w mundurach

KIEDY KTOŚ ZACZNIE
PIĘTNOWAĆ
„HEJTERÓW” WEWNĄTRZ
ARMII?

Trochę to czasu zajęło, ale wojsko już w miarę sprawnie radzi sobie z autorami chamskich komentarzy pod adresem weteranów i poległych na misjach. Internetowe trolle mają coraz większą świadomość, że uporczywe obrażanie polskich żołnierzy może mieć dla nich przykre konsekwencje. I bardzo dobrze. Zastanawiam się jednak, kiedy armia poradzi sobie z ludźmi w mundurach, którzy w stosunku do weteranów z Iraku czy Afganistanu zachowują się tak jak te trolle.

W czasie rozmów z weteranami zwykle zahaczamy o problemy, z jakimi muszą się borykać ranni i poszkodowani. Okazuje się, że większość poważnych spraw, które z czasem eksplodują w mediach i szkodzą wizerunkowi wojska, zaczyna się od błahostek w jednostkach wojskowych. A to ktoś nie przekazał weteranowi informacji. A to inny na prośbę o pomoc stwierdził: „Pojechałeś zarabiać kasę, to teraz sam sobie kupuj wózek/protezę” etc. Nie odkrywam Ameryki. Podobne żale weteranów słyszy chyba każdy VIP, który, odwiedzając klinikę stresu bojowego, wda się w dyskusję z leczącymi się żołnierzami. Wtedy można usłyszeć o znieczulicy – niestety, nie wypada użyć wojskowego słownictwa, dobrze oddającego ten problem – wobec ludzi, którym nie udało się w pełnym zdrowiu wrócić z Iraku czy Afganistanu.

Ten brak zrozumienia nie zależy od wieku, stażu służby, stanowiska czy stopnia. Zdarzają się empatyczni dowódcy i fatalni oficerowie wychowawczy. Albo na odwrót. Trollem może być podoficer magazynier albo pani kadrowa – pracownik wojska. Ostatnio słuchałem opowieści o pełnomocniku do spraw weteranów, który bardziej drażni niż pomaga. Oczywiście wiem, że niektórzy weterani czy przedstawiciele ich rodzin charakteryzują się nadmierną roszczeniowością i chęcią wyssania czego się da z systemu pomocy. Ale nie o takich ludziach dziś piszę.

Łatwo o amunicję do dyskusji z internetowymi półgłówkami, którzy stukając w klawiaturę, nie widzą związku między własnym bezpieczeństwem a poświęceniem żołnierzy. Niekiedy wdają się w polemiki z „komputerowymi pacyfistami”. Pytam, czy taki typ chce wyjechać do pracy na Zachód albo na wczasy w egzotyczne strony? Przypominam, że Polacy ginęli w zamachach Al-Kaidy w Nowym Jorku, Madrycie, Londynie, na wyspie Bali. A dzięki żołnierzom, szachującym organizatorów zamachów w ich matecznikach, pracującym na zmywaku w brytyjskim pubie czy wypoczywającym na wczasach pod palmami może się czuć bezpieczniej. Polecam tę argumentację. Zwykle skutkuje.

Przed kilkoma laty Jacek Żebryk rozpoczął samotną walkę z internetowymi trollami. Ludzie mający wpływ na wojskową rzeczywistość najpierw z dużym dystansem podchodzili do jego inicjatywy. Dopiero gdy temat podchwyciły media, Żebryk dostał wsparcie, sporo wojskowych VIP-ów z uznaniem zaczęło poklepywać go po ramieniu. Jeden człowiek zrobił coś, z czym wcześniej nie mógł sobie poradzić system wychowawczo-prawny MON. Czy kiedyś pojawi się ktoś, kto zacznie piętnować trolli wewnątrz armii? ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

Doliczenie stażu pracy

Jestem żołnierzem zawodowym w służbie stałej. Mam 37 lat. Czy jeśli pomagałem rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa rolnego od 16. roku życia, to jednostka wojskowa, w której obecnie służę, powinna mi doliczyć ten okres do ciągłości lat pracy i ewentualnie do nagrody jubileuszowej, czy też nie?

PODSTAWA PRAWNA:
ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2014 poz. 1414 ze zm.)
– art. 85 ust. 1–2; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 11 maja 2004 roku w sprawie nagród jubileuszowych żołnierzy zawodowych (DzU 2004 nr 127 poz. 1325 z późn. zm.) – § 2 ust. 1 pkt 3.

Według pracowników jednostki, taki przywilej mi się nie należy. Twierdzą, że jeśli złożyłbym wniosek o doliczenie lat pracy w gospodarstwie do 2004 roku, wtedy mój wniosek byłby rozpatrzony pozytywnie, ale po 2004 roku, niestety już nie.

Dodam, że żołnierzem zawodowym jestem od 1999 roku. Z tego, co się orientuję, w instytucjach cywilnych, po dostarczeniu odpowiednich dokumentów, lata pracy w gospodarstwie są honorowane. Jak to wygląda w świetle prawa?

➔ **Przepisy odnoszące się do stosunku pracy mają zastosowanie w wypadku żołnierzy zawodowych, gdy przepisy ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych tak stanowią lub gdy inne przepisy wprost mówią o tym, że zawarte w nich regulacje dotyczą także żołnierzy zawodowych.**

Przepisy ustawy z 20 lipca 1990 roku o wliczeniu okresów pracy w indywidualnym gospodarstwie rolnym do pracowniczego stażu pracy nie mają obecnie zastosowania w wypadku pełnienia czynnej służby wojskowej. Odnoszą się one bowiem do „okresu pracy”. W ustawie chodzi zatem o stosunek pracy o charakterze cywilnoprawnym, jaki powstaje na podstawie umowy o pracę. Stosunek służbowy żołnierza zawodowego nie jest nawiązywany w drodze umowy o pracę. Żołnierze

zawodowi pełnią służbę i wykonują swoje obowiązki na podstawie stosunku służbowego, który nie jest stosunkiem pracy w rozumieniu przepisów „Kodeksu pracy”.

Warto przypomnieć, że możliwość wliczania okresu pracy w indywidualnym gospodarstwie rolnym do okresu pełnienia czynnej służby wojskowej istniała na podstawie przywołanej ustawy do 30 czerwca 2004 roku. Do tego czasu w odniesieniu do żołnierzy zawodowych miał też zastosowanie § 8 ust. 1 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 15 czerwca 2000 roku w sprawie wykonania niektórych przepisów ustawy o uposażeniu żołnierzy (DzU 2000 nr 62 poz. 729 ze zm.). Zgodnie z regulacją, do stażu służby żołnierza zawodowego, uprawniającego do nagrody jubileuszowej, zaliczało się również inne okresy, jeżeli z mocy odrębnych przepisów podlegały one wliczeniu do okresu pracy, od którego zależały uprawnienia pracownicze.

Reasumując, w przedmiotowej sprawie nie mają zastosowania przepisy ustawy z 20 lipca 1990 roku o wliczeniu okresów pracy w indywidualnym gospodarstwie rolnym do pracowniczego stażu pracy. Na podstawie obowiązujących przepisów, w tym art. 85 ust. 1 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, okres pracy w indywidualnym gospodarstwie rolnym nie podlega wliczeniu do okresu pełnienia czynnej służby wojskowej, od którego jest uzależnione nabycie prawa do nagrody jubileuszowej. ■

Aplikant radcowski DOROTA GUDALEWICZ
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Prywatne buty

Czy żołnierz zawodowy może do munduru wkładać prywatne buty, na przykład typu Magnum? Nie mam na myśli ważniejszych uroczystości, gdzie trzeba włożyć „desanty” wojskowe, tylko zwykłą, codzienną służbę. Czy przepisy precyzują tę sprawę?

→ **Ubioru wojskowe, a do nich należy również obuwie, wchodzą w skład ustalonych zestawów ubiorczych.** Żołnierze noszą tylko te przedmioty zaopatrzenia mundurowego, które zostały wyprodukowane zgodnie z zatwierdzonymi wzorami i dokumentacją techniczno-technologiczną.

Przepis §22 (pkt. 3 i 4) rozporządzenia reguluje w sposób niebudzący wątpliwości, że zabrania się łączenia umundurowania z elementami ubioru cywilnego czy też innego niż te, które są częścią zestawu danego ubioru wojskowego. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA:

rozporządzenie ministra obrony narodowej z 31 grudnia 2014 roku w sprawie rodzajów, zestawów i wzorów oraz noszenia umundurowania i oznak wojskowych przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką (DzU 2015 nr 173) – §2, §20 ust. 1 oraz §22 pkt 3.

Czy szkolenie to służba?

Czy żołnierz, który o godz. 4.00 pobiera broń etatową z magazynu, następnie wyjeżdża autobusem służbowym na szkolenie ogniowe na strzelnicę (ponad 120 km od miejsca służby), w czasie przejazdu wykonuje obowiązki służbowe, czy też – tak jak to interpretują moi przełożeni – odpoczywa i z tego tytułu nie należą się wolne godziny za ponadnormatywny czas pracy? Zaznaczam, że żołnierz przez cały czas jest w umundurowaniu i posiada przy sobie broń etatową, za którą ponosi odpowiedzialność prawną. Powrót ze strzelnicy ma miejsce około godz. 18 tego samego dnia.

→ **Zgodnie z ustawą o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, wymiar czasu pełnienia obowiązków służbowych przez żołnierzy zawodowych jest określony ich zadaniami służbowymi ustalonymi przez przełożonych w sposób pozwalający na ich wykonywanie w ramach 40 godzin służby w tygodniu.** Czas wykonywania zadań służbowych nie może przekraczać przeciętnie 48 godzin tygodniowo w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym.

Zgodnie z przepisami szczegółowymi natomiast (§4 ust. 1 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych), przełożeni ustalają zadania służbowe żołnierzy w sposób pozwalający na ich wykonywanie w pięciodniowym tygodniu służby, z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy, w dniach od poniedziałku do piątku, w godzinach od 7.30 do 15.30.

Jednak art. 60 ust. 4 ustawy wprowadza wyjątek od tych reguł. Chodzi o to, że wykonywanie zadań służbowych jest możliwe również poza wskazanym wymiarem czasowym, powyżej

48 godzin w tygodniu. Dzieje się tak wówczas, gdy żołnierze wykonują zadania o charakterze nadzwyczajnym, niezbędne do ochrony interesów państwa, w szczególności: biorą udział w zapobieganiu skutkom katastrof naturalnych lub awarii technicznych noszących znamiona klęski żywiołowej, pełnią służby i dyżury, a także – co najistotniejsze z punktu widzenia przedmiotowego stanu faktycznego – odbywają ćwiczenia i szkolenia poligonowe.

W omawianym przypadku zadaniem służbowym jest szkolenie poligonowe, a czas poświęcony na jego wykonanie to czas służby. Okres między wyjazdem z jednostki do momentu powrotu po wykonaniu zadania służbowego, jakim jest szkolenie poligonowe, to natomiast czas podróży służbowej i za każdą pełną dobę wykonywania zadań poza stałym miejscem pełnienia służby przysługuje żołnierzowi zawodowemu, który uczestniczył w szkoleniu, 100% diety, wynoszącej obecnie 30 zł. ■

Aplikant radcowski DAMIAN MAZANOWSKI,
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

PODSTAWY PRAWNE:

ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2014 poz. 1414) – art. 60 ust. 1–2 i 4; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych (DzU 2008 nr 122 poz. 786) – §4 ust. 1; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie należności pieniężnych żołnierzy zawodowych za przeniesienia, przesiedlenia i podróże służbowe z 16 lipca 2014 roku (DzU 2014 poz. 1003) – §10 ust. 5 pkt 1.

Czas wolny dla cywila

Jestem zatrudniony jako pracownik wojska na stanowisku kierowcy. Wiąże się to z częstymi wyjazdami. Wyjeżdżam na przykład w poniedziałek o godz. 7.00 i wracam we wtorek o 20.00. Zdarza się też wyjazdy w niedzielę o 10.00 i powroty w poniedziałek późnym wieczorem, około 21.00. Jakie godziny mogą być liczone jako nadliczbowe? Z rozmów z kierowcami innych jednostek wynika, że są naliczane różnie. Chciałbym poznać akty prawne i opinię prawnika na ten temat.

➔ Na wstępie należy zaznaczyć, że odpowiedź na tak postawione pytanie jest udzielona przy założeniu, że przewóz jest wykonywany za pomocą pojazdu stanowiącego własność sił zbrojnych. Uwaga ta ma istotne znaczenie, ponieważ w razie wykonywania przewozu z wykorzystaniem innego typu pojazdu, nie każde z przedstawionych uregulowań znajdzie zastosowanie.

Czas pracy pracownika wojska regulują przepisy ustawy o czasie pracy kierowców, a w zakresie nią nieuregulowanym, przepisy ustawy „Kodeks pracy”.

Czas pracy kierowcy obejmuje wszelkie czynności, jakie wiąże się z wykonywaniem przewozu drogowego, takie jak załadowywanie i rozładowywanie pojazdu, utrzymanie go w czystości czy niezbędne formalności administracyjne, a także okres, w którym kierowca pozostaje w gotowości do wykonywania pracy na stanowisku pracy. Do obliczania czasu pracy kierowcy i ustalania wynagrodzenia za godziny nadliczbowe ma zastosowanie doba rozliczeniowa, przez którą należy rozumieć kolejne 24 godziny od momentu rozpoczęcia pracy zgodnie z obowiązującym rozkładem czasu pracy.

Taki rozkład ma charakter indywidualny i może zakładać różne godziny rozpoczynania i kończenia pracy. Czas pracy kierowcy nie może przekraczać ośmiu godzin na dobę i 40 godzin w przeciętnie pięciodniowym tygodniu pracy w okresie rozliczeniowym nieprzekraczającym czterech miesięcy. Limit tygodniowego czasu pracy wraz z godzinami nadliczbowymi nie może przekraczać przeciętnie 48 godzin w przyjętym okresie rozliczeniowym.

Praca wykonywana ponad obowiązujące pracownika normy czasu pracy, a także ponad przedłużony dobowy wymiar czasu pracy, stanowi pracę w godzinach nadliczbowych. Mogą one wynikać między innymi ze szczególnych potrzeb pracodawcy, jednak dla pracownika nie mogą przekroczyć 260 godzin w roku kalendarzowym. Na pisemny wniosek pracownika, pracodawca może mu udzielić za czas przepracowany w godzinach nadliczbowych wolnego od pracy w tym

samym wymiarze czasu, tzn. jedna godzina pracy nadliczbowej odpowiada jednej godzinie czasu wolnego.

Udzielenie czasu wolnego może także nastąpić bez wniosku pracownika. Pracodawca udziela go w wymiarze o połowę wyższym niż liczba przepracowanych godzin nadliczbowych, najpóźniej do końca okresu rozliczeniowego. Oznacza to, że jeżeli pracodawca jednostronnie, bez wniosku pracownika, decyduje o zastąpieniu pracy nadliczbowej czasem wolnym, za jedną nadgodzinę pracownik otrzymuje półtorej godziny czasu wolnego. W tym drugim wypadku – odmiennie niż w pierwszym – udzielenie czasu wolnego nie może spowodować obniżenia wynagrodzenia za pełny miesięczny wymiar czasu pracy. Jednak kiedy jest przyznawany czas wolny, pracownikowi nie przysługuje dodatek za pracę w godzinach nadliczbowych.

Dodatkowo będzie przysługiwał pracownikowi dodatek za pracę w nocy, wynoszący 20% stawki godzinowej wynikającej z minimalnego wynagrodzenia za pracę za każdą godzinę wykonywania obowiązków w porze nocnej. O tym, czy jest to pora nocna, będzie decydował przyjęty system organizacji pracy. Pora nocna obejmuje bowiem osiem kolejno po sobie następujących godzin między 21.00 danego dnia a 7.00 rano dnia następnego. Zgodnie z ustalonymi regułami, pracą w nocy będą na przykład godziny między 21.00 a 5.00, 22.00 a 6.00 lub 23.00 a 7.00. Dodatek za pracę w nocy przysługuje niezależnie od dodatku za pracę w godzinach nadliczbowych, również wówczas, gdy w zamian udzielono czasu wolnego w innym dniu.

Osobną kwestią jest praca w niedzielę. Uważa się za nią okres między godziną 6.00 w niedzielę, a godziną 6.00 w poniedziałek. Pracodawca musi wówczas zapewnić pracownikowi dzień wolny w tygodniu, tak aby zostało zachowane prawo do cotygodniowego odpoczynku. Dzień wolny jest wówczas udzielany w ciągu sześciu dni poprzedzających niedzielę „pracującą” lub następujących po niej. Jeżeli niemożliwe jest wykorzystanie dnia wolnego we wskazanym terminie, z przyczyn leżących po stronie pracodawcy albo pracownika, następuje przesunięcie terminu wykorzystania tego dnia do końca okresu rozliczeniowego. Jeżeli i ten wariant nie zostanie zrealizowany, pracownikowi przysługuje dodatek do wynagrodzenia w wysokości 100% wynagrodzenia za każdą godzinę pracy w niedzielę. ■

Aplikant radcowski DAMIAN MAZANOWSKI
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

PODSTAWY PRAWNE:
ustawa z 26 czerwca 1974 roku „Kodeks pracy” (DzU 2014 poz. 1502) – art. 129 §1, art. 131 §1, art. 151 §1 i 3, art. 1512, art. 1517 §1, 1518 §1, art. 15111 §1–3; ustawa z 16 kwietnia 2004 roku o czasie pracy kierowców (DzU 2012 poz. 1155 z późn. zm.) – art. 4, art. 6 ust. 1–2, art. 8 ust. 1–2, art. 11 ust. 1, art. 12 ust. 1, art. 20 ust. 1–3, art. 22.



Wolne w nagrodę

Żołnierze wyróżnieni urlopem nagrodowym nie tracą do niego prawa nawet wtedy, gdy nie wykorzystają go w terminie.

Urlup nagrodowy jest formą wyróżnienia żołnierza na przykład za wzorowe wykonywanie obowiązków służbowych lub bardzo dobre wyniki w szkoleniu. Może trwać od trzech do sześciu dni roboczych, a łączny jego wymiar w ciągu roku kalendarzowego nie powinien przekroczyć 12 dni. Na jego wykorzystanie żołnierz ma 60 dni od dnia otrzymania wyróżnienia. Wyjątek dotyczy wojskowych pełniących służbę poza granicami – w ich wypadku urlopu udziela się po powrocie do kraju. Żołnierze powinni z niego skorzystać w ciągu 90 dni od przekroczenia granicy lub zakończenia urlopu aklimatyzacyjnego.

Bywają jednak sytuacje, gdy wojskowi, z przyczyn od siebie niezależnych, na przykład z powodu choroby lub konieczności stawienia się w jednostce, nie mogą wykorzystać dni wolnych. Po

sygnałach otrzymanych od żołnierzy w tej sprawie, organa przedstawicielskie zwróciły się do Departamentu Wychowania i Promocji Obronności o opinię odnośnie do postępowania w takich sytuacjach.

W DWiPO zwrócono uwagę, że zgodnie z przepisami dyscyplinarnymi obowiązek udzielenia urlopu spoczywa na przełożonym żołnierza. W razie przekroczenia terminów przełożony powinien wyznaczyć obligatoryjny termin wykorzystania dni wolnych.

Istotne jest, że choć w przepisach dyscyplinarnych został określony graniczny termin wykorzystania udzielonego urlopu, nie oznacza to, że po upływie 60 lub 90 dni od dnia przyznania wyróżnienia żołnierz traci uprawnienie. „Ani przepisy ustawy o dyscyplinie wojskowej, ani rozporządzenia nie określają bowiem trybu i warunków

wykorzystania tego rodzaju urlopu w przypadku upływu określonych terminów. Innymi słowy, urlopu nagrodowego nie można skasować po dwóch lub trzech miesiącach, bo na przykład żołnierz w tym okresie przebywał na L4 lub miał inne ważne zadania do wykonania”, napisał płk Jerzy Gutowski, dyrektor DWiPO.

W praktyce więc przełożony, który udzielił urlopu i uniemożliwił żołnierzowi jego wykorzystanie w podanych terminach, powinien ponieść karę dyscyplinarną.

Już niebawem sprawa znajdzie rozwiązanie w przepisach. W MON trwa bowiem prace nad nowelizacją rozporządzenia w sprawie wyróżniania żołnierzy, byłych żołnierzy oraz pododdziałów, oddziałów i instytucji wojskowych. Propozycje zmierzają do uregulowania przypadków usprawiedliwionej nieobecności żołnierza w służbie, w szczególności z powodu choroby (podstawą będzie zaświadczenie lekarskie stwierdzające chorobę żołnierza i czas jej trwania). W takiej sytuacji, na wniosek wyróżnionego, dowódca ustali nowy termin urlopu nagrodowego. Dni wolne żołnierz będzie musiał wykorzystać w ciągu dwóch miesięcy. PG/PZ ■

niezbędnik

Decyzję o uruchomieniu środków podpisał minister obrony narodowej. Najwięcej z tej kwoty, 3 mln zł, będzie miał do podziału dowódca generalny, 375 tys. trafi do Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych, 341 tys. do Dowództwa Garnizonu Warszawa, 25 tys. do Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. 110 tys. otrzyma do dyspozycji komendant główny Żandarmerii Wojskowej, 20 tys. Służba Wywiadu Wojskowego, a kontrwywiad wojskowy o 10 tys. mniej. Oprócz tego 119 tys. trafi do czterech jednostek specjalnych. Na finansową pomoc wojska mogą liczyć żołnierze, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji na skutek zdarzeń losowych. O wsparcie mogą się zwracać wojskowi wszystkich korpusów i rodzajów sił zbrojnych. Zapomoga może być przyznana z inicjatywy ich samych lub przełożonych. Jej kwota za-

Fundusze na zapomogi

Pierwsza tegoroczna transza pieniędzy przeznaczonych na pomoc socjalną dla żołnierzy wynosi 4 mln zł.



leży między innymi od dochodów żołnierza i jego najbliższej rodziny oraz wydatków poniesionych w związku z zaistniałym zdarzeniem. Na pieniądze z resortu mogą liczyć także członkowie rodziny wojskowego. Dzieje się tak w sytuacji, gdy na przykład żołnierz zaginie w związku z wykonywaniem zadań służbowych lub poniesie śmierć.

Część pieniędzy pozostanie w dyspozycji szefa resortu obrony, który także ma prawo przyznawania zapomóg. O finansowe wsparcie mogą się do niego

zwracać żołnierze w wyjątkowo trudnych sytuacjach, jak również wdowy po żołnierzach. W ubiegłym roku z upoważnienia ministra obrony narodowej podsekretarz stanu w MON przyznał 29 takich zapomóg na łączną kwotę 333,6 tys. zł.

Według danych resortu obrony, w 2014 roku zapomogi otrzymało 8995 mundurowych. MON przeznaczyło na ten cel ponad 8 mln 974 tys. zł. Przewidywana wysokość tego świadczenia wyniosła 998 zł. PG/PZ ■



Pośrednictwo pracy

Obronność, transport, ochrona to branże, w których zatrudnienie znajdują byli żołnierze zawodowi.

Bylım żołnierzom w znalezieniu właściwego zatrudnienia po zwolnieniu ze służby, a pracodawcom odpowiedzialnych pracowników ma pomóc pośrednictwo pracy. Ta forma rekonwersji polega przede wszystkim na pozyskiwaniu ofert zatrudnienia i przekazywaniu ich potencjalnym pracownikom. W praktyce przedstawiciele rekonwersji wykorzystują do tego celu różnorodne źródła. Najczęściej są to bezpośrednie i pośrednie kontakty z pracodawcami, przedstawicielami instytucji rynku pracy, giełd i targów pracy. Ośrodki aktywizacji zawodowej w całej Polsce utrzymują stałe kontakty z urzędami pracy oraz przedsiębiorcami. Propozycje mogące zainteresować byłych żołnierzy pochodzą też z ogłoszeń prasowych i portali internetowych.

GIEŁDY PRACY

Oferty dotyczą całej Polski i wielu branż. Dzięki temu były żołnierz zawodowy może liczyć na bieżącą informację o wolnych stanowiskach. Jeśli chce, może też uczestniczyć w targach i giełdach pracy. Informacje o ich terminach i miejscach są dostępne między innymi w ośrodkach aktywizacji zawodowej. Były żołnierz może też liczyć na rekomendacje i otrzymywanie ofert pracy na stanowiskach związanych z obronnością kraju. Chodzi o wszelkiego rodzaju instytucje państwowe, rządowe i należące do samorządu terytorialnego, na przykład sztaby antykrzysowe. Po swojej stronie ma też z pewnością pracowników rekonwersji, którzy wśród pracodawców promują pozytywy wizerunek żołnierza jako zdyscyplinowanego i sumiennego specjalisty.

Działaniami związanymi z zatrudnianiem byłych żołnierzy na stanowiskach związanych z obronnością kraju zajmuje się też 16 specjalistów do spraw rozwoju zawodowego w wojewódzkich sztabach wojskowych. Prowadzą oni działalność w dziedzinie rekonwersji, między innymi poprzez współpracę z dowódcami jednostek i instytucji wojskowych, instytucjami rynku pracy oraz organami administracji publicznej na podległym terenie.

Jednocześnie w WSzW są prowadzone rejestry takich stanowisk pracy (rozporządzenia: ministra obrony narodowej z 18 maja 2007 roku w sprawie określenia organów wojsko-

KOMENTARZ

RYSZARD ROGOŃ



Upowszechnianie wśród odchodzących żołnierzy wiedzy o warunkach panujących na lokalnych rynkach pracy, sposobach poszukiwania ofert, systemach i mechanizmach rekrutacji, a także informacji o zawodach najbardziej perspektywicznych wpływa bezpośrednio na możliwość pozyskiwania przez nich satysfakcjonującego zatrudnienia.

Ryszard Rogoń jest szefem zespołu metodycznego Centralnego Ośrodka Aktywizacji Zawodowej.

wych właściwych do ewidencjonowania stanowisk pracy związanych z obronnością kraju oraz prezesa Rady Ministrów z 5 czerwca 2007 roku w sprawie stanowisk pracy związanych z obronnością kraju w administracji publicznej).

SZERSZY WYBÓR

Zatrudnienie można znaleźć nie tylko w sferze obronności. Ci, którzy odeszli już z armii, z powodzeniem pracują też w innych branżach, na przykład zajmują się ochroną osób i mienia, szeroko rozumianym transportem czy obsługą maszyn budowlanych. Wielu po zdjęciu munduru zostało instruktorami prawa jazdy czy cywilnymi informatykami. Były żołnierz zawodowy zazwyczaj dostanie oferty zatrudnienia w rejonie swojego miejsca zamieszkania. Jeśli nie będzie lokalnych propozycji, przedstawiciele rekonwersji mogą sugerować zatrudnienie w innych miejscach w kraju.

Z wieloletnich obserwacji wynika, że większość osób korzystających z pośrednictwa pracy nie zgłasza w ośrodkach aktywizacji zawodowej podjęcia nowego zatrudnienia. Mimo to Centralny Ośrodek Aktywizacji Zawodowej dysponuje danymi na temat tych, którzy po otrzymaniu oferty od przedstawicieli rekonwersji znaleźli pracę.

TRUDNE

Wiosenna sałatka z tasznikiem

Spora garść listków tasznika, łyżeczka owoców tasznika, pół pęczka rzodkiewek, garść dowolnych kielków, sałata rzymska, oliwa, sok z cytryny, sól, pieprz.

Warzywa myjemy i osuszamy. Sałatę rwiemy na kawałki. Rzodkiewki kroimy w cienkie plasterki i do-

dajemy do sałaty. Wsypujemy liście tasznika i kielki. Sałatkę doprawiamy sosem z oliwy i soku z cytryny z dodatkiem przypraw. Podajemy natychmiast posypane owocami tasznika.



Tasznik, zwany też serduszkami, to pospolity chwast pól i ogrodów. Rośnie też na przydrożach i pastwiskach. Owocami są charakterystyczne płaskie łusz-

czyzny w kształcie serduszek. Jeść można też młode listki zebrane w roze-ty tuż przy ziemi. Najlepiej zbierać je przed kwitnieniem rośliny wczesną wiosną, nie jest łatwo je jednak wypa-trzyć na łące. Liście mają smak podobny do rukoli, lekko pikantny. Dodaje się je do sałatek i zup. Napar i wyciąg z tasznika ma działanie przeciwkrwo-toczne, ściągające, obniża ciśnienie krwi, stosuje się go też przy zaburze-niach trawiennych. A D

Z ŻOŁNIERSKIEGO KOTŁA



PIOTR
BERNABIUK

- Pan chorąży wypije z nami kawusię?
- Dzięki serdeczne, ale nie.
- Coś ze zdrowkiem?
- Przeszedłem na frutarianizm.
- Okej, wyznanie jest sprawą osobistą, każda religia ma swoje wartości, ale co to ma do kawusi...
- Panowie, powiem bez owijania w bawełnę. Zmieniam za-sady żywienia. Frutarianie jadają jedynie świeże owoce, które same spadną z drzewa, piją zaś ożywczą wodę źródłaną...
- Wodę mamy, cały kontener. O, a kapral, jak zwykle, przyniósł na śniadanie banana. Też ma coś tam fru...
- Dzięki, ale woda musi być bezpośrednio ze źródła, a owoce prosto z drzewa.
- Rozumiem, jak spadną. Leży sobie pan chorąży pod ja-błónką i czeka! O tej porze roku? Kto pana wkręcił w takie nieszczęście?
- Żona i dzieci.
- ???
- W niedzielę, przy obiedzie, zwróciłem grzecznie uwagę synowi, żeby nie opychał się na okrągło chipsami i nie opijał colą, bo wygląda jak pulpet. No to cała trójka wsiadła na mnie, że wcale nie wyglądam lepiej. A co do diety, to niech dziecko nie bierze ze mnie przykładu, bo się rozpije. Pytam więc, czy słyszeli o zdrowym jedzeniu. Na to jakieś żarciki poleciały, że to nie jedzenie ma być zdrowe, lecz konsument. Córka jeszcze dorzuciła, że może przejdę na vegetarianizm! Syn wbił swój widelec w mój kotlet, przerzucił na swój ta-lerz i powiedział: „Zobacz, tato, jakie to proste”. A żona stwierdziła, że nie przejdę na nic, bo nie mam charakteru.

Frutarianin



Wściekłem się i powiedziałem, że właśnie przechodzę na frutaria-nizm.

- Panie chorąży, ale dlaczego tak skrajnie?
- Przejęczyłem się. Dopiero potem zajrzałem do internetu i zo-baczyłem, w co się wpakowałem. ■

ŁATWE



Pesto z pokrzywy

Dwie garście liści pokrzywy, łyżka pestek słonecznika, dwa ząbki czosnku, oliwa, sól, starty parmezan.

Pokrzywę płuczemy, przelewamy wrzątkiem i wrzucamy do malaksera. Dodajemy pestki słonecznika, obrane ząbki czosnku, szczyptę soli. Wlewamy łyżkę oliwy i miksujemy na pastę. W ra-zie potrzeby dolewamy jeszcze oliwy. Powstaje piękny zielony sos, idealny do makaronu. Po wymieszaniu go z pesto posypujemy danie startym parmezanem.

Pokrzywa rośnie w całym kraju na przydrożach, rumowiskach, w zaroślach, ogródkach, na trawnikach i łąkach. Do jedzenia najsmaczniejsze są zbierane wczesną wiosną młode listki z górnych pędów rośliny. Trzeba tylko pamiętać o grubych rękawiczkach i wybieraniu na miejsce zbioru terenów leżących z dala od ruchliwych ulic. W domu liście płu-czemy i na chwilę zalewamy wrzątkiem, aby przestały parzyć. Można z nich zro-bić zupę, dodać do jajecznicy czy ziem-niaków. Pokrzywa jest bogata w karoten, witaminę C, E, B2, wapń, magnez i żela-zo. Napar ze świeżego ziele ma działanie wzmacniające i obniża poziom cukru we krwi. Pokrzywę stosuje się też zewnętr-znie przy bólach reumatycznych, łupieżu i wypadaniu włosów. A D



MQ-8C Fire Scout
został zbudowany na
bazie komercyjnego
śmigłowca Bell 407



|PRZEGLĄD|

PAWEŁ HENSKI

SAMODZIELNE ŚMIGŁA

Bezzałogowe śmigłowce to idealne narzędzie do rozpoznania lub zaopatrywania własnych oddziałów w warunkach bojowych bez ryzyka utraty załóg.



NORTHROP GRUMMAN

Powoli śmigłowce bezzałogowe walczą sobie miejsce w arsenale Stanów Zjednoczonych. Od niedawna na przykład operują na pokładach okrętów marynarki wojennej, która przewiduje dla nich całą gamę nowych zadań. Takimi maszynami jest też zainteresowana piechota morska. Uwagę na nich skupiają również wojska lądowe, widząc w nich idealne narzędzie do zaopatrywania własnych oddziałów w warunkach bojowych bez ryzyka utraty załóg. Prawdziwy przełom wiąże się jednak z wprowadzeniem do służby śmigłowców działających autonomicznie.

We wdrażaniu do służby śmigłowców bezzałogowych prym wiedzie biuro badawcze amerykańskiej marynarki wojennej (Office of Naval Research – ONR). Szlak w tej dziedzinie przetarł bezzałogowy śmigłowiec Northrop Grumman MQ-8B Fire Scout. Ta ważąca niecałą tonę maszyna została zbudowana na bazie komercyjnej konstrukcji Schweizer Aircraft 330. Jest sterowana za pomocą odpowiednich komend wydawanych przez operatora obsługującego stację kontrolną. MQ-8B jest zatem pierwszym śmigłowcem, który może samodzielnie startować i lądować na pokładach okrętów. W razie potrzeby operator przejmie nad nim pełną kontrolę.

US Navy ma już 24 śmigłowce tego typu, operujące z pokładów amerykańskich okrętów wojennych. Podstawową misją bezzałogowych MQ-8B jest zwiad, wywiad i rozpoznanie. Można za ich pomocą prowadzić zdalną inspekcję podejrzanych jednostek czy wskazywać z powietrza cele dla okrętów. Obecnie trwają prace nad uzbrojeniem MQ-8B w naprowadzane laserowo rakiety typu APKWS II, precyzyjne bomby szybujące Viper Strike oraz pociski kierowane typu Hellfire. Oprócz atakowania celów powierzchniowych, śmigłowiec będzie mógł również przenosić zasobnik z radarem typu AN/ZPY-4, co zwiększy jego możliwości w dziedzinie rozpoznania. Do 2017 roku MQ-8B będzie potrafił też, dzięki zasobnikowi typu Cobra, wykrywać miny.

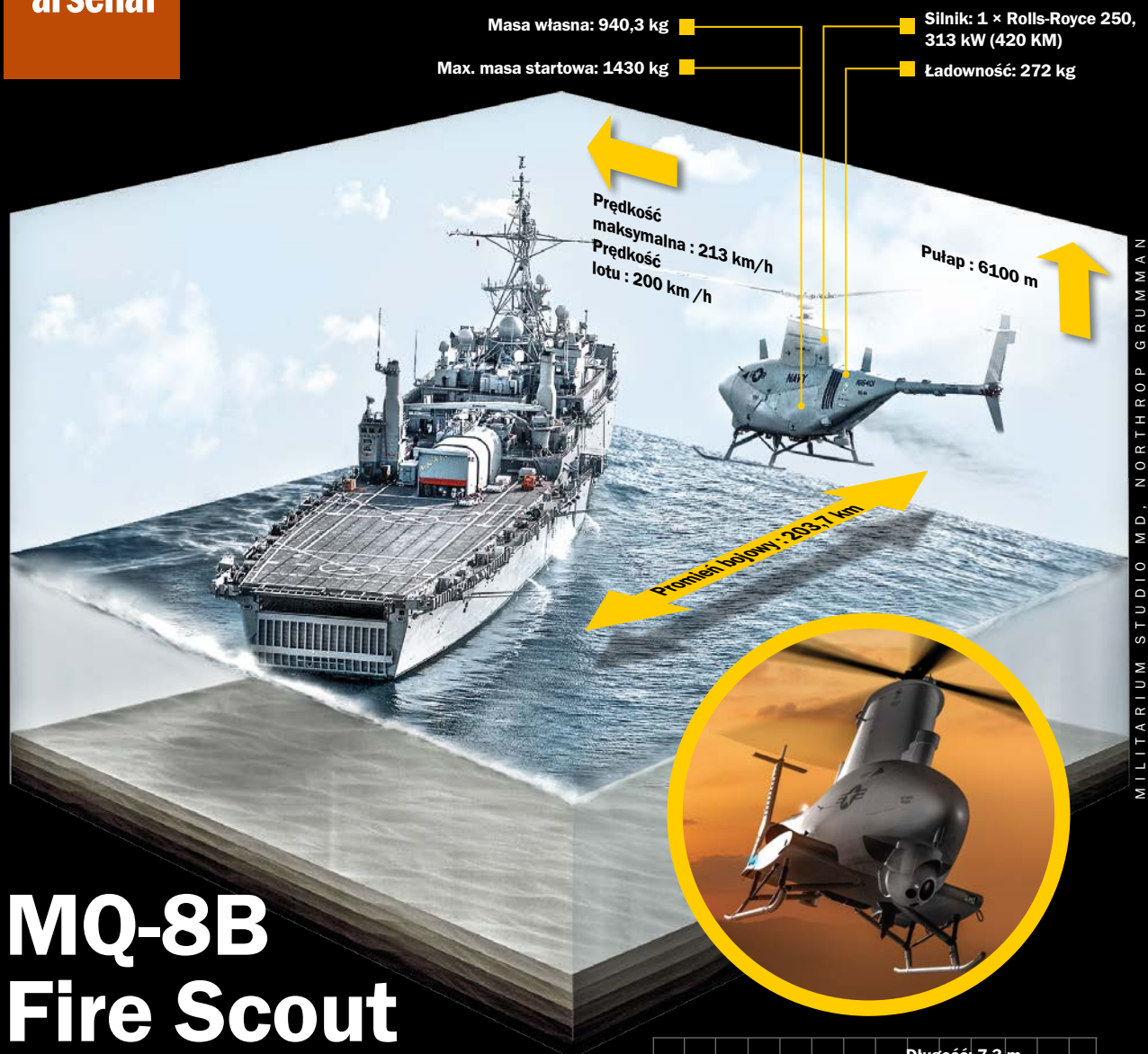
Marynarka wojenna, zachwycona możliwościami MQ-8B, w 2010 roku zleciła opracowanie jego większego „brata”. I tak bezzałogowy MQ-8C Fire Scout został zbudowany na bazie komercyjnego śmigłowca Bell 407. Oblatany w październiku 2013 roku, ma dwukrotnie większy zasięg i trzy razy większy udźwieg niż MQ-8B. Jego zadaniem ma być przede wszystkim zwiad i rozpoznanie, a ponadto również przewożenie ładunków i zaopatrzenia. Plany zakładają przystosowanie MQ-8C do przenoszenia takiego samego uzbrojenia jak MQ-8B oraz radaru AN/ZPY-1 STARLite.

US Navy widzi go również w roli platformy do prowadzenia walki radioelektronicznej oraz wykrywania i zwalczania okrętów podwodnych. Firma Northrop Grumman opracowuje już dla niego specjalny uniwersalny zasobnik (Multi Capability Pod – MCP), który ma być gotowy do prób w połowie 2015 roku. Pierwszy MQ-8C wszedł do służby na początku grudnia 2014 roku. Jak na razie zamówienie opiewa na 19 maszyn. Docelowo marynarka chce kupić 40 sztuk MQ-8C oraz 70 egzemplarzy MQ-8B.

TESTY W BOJU

Amerykańska piechota morska postanowiła z kolei wykorzystać śmigłowce bezzałogowe do zaopatrywania swoich baz w Afganistanie. W 2011 roku ruszył program bezzałogowego powietrznego systemu zaopatrywania (CRUAS). Firmy Kaman oraz Lockheed Martin opracowały bezzałogową wersję śmigłowca Kaman K-1200 K-MAX. W grudniu 2011 roku dwa bezzałogowe K-MAX zostały wysłane do Afganistanu, gdzie marines zaczęli testować je w warunkach bojowych. Operowały one tam do końca maja 2014 roku. W tym czasie wykonały blisko 2 tys. lotów, spędziły w powietrzu ponad 2150 godzin i przewiozły ponad 2 tys. t zaopatrzenia. Ich użycie ułatwiło zaopatrywanie jednostek liniowych. Najważniejsze było jednak to, że śmigłowce bezzałogowe odciążyły konwoje drogowe narażone na ataki wroga oraz działanie min pułapek.

Piechota morska potraktowała program CRUAS jako jednorazowy eksperyment. Jednakże jego sukces zmotywował zarówno amerykańską mary-



MILITARIUM STUDIO MD, NORTHROP GRUMMAN

MQ-8B Fire Scout

WE WDRAŻANIU DO SŁUŻBY ŚMIGŁOWCÓW BEZZAŁOGOWYCH PRYM WIEDZIE BIURO BADAWCZE AMERYKAŃSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ (OFFICE OF NAVAL RESEARCH – ONR). SZLAK W TEJ DZIEDZINIE PRZETARŁ BEZZAŁOGOWY ŚMIGŁOWIEC NORTHROP GRUMMAN MQ-8B FIRE SCOUT.



narkę wojenną, jak i armię do pójścia o krok dalej i rozpoczęcia prac nad wdrożeniem śmigłowców działających w pełni autonomicznie.

STEROWANIE NA ODLEGŁOŚĆ

Samoloty czy śmigłowce bezzałogowe można pilotować zdalnie, ale mogą one też działać w sposób zautomatyzowany, na przykład lecieć po określonej trasie czy wykonywać zaprogramowane wcześniej polecenia. Operator może wyznaczać nowe zadania, takie jak zmiana kursu, już podczas lotu. I tak do

obsługi jednego śmigłowca K-MAX potrzeba trzech operatorów. Dwóch przygotowuje go do startu z punktu A i uruchamia proces, używając konsoli zdalnego sterowania. Trzeci musi się znajdować w punkcie docelowym – B. Przejmuje on sterowanie śmigłowcem, który nadleci, aby zdalnie odczepić podwieszony ładunek lub wydać komendę do lądowania w miejscu oznaczonym specjalnym markerem. Śmigłowiec leci automatycznie po zaprogramowanej wcześniej trasie od punktu A do B. Operator może w każdej chwili ją zmienić, dodając kolejne punkty nawigacyjne, aby na przykład ominąć niebezpieczny obszar.



Śmigłowce takie jak MQ-8 startują i lądują samodzielnie, po wydaniu im odpowiedniej komendy, w miejscach starannie do tego przygotowanych. Działanie takie jest często błędnie nazywane autonomicznym. Prawdziwa autonomia, która już niedługo stanie się codziennością w działaniach śmigłowców, wiąże się z podejmowaniem samodzielnych decyzji przez komputer sterujący. Bez udziału człowieka będzie on wybierał miejsce do lądowania na podstawie danych gromadzonych na bieżąco – w trakcie podchodzenia do lądowania. System w odpowiednim krótkim czasie podejmie decyzję, nie mając stuprocentowo pewnych danych. Na tej samej zasadzie śmigłowiec będzie mógł omijać przeszkody czy wybierać optymalną trasę lotu.

Pierwsze badania nad autonomicznym systemem sterowania podjęła NASA wraz z armią amerykańską w 1989 roku. Jako platformę bazową wybrano wtedy śmigłowiec typu Black Hawk, który zmodyfikowano jako latające laboratorium i oznaczono JUH-60A RASCAL (Rotorcraft Aircrew Systems Concepts Airborne Laboratory). Prawdziwy przełom nastąpił jednak w ostatnich latach wraz ze wzrostem mocy obliczeniowych komputerów oraz ich miniaturyzacją. Sercem działających autonomicznie śmigłowców, jak również pojazdów lądowych, są systemy takie jak LADAR (Laser Detection and Ranging) czy LIDAR (Light-Detection and Ranging Sensors). Składają się one z czujników i dalmierzy laserowych, w czasie rzeczywistym rozpoznających i mapujących otaczający teren. Dostarczają pojazdowi danych, na których podstawie komputer sterujący podejmuje decyzję o wyborze trasy lub miejsca do lądowania.

W JUH-60A zamontowano system sterowania elektrycznego „fly-by-wire” sprzężony z systemem 3D-LZ LADAR. Pierwszy autonomiczny lot testowy JUH-60A odbył się 5 listopada 2012 roku na górzystym poligonie San Jose w Kalifornii. Na pokładzie byli dwaj piloci, którzy w razie problemów w każdej chwili mogli przejąć stery. Śmigłowiec odbył autonomiczny lot po wyznaczonej trasie z odwzorowaniem rzeźby terenu. W miejscu docelowym rozpoznał optymalne miejsce do lądowania, nad którym przeszedł do zawisu na wysokości 18 m. Kolejny, bardziej zaawansowany test JUH-60A odbył się w maju 2013 roku.

SYSTEMY DOŚWIADCZALNE

Od 2007 roku Sikorsky prowadzi prace nad budową systemów autonomicznych dla śmigłowców. W 2013 roku firma zademonstrowała opracowany dzięki własnym funduszom doświadczalny śmigłowiec bezzałogowy S-76 SARA (Sikorsky Autonomous Research Aircraft). Jest to latające laboratorium zbudowane na bazie komercyjnego modelu S-76 wyposażonego w sterowanie „fly-by-wire”. W lipcu 2013 roku S-76 Sara wykonała pierwszy autonomiczny lot. Sikorsky chce testowane technologie wykorzystać do ewentualnej modyfikacji śmigłowców wojskowych i cywilnych.

W ramach ogłoszonego przez armię amerykańską programu budowy załogowo-bezzałogowej platformy transportowej MURAL (Manned/Unmanned Resupply Aerial Lifter) firma Sikorsky zademonstrowała też własną wersję działającego autonomicznie śmigłowca UH-60MU. W marcu 2014 roku miał miejsce test, podczas którego operator naziemny, używający przenośnej stacji kontroli, zademonstrował podczepianie ładunku pod pozostający w zawisie śmigłowiec. Następnie UH-60MU wykonał z nim samodzielny przelot i dostarczył go

w miejsce docelowe. Demonstracyjny śmigłowiec wyposażono w sterowanie typu fly-by-wire oraz system pokładowy przetestowany w modelu S-76 Sara.

W 2012 roku ONR ogłosiło rozpoczęcie ambitnego programu budowy autonomicznego systemu transportowego (Autonomous Aerial Cargo/Utility System – AACUS). Nie chodziło jednak o budowę konkretnego śmigłowca, ale uniwersalnego systemu aplikowalnego, czyli takiego, który można by w relatywnie łatwy sposób instalować w wybranym modelu. Jedyńm warunkiem byłoby posiadanie przez daną maszynę sterowania typu „fly-by-wire”.

W październiku 2012 roku do przetargu stanęły firmy: Aurora Flight Sciences, ze śmigłowcem Boeing H-6U ULB (Unmanned Little Bird) – opcjonalnie załogową wersją śmigłowca MD 530F, oraz Lockheed Martin, ze śmigłowcem Kaman K-1200 K-MAX. Obie maszyny były wyposażone w systemy typu LIDAR. Pierwszy test miał miejsce na początku kwietnia 2014 roku w bazie piechoty morskiej Quantico w Wirginii. Miał pokazać, że śmigłowce wyposażone w systemy autonomiczne mogą być kontrolowane przez osoby, które przeszły jedynie krótkie przeszkolenie. Żołnierze dostali tablety, za pomocą których mogli wydawać śmigłowcom polecenia lub zaplanować trasę lotu.

Po pierwszej fazie testów zwycięzcą została firma Aurora Flight Sciences. Druga, jeszcze w tym roku, będzie znacznie trudniejsza. Śmigłowiec wykona autonomiczny lot w zróżnicowanym terenie z omijaniem przeszkód, zakończony lądowaniem z samodzielnym wyborem miejsca. System LIDAR będzie miał dwie minuty, aby z odległości 9 km od celu wybrać dogodnie miejsce. Trzecia faza testów wykaże natomiast, czy system jest faktycznie aplikowalny i czy można go zainstalować w innej platformie. Program AACUS ma się zakończyć pod koniec 2017 roku.

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

W sierpniu 2014 roku na poligonie Fort Benning w stanie Georgia firma Lockheed Martin wraz z centrum badań i rozwoju pojazdów lądowych armii amerykańskiej (TARDEC) zorganizowały pokaz, który może być symbolem nadchodzących czasów. Scenariusz ćwiczeń zakładał przerzucenie bezzałogowego zwiadowczego sześciokołowego pojazdu typu SMSS (Squad Mission Support System) za pomocą działającego autonomicznie śmigłowca K-MAX w pobliże wioski obsadzonej przez własny oddział. Operator SMSS miał wykonać zwiad okolicy i dostarczyć jej obraz broniącemu się oddziałowi, zwiększając tym samym jego możliwości rozpoznania pozycji wroga.

K-MAX przetransportował SMSS, który był podwieszony na linie. Już w fazie lotu uruchomiono w SMSS czujnik optyczny Gyrocam, za którego pomocą operator mógł obejrzeć teatr działań. Śmigłowiec sam wybrał miejsce, w którym operator odczepił pojazd. Po wylądowaniu SMSS ruszył do wskazanego mu punktu obserwacyjnego, samodzielnie wybierając dla siebie najdogodniejszą trasę. Zarówno K-MAX, jak i SMSS były wyposażone w satelitarne i taktyczne łącze komunikacyjne. Dzięki temu obraz wideo z czujników śmigłowca oraz czujnika Gyrocam pojazdu był przekazywany w czasie rzeczywistym zarówno do broniącego się oddziału, jak i do dowództwa operacji. SMSS po dotarciu do punktu obserwacyjnego rozpoznał pozycje przeciwnika, wskazując cele dla własnego oddziału. ■



UH-60 Black Hawk
to typowy
śmigłowiec średni

U S D O D

TADEUSZ WRÓBEL

Tendencja spadkowa

Analitycy lotniczy sygnalizują, że w najbliższych dziesięciu latach będzie się zmniejszać produkcja średnich i ciężkich śmigłowców wojskowych.

W 2004 roku na całym świecie powstało zaledwie 166 średnich i ciężkich śmigłowców wojskowych. Od tego czasu produkcja tych maszyn jednak się zwiększała. Według najnowszego raportu „The market for medium/heavy military rotorcraft”, dotyczącego lat 2015–2024, który opracowała firma Forecast International, zajmująca się analizami rynków lotniczych oraz uzbrojenia, teraz natomiast rozpoczęła się faza spadkowa w tej dziedzinie.

SZCZYPTA OPTYMIZMU

W 2014 roku wyprodukowano 653 śmigłowce średnie i ciężkie dla odbiorców wojskowych. W tym roku linie produkcyjne opuści o dziesięć maszyn mniej. W 2022 roku powstanie tylko 445 takich statków powietrznych. Analitycy

wskazują, że powodem zmniejszającej się produkcji są cięcia wydatków obronnych w państwach zachodnich.

Ekspert z Forecast International jako śmigłowiec średni klasyfikują maszynę o masie brutto 6804 kg lub większej, czyli na przykład NH-90, UH-60 Black Hawk, EC 725 Caracal, AW149, CH-47 Chinook, AW101, Mi-17 i Mi-26. Po modernizacji i zwiększeniu masy do 7 t do tej grupy zostanie zaliczony znajdujący licznych nabywców AW139 (około 900 zamówionych egzemplarzy), którego współproducentem są należące do firmy AgustaWestland zakłady w Świdniku. Oprócz śmigłowców wielozadaniowych i transportowych w tej grupie mieszczą się też wiroplaty spełniające wymóg masy uderzeniowej, takie jak amerykański AH-64, chiński WZ-10 czy rosyjskie Mi-28 i Ka-52. Uwzględniony jest również V-22 Osprey.





U.S. ARMY

Przyszły śmigłowiec

W USA został uruchomiony program Joint Multi-Role Technology Demonstrator/Future Vertical Lift w celu opracowania wiroplatów nowej generacji, które po 2030 roku zastąpią wielozadaniowe śmigłowce UH-60 i uderzeniowe AH-64.



Pierwsze
próbne loty
demonstratorów
technologii



prędkość przelotowa
co najmniej
426 km/h

2017

2000

potrzeby szacunkowe
(liczba maszyn)

4000



100

koszt
mld dolarów

2022–2024

ukończenie
prac nad
prototypami

Nad zbudowaniem demonstratora pracują dwa zespoły
– Sikorsky-Boeing (SB.1 Defiant) i Bell (V-280 Valor).

Wstępne wymagania



załoga



żołnierze desantu

LEKKIE W ODWROCIE

O publikowany w listopadzie 2014 roku raport Forecast International, dotyczący rynku lekkich śmigłowców wojskowych w latach 2014–2028, wskazuje, że w przyszłości będzie znacząco mniej zamówień na te maszyny. W przyszłym roku ich produkcja ma sięgnąć 208 sztuk (w tym roku 166), ale do 2023 roku zmniejszy

się o połowę, w 2028 roku zaś powstanie zaledwie 55 lekkich śmigłowców. Ogółem w ciągu 15 lat zostanie wyprodukowanych 1495 maszyn o wartości 23,6 mld dolarów. Dla porównania, według podobnej analizy z 2013 roku, w latach

3889 km zasięg

2013–2022 produkcja miała sięgnąć 1805 śmigłowców. Według prognoz z 2014 roku największym ich producentem będzie Airbus Helicopters, który dostarczy 431 sztuk za 7,4 mld dolarów. Będą to głównie śmigłowce uderzeniowe Tiger oraz wielozadaniowe UH-72 Lakota. Na drugim miejscu znajdzie się Hindustan Aeronautics Ltd. z 278 sztukami, głównie dla rodzimych sił zbrojnych. Trzecie miejsce przypadnie Bell Helicopters z 269 egzemplarzami.

MILITARIUM STUDIO P.K. U.S. ARMY

W ocenie specjalistów Forecast International w latach 2015–2024 powstanie ponad 5300 śmigłowców tej klasy zamówionych przez wojsko, a wartość produkcji przekroczy 126 mld dolarów. Głównym dostawcą będzie Rosja, a na drugim miejscu amerykańska firma Sikorsky, której flagowym produktem jest Black Hawk. W swej ofercie ma ona też cięższe maszyny transportowe – CH-53 i H-92. Przy czym mocna od lat pozycja producentów rosyjskich jest związana ze zdobywaniem kolejnych rynków zagranicznych, podczas gdy głównym odbiorcą black hawków pozostają siły zbrojne Stanów Zjednoczonych.

Prognozy przedstawione w najnowszym raporcie Forecast International mogą się jednak nie sprawdzić, chociażby ze względu na sytuację polityczną lub gospodarczą na świecie. Z takich powodów mogą zostać ogłoszone nowe, nieplanowane dotąd przetargi lub anulowane kontrakty już zawarte. Potwierdzeniem, że do szacunków wielkości produkcji należy podchodzić z ostrożnością, są wcześniejsze podobne analizy. I tak w raporcie Forecast International dotyczącym tendencji na ryn-

ku śmigłowców średnich i ciężkich w latach 2014–2023 podano, że w tym okresie będzie wyprodukowanych 5213 maszyn, w tym 437 w 2023 roku. Wcześniejsza analiza, dotycząca lat 2012–2021, pierwszy spadek produkcji przewidywała w 2017 roku. Oceniano, że powstanie wówczas 399 śmigłowców. Co prawda w następnym roku miały opuścić zakłady lotnicze 402 maszyny, jednak w ostatnim roku okresu, który obejmował raport, produkcja miała wynieść zaledwie 376 egzemplarzy. W całym dziesięcioleciu przewidywano zbudowanie zaledwie 4384 sztuk. W raporcie dotyczącym lat 2011–2020, przy takiej samej ogólnej liczbie śmigłowców, ich produkcja miała zostać ograniczona do 366 w 2020 roku. Teraz, choć jest zapowiadany spadek, co roku będzie powstawać ponad 400 maszyn.

NOWI GRACZE

Specjaliści z Forecast International uważają, że produkcja wojskowych śmigłowców średnich i ciężkich zacznie rosnąć od 2023 roku lub nawet dopiero od roku 2028. Jednym z czynni-

ków mających wpływ na odwrócenie tendencji spadkowej będzie uruchomienie wielkiego programu wiroplątów nowej generacji dla amerykańskich sił zbrojnych.

Innym elementem nie bez znaczenia dla poziomu światowej produkcji śmigłowców wojskowych są zamówienia dla sił zbrojnych Chin. Ich wojska lądowe ciągle mają mało śmigłowców w stosunku do swej wielkości. W ostatnich latach pojawiły się jednak projekty maszyn uderzeniowych i wielozadaniowych, których produkcja już się rozpoczęła lub rozpocznie w najbliższym czasie. Jedną z nich jest Z-20, którego pierwszy lot odbył się 23 grudnia 2013 roku.

Wizualnie Z-20 jest bardzo podobny do amerykańskiego śmigłowca Black Hawk. Nie jest jednak jego dokładną kopią. Eksperti zajmujący się lotnictwem zwrócili uwagę na przykład, że Z-20 ma pięciopłatowy wirnik główny, a w UH-60 ma on cztery łopaty. Rosnący budżet obronny Chin dobrze rokuje przyszłości tej konstrukcji. Prawdopodobnie Z-20 wzbudzi też zainteresowanie za granicą. Jednym z jego potencjalnych nabywców może być, zacieśniający relacje polityczno-wojskowe z Chinami, Pakistan. Innym państwem, które potrzebuje dużo nowych śmigłowców, są Indie. Rzecz w tym, że na razie ich rodzimy przemysł ma w swej ofercie tylko maszyny lekkie. Większe śmigłowce są jak dotąd sprowadzane głównie z Rosji. Ze swymi produktami na rynek indyjski wchodzi jednak też firmy amerykańskie i zachodnioeuropejskie.

I tak rozmowy o uruchomieniu na miejscu produkcji śmigłowców przeznaczonych dla wojska prowadzi z prywatnymi indyjskimi firmami Airbus. W jego ofercie jest EC 725, który też występuje w polskim przetargu, oraz mniejszy, jednosilnikowy AS 550. Sikorsky Aircraft Corp. (SAC) jest z kolei gotowa otworzyć w Indiach, jedyną poza USA, montownię śmigłowców morskich S-70B Seahawk. Warunkiem jest wygranie przetargu. Na razie w grudniu 2014 roku SAC został wskazany jako dostawca 16 sztuk S-70B, z opcją rozszerzenia zamówienia o osiem sztuk. Amerykanie liczą, że Indie zamówią 139 egzemplarzy tych maszyn. Wartość kontraktu na 123 morskie śmigłowce wielozadaniowe jest szacowana na 8 mld dolarów.

Na indyjski rynek chce też wejść firma Korea Aerospace Industries z opracowanym we współpracy z Eurocopterem śmigłowcem wielozadaniowym Surion, o maksymalnej masie startowej 8706 kg. W grudniu 2014 roku pojawiła się informacja, że Koreańczycy zostali wskazani jako potencjalny partner w programie dotyczącym 440 nowych śmigłowców wielozadaniowych, które mają zastąpić maszyny Cheetah i Chetak. Jako drugiego potencjalnego ich następcę indyjski resort obrony widzi mniejszy rosyjski śmigłowiec Kamow Ka-226T.

Indie w zakupach nowego zagranicznego uzbrojenia kierują się zasadą, że wybrana firma może dostarczyć tylko niewielką partię gotowych wyrobów. Większość ma być natomiast wyprodukowana na miejscu we współpracy z firmami miejscowymi. W lutym 2015 roku państwowa spółka Hindustan Aeronautics Ltd., największy producent branży lotniczej w Indiach, ogłosiła, że w najbliższych latach zainwestuje w nowy zakład budowy śmigłowców. Kompleks w Karnataka będzie mógł wytwarzać około 60 maszyn rocznie. Produkcja ma ruszyć w kwietniu 2017 roku. Przedstawiciele spółki podkreślają jednak, że chcą zaspokajać nie tylko rynek wojskowy, lecz także cywilny. Podobne plany ma większość producentów wiroplątów, dla których maszyny wojskowe to zaledwie kawałek tortu. ■

WWW.NOWOCZESNETECHNOLOGIE.ZTW.PL

XI MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA I WYSTAWA

**NOWOCZESNE TECHNOLOGIE
DLA BEZPIECZEŃSTWA KRAJU
I JEGO GRANIC**

14 MAJA 2015

XVIII
MIĘDZYNARODOWE
TARGI MORSKIE

2015

BALTEXPO

7-9 WRZEŚNIA 2015

WWW.BALTEXPO.ZTW.PL

- PRZEMYSŁ OKRĘTOWY
- BEZPIECZEŃSTWO ŻEGLUGI I PORTÓW

CYBER SECURITY

**III MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA I WYSTAWA**

**CYBER SECURITY:
BEZPIECZEŃSTWO
PONAD GRANICAMI**

5 LISTOPADA 2015

WWW.CYBER.ZTW.PL

**PATRON
MEDIALNY**

Polska Zbrojna

NORWEGIA

Pierwszy CV90

BAE Systems przekazał w końcu lutego armii norweskiej pierwszy nowo wyprodukowany bojowy wóz piechoty CV90.

Kontrakt o wartości **500 mln funtów szterlingów**, podpisany w czerwcu 2012 roku, dotyczył dostawy 41 nowych pojazdów i modernizacji 103 już posiadanych przez Norwegię. Jego realizacja ma się zakończyć w 2018 roku. Docelowo norweskie siły zbrojne mają mieć 74 egzemplarze CV90 w wersji bojowej, 21 wozów rozpoznawczych, 15 wozów dowodzenia, 16 pojazdów inżynierskich oraz 16 wielozadaniowych, które mogą służyć między innymi do przewożenia moździerzy, a także do zadań logistycznych. Oprócz tego Norwedzy będą mieli dwa CV90 do szkolenia kierowców. T W



BAE SYSTEMS

USA

Hydra w nowej roli

A amerykańska Raytheon Company i NIMR Automotive (część Emirates Defense Industries Company) ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich pracują nad stworzeniem nowego mobilnego zestawu przeciwpancernego. Otóż na platformie pojazdu opancerzonego NIMR 6x6 ma być zamontowany zdal-

nie sterowany moduł uzbrojenia z 16 naprowadzanymi laserowo pociskami rakietowymi Talon LGR. Są to niekierowane rakiety Hydra kalibru 70 mm, do których dodano półaktywną głowicę laserową i zestaw kontrol-

ny. Ta precyzyjna broń będzie przeznaczona do zwalczania między innymi lekko opancerzonych pojazdów, małych jednostek pływających i punktów oporu w terenie zurbanizowanym. Talon LGR mogą być wystrzeliwane z istniejących wyrzutni M260/261, jak też są w pełni kompatybilne z istniejącymi lotniczymi i naziemnymi wskaźnikami laserowymi. Broń ta może razić cele odległe od 1200 do 6000 m. WRT



RAYTHEON

SŁOWACJA

UH-60M u naszych sąsiadów

Defense Security Cooperation Agency poinformowała w lutym Kongres USA o możliwości sprzedaży Słowacji dziewięciu śmigłowców UH-60M Black Hawk. Rząd w Bratysławie wystąpił o maszyny w konfiguracji jak dla amerykańskich sił zbrojnych. Kontrakt, którego wartość oszacowano na 450 mln dolarów, objąłby też dostawę 20 silników T700-GE-701D, 20 radiostacji AN/ARC-231, 11 radiostacji AN/ARC-201D, 11 zestawów identyfikacji swój-obcy AN/APX-123, 11 zestawów nawigacji taktycznej AN/ARN-153,

11 odbiorników ARN-147 systemu nawigacyjnego VOR/ILS. Słowacy mają też otrzymać między innymi pakiet części zamiennych, dokumentację techniczną i materiały szkoleniowe. W ramach wsparcia dostaw i szkolenia jest przewidziana obecność na Słowacji w okresie od dwóch do pięciu lat trzech przedstawicieli rządu USA i pięciu ze strony głównych wykonawców transakcji, firm Sikorsky Aircraft Company i General Electric Aircraft Company. DSCA zaznaczyła, że nie pojawił się wymóg offsetu. W T ■

UKRAINA

Odmłodzony bewup

Firma Ukroboronprom ma dostarczyć w tym roku siłom zbrojnym Ukrainy 50 bojowych wozów piechoty IFV-1. Pod tym oznaczeniem kryje się zmodernizowany BWP-1, na którym zamontowano nową wieżę, KBA-105 Szkwał. Moduł wieżowy jest uzbrojony w automatyczną armatę kalibru 30 mm, granatnik automatyczny kali-

bru 30 mm, karabin maszynowy 7,62 mm oraz dwa kontenery z przeciwpancernymi pociskami kierowanymi. Pierwsze zmodernizowane wozy, oznaczone jako BWP-1U, pojawiły się już w minionej dekadzie i były głównie eksportowane do Gruzji. Teraz będą one powstawać w Żytomierskim Zakładzie Pojazdów Opancerzonych. w ■

JORDANIA

Uniwersalny Mbombe

PARAMOUNT GROUP



W Abu Zabi podczas IDEX 2015 jordańska firma King Abdullah II Design and Development Bureau podpisała z południowoafrykańską Paramount Group umowę na produkcję 50 kołowych pojazdów opancerzonych Mbombe 6x6. Pojazd ten ma za sobą testy w temperaturach od -50°C do +50°C. Pierwsze z nich przeprowadzono w Kazachstanie, a drugie w Jordanii i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Mbombe o masie bojowej 27 t w wersji jako transporter piechoty zabiera ośmioosobowy desant i może być wyposażony w różnorodne uzbrojenie o kalibrze do 30 mm. Jego opancerzenie chroni przed pociskami kalibru 14,5 mm i odłamkami pocisków artyleryjskich kalibru 155 mm. Poziom ochrony przeciwmìnowej zapewnia mu przetrwanie wybuchu, pod kołami lub kadłubem, ładunku stanowiącego równowartość 10 kg TNT. T W ■

be 6x6. Pojazd ten ma za sobą testy w temperaturach od -50°C do +50°C. Pierwsze z nich przeprowadzono w Kazachstanie, a drugie w Jordanii i Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Mbombe o masie bojowej 27 t w wersji jako transporter piechoty zabiera ośmioosobowy desant i może być wyposażony w różnorodne uzbrojenie o kalibrze do 30 mm. Jego opancerzenie chroni przed pociskami kalibru 14,5 mm i odłamkami pocisków artyleryjskich kalibru 155 mm. Poziom ochrony przeciwmìnowej zapewnia mu przetrwanie wybuchu, pod kołami lub kadłubem, ładunku stanowiącego równowartość 10 kg TNT. T W ■



KOREA POŁUDNIOWA

Gra o kontrakt

Samolot KF-X ma zastąpić w południowokoreańskich siłach powietrznych amerykańskie myśliwce F-4 i F-5.

Równoległe z zakupem samolotów RF-35 Lightning II w Korei Południowej jest realizowany program skonstruowania rodzimego, dwusilnikowego myśliwca, znanego jako KF-X. W grę wchodzi produkcja 120 nowych samolotów, z których pierwsze miałyby wejść do służby około 2025 roku. Wartość programu KF-X jest szacowana na 8,5 bln wonów, czyli równowartość 8,3 mld dolarów. Agencja prasowa Yonhap poinformowała, że do rywalizacji o to intratne zamówienie włączył się europejski gigant lotniczy Airbus, który stworzył zespół z linią lotniczą Korean Air Line Co. Wcześniej do gry weszła firma Korea Aerospace Industries w aliansie z amerykańskim koncernem Lockheed Martin. Południowokoreańska agencja zamówień obronnych, Defence Acquisition Program Administration (DAPA), ma wskazać zwycięski team w lipcu tego roku. Airbus, jak ujawniła agencja AFP, upatruje swej szansy na sukces w większej otwartości na transfer technologii. W wypadku zespołu koreańsko-amerykańskiego problemem może być zgoda Waszyngtonu na ich udostępnienie ze względu na udział w programie KF-X Indonezji. Z drugiej strony Korean Air nie mają żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o projektowanie i produkcję samolotów. w ■

ALGERIA

Licencyjne czołgi

W lutym w rosyjskim dzienniku „Wiedomosti” ujawniono, że w 2014 roku Rosoboronexport podpisał z Algierią kontrakt na licencyjny montaż w tym kraju około 200 czołgów T-90.

Będą one montowane w zakładzie Algierskiego ministerstwa obrony, który dotychczas zajmował się remontami pojazdów pancernych. To druga umowa z tym północnoafrykańskim państwem, związana z T-90. Pierwsza, zawarta w 2010 roku, dotyczyła dostawy 185 gotowych czołgów.

Dotąd jedynym krajem, oprócz Rosji, gdzie montowano T-90, były Indie. Pierwsze zamówienie z 2001 roku do-

tyczyło 124 gotowych wozów i 186 zestawów do montażu. W 2004 roku podpisano kontrakt na licencyjną produkcję w Indiach około tysiąca rosyjskich czołgów. Jednak trzy lata później, po renegocjacjach, dotyczył on już tylko 124 gotowych T-90 i 223 zestawów montażowych. Rosji, oprócz Algierii i Indii, udało się sprzedać czołgi tego typu Azerbejdżanowi, Ugandzie i Turkmenistanowi. TED



ROS OBORONEXPORT



Z E A

Bateria nadbrzeżna

Europejski producent systemów rakietowych MBDA, wspólnie z włoską firmą GEM elettronica i miejscową Siham Al Khaleej Technology (SAKT), która koordynuje projekt i integruje uzbrojenie, podczas wystawy zbrojeniowej IDEX 2015 w Abu Zabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich zaprezentowały nową nadbrzeżną baterię rakietową. Koncepcja przewiduje, że jej wyrzutnie będą uzbrojone w dwa różne pociski rakietowe.

Marte MK2/N służy do zwalczania wrogich jednostek na wodach terytorialnych w odległości do 35 km. Jeśli klient będzie tego wymagał, bateria otrzyma pociski Marte-ER, mogące razić bardziej odległe cele. GEM elettronica jest dostawcą stanowiska dowodzenia i kierowania (C2), CBRS 100-MD z radarem mogącym śledzić cele odległe do 100 Mm. W opcji jest możliwość zamontowania w nim dodatkowych sensorów. W W

Z E A

Arabska Enigma

Podczas IDEX 2015 w Zjednoczonych Emiratach Arabskich zaprezentowano rodzimej konstrukcji kołowy pojazd opancerzony Enigma 8x8. Opracowała go firma Emirates Defence Technology we współpracy z irlandzką firmą Timoney Technology, która dostarczyła projekty zawieszenia i układu napędowego. Masa bojowa Enigmy wynosi 28 t. Maksymalne opancerzenie zapewnia ochronę przed pociskami przeciwpancernymi kalibru 30 mm od przodu oraz 14,5 mm ze

wszystkich stron kadłuba. W wersji jako transporter Enigma jest przewidziana dla trzyosobowej załogi i ośmiu żołnierzy desantu.

Na wystawie IDEX pojazd prezentowano z wieżą z rosyjskiego BWP-3, ale jak zapewnia EDT, są przewidywane różne konfiguracje uzbrojenia, zarówno pochodzenia rosyjskiego, jak i zachodniego. Tworzenie pojazdów zgodnych z oczekiwaniami konkretnego klienta ma ułatwić modułowa konstrukcja Enigmy. W



EMIRATES DEFENCE TECHNOLOGY



nr 16.

Snajper z 17 Wielkopolskiej
Brigady Zmechanizowanej
– ubiór maskujący
rys. Monika Rokicka



Nr 16.**Ubiór maskujący****SNAJPER, 17 BRYGADA ZMECHANIZOWANA
(2008 ROK)**

Predstawiamy snajpera wojsk lądowych w ubiorze maskującym, mającym rozmyć sylwetkę, tzw. ghille. Nazwa ta wywodzi się z tradycji szkockiej. Pasterze owiec przebierali się w ich skóry, żeby skutecznie zacząć się na wilki. Żołnierze wykonują ghille samodzielnie, z wykorzystaniem starego munduru polowego. Z przodu spodni, w rejonach ud, goleni, krocza, oraz na przodzie bluzy wszywa się fragmenty z karimat, żeby było miękko – podczas czołgania i przedzierania się nie uszkadza się skóry – a zarazem ciepło, gdy godzinami leży się na zmarzniętej czy wilgotnej ziemi. Z boku bluzy mundurowej są wycięte kliny (przecięcie pod pachę), bo nosi się pod nią oporządzenie. Ubiór maskujący obszywa się frędzlami, na przykład z farbowanej na różne kolory juty, skrawków materiału mundurowego, sznurów konopnych. Do tego dochodzą przeszywki lub gumki, do których można wczepić fragmenty poszycia z najbliższego otoczenia. Ważnym elementem ghille jest kaptur, którego opadające frędzle rozmywają kształt głowy, ale nie zasłaniają widoczności. Snajper ma też rękawiczki taktyczne w kolorze zielonym. Uzbrojony jest w polski powtarzalny karabin wyborowy Bor (Alex) kalibru 7,62 mm, w układzie bullpup. Broń ta jest zasilana z magazynka pudełkowego, dwurzędowego, o pojemności dziesięciu naboju.

**nr 17.**

*Marzanna, Kompania
Reprezentacyjna Marynarki
Wojennej RP (2011 rok)*

17 Brygada Zmechanizowana

Brygada stacjonująca w Międzyrzeczu i Wędrzynie została sformowana w 1996 roku na bazie 17 Pułku Zmechanizowanego, jako jednostka 4 Lubuskiej Dywizji Zmechanizowanej. Od 2001 roku jest w strukturze 11 Dywizji Kawalerii Pancernej. 17 BZ jako pierwsza w Wojsku Polskim otrzymała kołowe transportery opancerzone Rosomak. Jej żołnierze uczestniczyli w misjach w Afganistanie i Iraku. Brygada dziedziczy tra-

dycje licznych jednostek wojskowych, między innymi 3 Dywizji Strzelców Wielkopolskich i 17 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty z lat 1919–1939. Kiedy w 2006 roku rozformowano 15 Wielkopolską Brygadę Kawalerii Pancernej, przejęła również tradycje wielkopolskich jednostek kawalerii, począwszy od utworzonej w 1776 roku Brygady Kawalerii Narodowej Wielkopolskiej. ■

OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL



...O ZABAWCE
DLA MARYNARZY

Ciupaga z Ameryki

- Właśnie wysłałem pytanie do znajomego Czejena z Montany, czy nie mógłby mi sprezentować tamtejszej ciupagi.
- Myślisz o tomahawku? A czekana czy nadziaka nie chciałeś?
- Pewnie, więc zapytałem też o JASSM i ATacMS.
- I co on na to?
- Co do JASSM, to już mi odpisał, że nie ma sprawy, tylko opłatę pocztową muszę uiścić.
- Rozumiem, dla każdego coś: ciupaga dla marynarzy, czekan dla lotników, a nadziak dla wojsk lądowych.
- Tak, ale zabawka dla marynarzy będzie najfajniejsza.
- Dlaczego?
- Bo jak rzucisz taką ciupagą, to ona tak daleko może polecieć, że ho ho.
- Skoro rzucasz tak daleko, to dobrze byłoby wiedzieć, do czego celujesz.
- Mogę to sprawdzić przez satelitę chociażby.
- To i satelitę sobie od razu sprawisz?
- No nie, satelita będzie u Czejena, ale jak się z nim wcześniej ustali, gdzie i po co, to on już załatwi satelitę jak trzeba.
- E, jakoś mi to nie leży. Ciupaga niby twoja, a jak będzie potrzebna, to o zgodę musisz prosić.
- Nie bój się, po taką ciupagę nie sięga się z byle powodu.
- A jedna ci wystarczy?
- Jaka jedna?! Wszystko będzie w zestawie firmowym.
- Skoro ten Czejen taki otwarty, to do tej twojej ciupagi dokupiłbym jeszcze...
- No, tego o czym myślisz to on nie sprzedaje...
- Ale jednemu zaprzyjaźnionemu kumpłowi to puścił w dobrej cenie.
- Ale ten kumpel to też Indianin.



| BLISKI WSCHÓD |

TOMASZ OTŁOWSKI

EKSPANSJA CZARNYCH SZTANDARÓW

Wprawdzie zmniejsza się działalność
ofensywna sił Państwa Islamskiego w samym
Lewancie, ale za to zwiększa jego aktywność
w innych częściach świata.



Kurdyjski peszmerg
w odbitym z rąk islamistów
irackim mieście Zumar,
26 października 2014 roku

REUTERS/AZAD LASHKARI/FORUM



Sojusznicza operacja militarna o kryptonimie „Inherent Resolve” (Nieodzowna determinacja), rozpoczęta w sierpniu 2014 roku przeciwko Państwu Islamskiemu (Islamic State – IS) i jego kalifatowi przez „koalicję chętnych” pod wodzą Stanów Zjednoczonych, już po kilku pierwszych tygodniach okazała się wyjątkowo niemrawa, wzięwszy pod uwagę dotychczasowe standardy tego typu kampanii. Działania koalicyjnych sił powietrznych – o niewielkiej intensywności i skali – były prowadzone w taki sposób, jakby państwa zaangażowane w tę walkę nie bardzo wierzyły w szansę powodzenia całego przedsięwzięcia lub też niezbyt zależało im na sukcesie.

POTRZEBA RESETU

Tymczasem Państwo Islamskie nie tylko nie zniknęło z mapy regionu pod wpływem pierwszej fali anemicznych ataków sojusznicznych, lecz wręcz przeciwnie – kontynuowało, choć w nieco mniej spektakularny sposób, swą ofensywę w Iraku i Syrii. Postępy wysoce mobilnych, zmotoryzowanych zagonów IS zostały zatrzymane dopiero na przedpolach Aleppo, Homs, Bagdadu, Kirkuku i wielkiego Kobane (które niespodziewanie urosło do rangi symbolu bohaterskiego oporu syryjskich Kurdów przeciwko przeważającym siłom bezwzględnego najeźdźcy, zyskując nawet w regionie miano „kurdyjskiego Stalingradu”).

Zatrzymanie formacji Państwa Islamskiego stało się możliwe głównie dzięki nieugiętej postawie syryjskich sił rządowych, kurdyjskich peszmergów oraz irackich szyickich milicji ochotniczych, wspieranych intensywnie przez Iran. Rola lotniczych działań koalicji, choć bez wątpienia ważna, nie miała tu jednak przesądzającego znaczenia. Co gorsza, te sojuszniczne operacje powietrzne były prowadzone faktycznie obok równoległych działań militarnych, podejmowanych na lądzie przez rządowe formacje syryjskie czy irańskich „ochotników” z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (operujących zarówno w Syrii, jak i Iraku). Pomimo upływu kilku miesięcy i ewidentnych dowodów na przydatność operacyjną sił syryjskich i irańskich w walce z kalifatem, Zachód wciąż nie uznaje ich roli i nie zamierza nawiązać współpracy

operacyjnej na szerszą skalę, zarówno z Damaszkiem, jak i Teheranem. Prowadzona w ten sposób „dziwna wojna” z kalifatem może ciągnąć się więc jeszcze bardzo długo, bez większych szans na zdecydowane rozstrzygnięcie strategiczne, o zwycięstwie nie wspominając.

Wielu analityków i ekspertów już latem 2014 roku ostrzegało, że tylko szybkie i zdecydowane zlikwidowanie zbrodniczego tworu, jakim jest kalifat, zapobiegnie jego umocnieniu się i rozprzestrzenieniu poza region Lewantu. Argumentowano, że skoro cel uświęca środki, to może warto rozważyć opcję jakiegoś „resetu” już nie tylko względem Iranu, ale nawet reżimu Baszara al-Assada – będącego od ponad roku jedyną przeszkodą dla Państwa Islamskiego na drodze do całkowitego opanowania terenów dawnej Syrii.

ŚCIEŻKI WPŁYWÓW

Tak się niestety nie stało. Zachód – zarówno USA, jak i Europa – nie zmienił swej polityki i strategii wobec regionu bliskowschodniego, nie zintensyfikował też tempa działań operacyjnych przeciwko Państwu Islamskiemu (przynajmniej aż do stycznia tego roku). Kalifat zaś przetrwał pierwsze, najtrudniejsze miesiące swojego istnienia, utrwalił i umocnił swą obecność i władzę na zajętych terenach (a przypomnijmy, że jest to ok. 40% powierzchni Iraku i niemal 60% terytorium dawnej Syrii, łącznie obszar ok. 240 tys. km²). I choć od późnej jesieni 2014 roku kalifat już nie rozrasta się terytorialnie (a nawet stracił część zajętego wcześniej terenu), to wciąż trwa niewzruszenie w samym sercu Bliskiego Wschodu, żelazną ręką rządząc swymi 24 wilajetami (prowincjami) zamieszkаныmi przez 10 mln ludzi i inspirując rzesze radykalnych sunnickich muzułmanów na całym świecie. Atrakcyjność idei kalifatu jako państwa islamskiego, rządzącego się surowymi, „czystymi” zasadami islamu, okazała się tak duża i nośna w sensie ideologiczno-religijnym, że już wczesną jesienią 2014 roku oficjalne „kolonie” kalifatu powstały w Libii (wilajet Barqā w Darnie) i na egipskim Synaju.

Równoległe swą wierność wobec kalifa Ibrahima zaczęły deklarować organizacje i ugrupowania islamistyczne z różnych zakątków świata muzułmańskiego, w tym wiele dotychczas blisko związanych z Al-Kaidą, główną rywalką Państwa Islamskiego do miana wiodącej siły globalnego dżihadu.

Naloty sił sojusznicznych na pozycje Państwa Islamskiego powstrzymały ofensywę ekstremistów, ale sama operacja „Inherent Resolve”, w ramach której były prowadzone, pozostawia spory niedosyt. Na zdjęciu amerykańskie samoloty F-15 E w akcji

OBECNOŚĆ WYSŁANNIKÓW KALIFATU W TAK ODLEGŁYM ZAKĄTKU „ŚWIATA ISLAMU”, JAK OBSZAR **AFPAK**, NIE JEST PRZYPADKIEM

Wśród tych ostatnich najważniejsze są Islamski Ruch Uzbekistanu (Islamic Movement of Uzbekistan – IMU), działający w Afganistanie i na pakistańskich terenach plemiennych, i tam mający swą centralę, a także duża część struktur terenowych Ruchu Talibów Pakistanu (Tehrik-e-Taliban Pakistan – TTP).

Z miesiąca na miesiąc oddziaływanie ideologiczne, duchowe (religijne) i organizacyjne kalifatu rosło, sięgając coraz to nowych regionów globu. Na przełomie lat 2014 i 2015 wpływy organizacyjne Państwa Islamskiego sięgały już od północnej Afryki (Maghreb), przez Nigerię (gdzie wierność kalifowi ogłosiła zbrodnica Boko Haram) i Bliski Wschód, aż po Azję Południową. I to właśnie w tym ostatnim regionie żywiołowo rosnąca obecność IS ma, jak się wydaje, wszelkie szanse naj-

bardziej wpłynąć na sytuację strategiczną w tzw. wojnie z islamskim terroryzmem, prowadzonej nie tylko przeciwko Państwu Islamskiemu, ale też Al-Kaidzie.

Azja Południowa – Afganistan, Pakistan, zwłaszcza osławiony region AfPak, czyli afgańsko-pakistańskiego pogranicza, zamieszkanego przez dumnych i wojowniczych Pasztunów – to faktyczna kolebka współczesnego wcielenia Al-Kaidy. Miejsce, gdzie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku organizacja ta umocniła się i nabrała obecnego charakteru ugrupowania o globalnym zasięgu oraz uzyskała pozycję lidera światowego dżihadu (niekwestionowaną aż do momentu pojawienia się IS w Lewancie). AfPak to zatem swoisty matecznik Al-Kaidy, region, gdzie jej wpływy i pozycja nie miały sobie równych od dwóch dekad. To tam od 2001 roku ukrywa się większość najwyższych rangą liderów i komendantów Al-Kaidy, korzystając z hojnej (aczkolwiek nie do końca bezinteresownej) gościnności i pomocy lokalnych plemion i klanów pasztuńskich (a także zapewne parasola ochronnego pakistańskiego wywiadu wojskowego). Wreszcie to tam znajduje się osławiona, mityczna centrala Al-Kaidy, kierowana obecnie przez emira Ajmana az-Zawahiriego, zawiadująca strategicznymi i operacyjnymi aspektami działań całej globalnej siatki założonej onegdaj przez Osamę bin Ladenę.

NOWE PRZYZCZÓŁKI

Gdy zatem w styczniu 2015 roku władze afgańskie (a w chwilę później także pakistańskie) oficjalnie potwierdziły krążące już od kilku tygodni pogłoski o pojawieniu się pod Hindukuszem i w Pakistanie emisariuszy i agentów Państwa Islamskiego – stało się jasne, że mamy do czynienia z faktem o przełomowym znaczeniu dla dalszego rozwoju sytuacji w regionie. Tym bardziej że tempo działań IS w Afganistanie i Pakistanie może budzić podziw. Po zaledwie trzech miesiącach od pierwszych, niepewnych i często sprzecznych informacji o „desancie” wysłanników kalifa Ibrahima w regionie AfPak, jest już pewne, że komórki Państwa Islamskiego są obecne w kilku południowych i południowo-wschodnich prowincjach Afganistanu (szczególnie w Helmand i Zabol).

Na stronę kalifatu przeszło tam wiele lokalnych struktur afgańskich talibów (łącznie może być to nawet kilka tysięcy bojowników), co w efekcie umożliwiło tym świeżo powołanym przyczółkom Państwa Islamskiego kontrolowanie całych połaci poszczególnych dystryktów. Białe flagi talibskiego Islamskiego Emiratu Afganistanu – powiewające dumnie w Helmandzie nieprzerwanie od 14 lat, pomimo obecności i wysiłków militar- ➔

nych sił NATO coraz częściej są zastępowane charakterystycznymi czarnymi sztandarami Państwa Islamskiego. W południowym Afganistanie dochodzi już także do starć oddziałów talibanu, wiernych dotychczasowemu kierownictwu ruchu (z mułłą Omarem na czele) z tymi strukturami, które zmieniły barwy sztandarów i przeszły pod rozkazy kalifa, rezydującego w jakże odległej syryjskiej Ar-Rakce. Jeszcze kilka miesięcy temu coś takiego byłoby wprost nie do wyobrażenia...

W ŚWIECIE ISLAMU

Dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że kluczowe znaczenie dla tak szybkiego i efektywnego rozwoju afgańsko-pakistańskiego przyczółku kalifatu miało wspomniane przejście jesienią 2014 roku na stronę Państwa Islamskiego zarówno IMU, jak i większości struktur pakistańskich talibów z TTP. Organizacje te kontrolują dużą część obszaru tzw. pasa plemiennego na pograniczu Pakistanu z Afganistanem, gdzie dotychczas niepodzielnie rządziła – w wymiarze ideologiczno-politycznym – Al-Kaida. Pojawienie się w tym samym miejscu struktur i ludzi powiązanych z wrogiem kalifatem wywróciło do góry nogami dotychczasowe lokalne relacje klanowe i plemienne.

Obecność wysłanników kalifatu w tak odległym zakątku „świata islamu” (Dar al-Islam), jak obszar AfPak, nie jest jednak w żadnej mierze przypadkiem. To bez wątpienia efekt celowych działań Państwa Islamskiego, wypadkowa wielu różnych czynników, składających się jednak na całościową, dobrze przemyślaną i zaplanowaną oraz skrupulatnie realizowaną jego strategię. Obejmuje ona takie aspekty, jak rywalizacja z „konkurencyjną” Al-Kaidą, uwarunkowania teologiczno-religijne (rola regionu AfPak w muzułmańskich wierzeniach profetycznych) oraz chłodna kalkulacja strategiczna IS, dotycząca Pakistanu i jego arsenałów nuklearnych. Warto przyjrzeć się bliżej tym kwestiom, wiele bowiem wskazuje, iż w nadchodzących miesiącach będą one mieć coraz większe znaczenie dla rozwoju sytuacji wokół kalifatu.

Od początku swego istnienia Islamskie Państwo Iraku i Lewantu/Syrii (ISIL/ISIS), przemianowane latem 2014 roku na Państwo Islamskie, świadomie i z premedytacją stawiało się we własnej propagandzie i przekazach medialnych w ostrej opozycji wobec Al-Kaidy. Spór ten, początkowo wyglądający na zwykłą rywalizację personalną między niezbyt lubiącymi się, ambitnymi liderami, szybko stał się zasadniczą osią budowania własnego wizerunku przez ISIL/IS. Świadomie, z pełną premedytacją liderzy ISIL/IS – z Abu Bakr al-Baghdadim (dzisiejszym kalifem Ibrahimem) na czele – tworzyli klimat ideologicznej, teologicznej i pokoleniowej wręcz konfrontacji z Al-Kaidą, mającej w założeniu pokazać milionom potencjalnych popleczników, że oto pojawiła się nowa, lepsza jakość w ruchu dżihadu. Kulminacją tej strategii ISIL/IS stało się powołanie w czerwcu 2014 roku kalifatu na zajętych terenach Syrii i Iraku – ruch tak prosty w swej wymowie i tak obfity w skutki propagandowe, duchowe i polityczne, że aż dziw, iż Al-Kaida sama nie zrobiła tego wcześniej. Ale tu właśnie widać najlepiej różnice pokoleniowe między działającą zachowawczo „starą gwardią” Osamy bin Ladena i Az-Zawahiriego a porywczymi „młodymi wilkami” pokroju Al-Baghdadięgo.

Powołanie kalifatu przez ISIL oznaczało wypowiedzenie otwartej wojny między Państwem Islamskim a Al-Kaidą i jej sojusznikami w różnych częściach świata. Wojny o prestiż, prymat w światowym ruchu dżihadu, ale też o wpływy wśród po-

tencjalnych sponsorów i donatorów, a więc o wiele całkiem konkretnych kwestii, takich jak fundusze, poparcie polityczne i napływ „rekruta”. Jak na razie, górą w tej rywalizacji wydaje się być IS, a jego obecność i rozwój w regionie AfPak – matczyniku Al-Kaidy – tylko umacnia to wrażenie. Kierownictwo Państwa Islamskiego ma zapewne pełną świadomość, że aby skutecznie zneutralizować dżihadystyczną konkurencję, należy uderzyć w jej fundamenty. Jeśli te ulegną zniszczeniu – lub choćby poważnemu osłabieniu – to pozostałe elementy całej konstrukcji (mocno szkodzący kalifatowi w Syrii Front Al-Nusra, oficjalna „odnoga” Al-Kaidy w Lewancie) stracą możliwości działania.

WOJOWNICY MAHDIEGO

Istotnym aspektem wzmożonej aktywności Państwa Islamskiego w regionie afgańsko-pakistańskim są także kwestie stricte religijne i teologiczne, związane ze specyficznymi elementami „duchowości islamskiej” w wydaniu sunnickich radykałów. Chodzi tu o Chorasany – historyczną (znaną już w VII w.) krainę, obejmującą obszary dzisiejszego Afganistanu, Pakistanu, części Iranu, Indii i Azji Centralnej – i jej specyficzną rolę w muzułmańskiej teologii. Oto bowiem według części tzw. hadisów (opowieści przytaczających wypowiedzi proroka Mahometa, także te profetyczne), na „końcu czasów” ma się pojawić niezwyciężona armia wojowników Mahdiego, maszerująca z Chorasanu pod czarnymi sztandarami dżihadu na Jerozolimę (arab. Al-Quds).

Koncepcja Chorasanu jako załóżka islamskiego nowego ładu światowego plasowała się w centrum ideologii Al-Kaidy od samego początku jej istnienia. Już w 1996 roku określenia „Chorasany” użył sam Osama bin Laden w swej programowej „deklaracji dżihadu przeciwko USA”. W oficjalnej nomenklaturze Al-Kaidy funkcjonują takie określenia, jak „Al-Kaida w Chorasanie” czy „bojownicy Chorasanu”. Niedawno, w 2014 roku, pojawiła się także grupa Chorasany – elitarna organizacja wysokich rangą, doświadczonych operatorów Al-Kaidy, stanowiąca ważną część działającego w Syrii Frontu Al-Nusra.

Warto zauważyć, że kwestia mitu Chorasanu – jego religijnego znaczenia i wpływu na obecną sytuację w wojnie z kalifatem – jest całkowicie bagatelizowana i pomijana w większości analiz zachodnich ośrodków badawczych i eksperckich. Tymczasem w radykalnym wydaniu islamu (zarówno tym związanym z wahhabizmem/salafizmem, prezentowanym przez IS, jak i z dominującym lokalnie w Azji Południowej deobandyzmem) aspekty te mają bardzo ważne, wręcz fundamentalne znaczenie, kształtując sposób myślenia i działania politycznego liderów poszczególnych ugrupowań. W tym sensie aktywizacja Państwa Islamskiego u podnóża Hindukuszu – a więc w samym sercu mitologicznego Chorasanu – jawi się jako próba sięgnięcia po zapisany (przepowiedziany?) w oficjalnej teologii islamskiej (hadisy) element zwycięskiego dzieła bojowników „świętej wojny” i ich tryumfalnego pochodu do Jerozolimy.

Czyż wobec tak potężnego ładunku duchowego i propagandowego, jaki niesie ze sobą mit o szczególnej roli ziem położonych u podnóża Hindukuszu, może dziwić fakt, że kalif Ibrahim, powołując w styczniu 2015 roku do życia kolejną „zamorską” prowincję kalifatu, nazwał ją oficjalnie „wilajet Chorasany”? Emirem tej prowincji został mianowany Hafiz Sajid Chan, dawny lokalny lider TTP w pakistańskiej Agencji



Wielu analityków i ekspertów już latem 2014 roku ostrzegało, że tylko szybkie i zdecydowane zlikwidowanie zbrodniczego tworu, jakim jest kalifat, zapobiegnie jego rozprzestrzenianiu się poza region Lewantu.

ISLAMIŚCI MAJĄ SWOICH ZWOLENNIKÓW W SZEREGACH PAKISTAŃSKICH SIŁ ZBROJNYCH

(dystryktie) Orakzai w Federalnie Administrowanych Terytoriach Plemiennych (FATA), znany szerzej w AfPak jako mułła Said Orakzai.

SŁABE OGNIWO

Działania kalifatu wobec regionu afgańsko-pakistańskiego to jednak nie tylko kwestie bieżącej walki ideologiczno-politycznej z Al-Kaidą i sięganie po profetyczne mity z pierwszych wieków islamu. To także bardzo konkretny i realny element chłodnej kalkulacji strategicznej, dotyczącej pakistańskich arsenałów nuklearnych. Pakistan jest wciąż (oficjalnie) jedynym państwem muzułmańskim dysponującym bronią atomową i strategicznymi środkami jej przenoszenia (w postaci arsenału rakiet balistycznych). Równocześnie jest jednak bodajże najsłabszym (w sensie politycznym oraz bezpieczeństwa wewnętrznego) mocarstwem nuklearnym świata, państwem targanym coraz większymi konfliktami o podłożu politycznym, wyznaniowym i ekonomicznym. Tak słaby kraj, z żywiołowo rosnącymi wpływami i rolą ugrupowań skrajnie islamistycznych w polityce (a także w siłach zbrojnych), jest oczywiście łakomym kąskiem dla światowego dżihadu.

Gdy we wrześniu 2014 roku Ajman az-Zawahiri ogłosił powstanie Al-Kaidy Subkontynentu Indyjskiego (AQIS), czyli nowego regionalnego odgałęzienia Al-Kaidy, nie była to wyłącznie chęć odzyskania inicjatywy w rywalizacji z kalifatem i IS, a celem nowej grupy nie były wyłącznie Indie. Dziś jest niemal pewne, że była to raczej próba ubiegnięcia Państwa Islamskiego w strategicznym wyścigu po pakistańskie główce nuklearne. Świadczą o tym już pierwsze (no-

tabene bardzo spektakularne) operacje AQIS, które przeprowadzono właśnie na terenie Pakistanu. Co ważne, akcje te pokazały, że islamiści (przynajmniej ci powiązani z Al-Kaidą) mają już swych współpracowników w szeregach pakistańskich sił zbrojnych. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można zatem zakładać, że i kalifat ma swych zwolenników wśród oficerów i żołnierzy sił Pakistanu. Wszystko to bardzo źle rokuje na przyszłość. Jeśli bowiem islamistyczna infiltracja armii i służb specjalnych Pakistanu przekroczy pewien punkt krytyczny, w kraju dojdzie albo do dżihadystycznego przewrotu z udziałem części wojska, albo do islamskiej rewolucji, której zdemoralizowane i podzielone siły zbrojne nie będą w stanie stłumić. W obu wypadkach pakistańska broń jądrowa (lub jej część) znalazłaby się najpewniej w rękach islamskich fanatyków. To, jakie mogłyby być tego skutki, jest wręcz niewyobrażalne.

DŁUGOFALOWA STRATEGIA

W miarę, jak zmniejsza się ofensywna działalność sił kalifatu w samym Lewancie, rośnie jego aktywność w innych częściach świata. Być może nie jest to przypadek, lecz element celowej, długofalowej strategii Państwa Islamskiego, obliczonej na szybkie rozprzestrzenienie płomienia dżihadystycznej rewolucji na cały glob. Region afgańsko-pakistański, a szerzej Azja Południowa i Centralna – jako historyczny, mityczny Chorasán – mają tu swoje poczesne miejsce. Podobnie jak kwestia pakistańskich arsenałów jądrowych, których ewentualne zdobycie przez kalifat mogłoby całkowicie zmienić obraz znanego nam świata. ■



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

ODBICIE WAHADŁA

Z Bogusławem R. Zagórskim

o strachu przed muzułmańskim fanatyzmem
i pokojowym islamie rozmawia Małgorzata
Schwarzgruber.

O Proroku! Walcz przeciwko niewiernym i przeciwko obłudnikom i bądź dla nich surowy! Ich miejscem schronienia będzie Gehenna. Jakże nieszczęśliwe to miejsce przybycia!”. To cytat z Koranu, sura 9, werset 73. Skoro w Koranie znajdziemy ponad sto wersetów, które zachęcają muzułmanów do prowadzenia walki przeciwko niewiernym, to możemy powiedzieć, że to niezbyt pokojowa religia.

Rozmowa na temat poszczególnych sur Koranu nie ma sensu. Dyskusję na ten temat pozostawiłbym specjalistom, a nie powierzał ją propagandzistom, którzy wypowiadają się, nie znając kontekstu, w jakim sury powstały. Interpretacja Koranu to skomplikowana materia. Nie doszukujemy się w islamie szczególnego ekstremizmu. Podobne zapisy możemy odkryć w innych religiach. W wielu świętych księgach odnajdujemy niezbyt pokojowe fragmenty, odnoszące się jednak do konkretnej sytuacji i konkretnego czasu. Takie bojowe hasła znajdziemy również w Piśmie Świętym, choć jest ich nieco mniej niż w Koranie. Wyrwanie stwierdzeń z historycznego kontekstu do niczego nie prowadzi. Nie można dopasowywać ich do z góry założonych tez. Tekst Koranu podlega wielu manipulacjom, zarówno w środowisku muzułmańskim, jak i poza nim.

Chrześcijaństwo ponad 200 lat temu przeszło jednak swoje oświecenie, czego nie doświadczył islam.

Społeczeństwa chrześcijańskie, i to na przekór chrześcijańskim instytucjom religijnym, zostały zmuszone do zaakcepto-

wania przemian. W islamie rozwój postępował inaczej, gdy większa część świata muzułmańskiego pozostawała pod przymocą i arbitralną władzą oświeconej Europy.

Jak przez stulecia zmieniała się interpretacja islamu? Czasem można odnieść wrażenie, że zatrzymała się ona w VII wieku.

Islam znacznie się zmienił. Ścisły monoteizm muzułmański jest zbliżony do monoteizmu żydowskiego. Obie te religie, tak jak i chrześcijaństwo, wywodzą się z jednego pnia objawienia Abrahamowego. Islam daje jednak większą swobodę rozwijania myśli człowieka w relacji człowiek – Bóg. Człowiek odpowiada sam za siebie, za to, co zrobił. To duża odpowiedzialność, której nikt z niego nie zdejmie. Muzułmanie nie akceptują też dogmatów niezrozumiałych dla ludzi, na przykład Trójcy Świętej. W imię religii zawsze jednak dokonuje się największych manipulacji i są ludzie, którym się wydaje, że można wrócić do VII wieku.

Twierdzi Pan, że islam jest religią pokojową, która podlega manipulacji.

Jest tak samo pokojowy jak chrześcijaństwo. Chrześcijańskie wojny religijne miały miejsce nie tylko w dawnych wiekach. Kilkanaście lat temu doszło do pogromów w Ruandzie, gdzie chrześcijanie wymordowali kilkaset tysięcy innych chrześcijan. Na Bałkanach chrześcijanie zabijali muzułmanów, a prawosławni mordowali się wzajemnie z katolikami. ➔

Irlandzcy katolicy dokonywali zamachów bombowych w miejscach publicznych. I tak dochodzimy do sedna, skąd się biorą wojny i konflikty.

Z religii?

Wprost przeciwnie. Przykrywką religijną nakłada się na konflikty społeczne i gospodarcze. Służą one do łatwiejszego manipulowania ludźmi i mobilizowania ich, aby zwalczać tych „innych”.

Dlaczego więc dziś boimy się islamu?

Zachód się boi, bo zdominowane dotychczas przez zachodnią cywilizację inne tożsamości, w tym muzułmańska, zaczynają się domagać równych praw. Zachód zapomniał o swoim kolonializmie, ale pamiętają o tym okresie podbite ludy. Wahać się jest teraz po drugiej stronie. Dlaczego ludzie urodzeni we Francji w drugim pokoleniu występują przeciwko państwu? Pamiętajmy, że należą oni do nierówno traktowanej mniejszości, która wspomina czas kolonializmu, wyzysku gospodarczego i społecznej dyskryminacji. Pamięć ofiary zawsze jest dłuższa niż pamięć kata. Nadal doświadczają oni uczuć rasistowskich, co powoduje zamknięcie się w swojej grupie i w gettach. We Francji, na przykład, w jednej z dyskusji na ten temat padło nawet stwierdzenie, że ludność muzułmańska nie tylko żyje na znacznie niższym poziomie, lecz także wręcz w stanie apartheidu, bo poza społeczeństwem francuskim.

Mocne oskarżenie.

Może nawet zbyt mocne, bo jednocześnie wielu imigrantów muzułmańskich i ich potomków zajmuje dość wysokie pozycje w społeczeństwie. Większość z tych ludzi nie ma jednak kontaktu z Francuzami lub z Anglikami – poza ulicą i miejscem pracy, o ile mają pracę. Wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Joe Biden powiedział niedawno, że Europa powinna przestać myśleć kategoriami nacjonalistycznymi. Tylko wtedy zdoła doprowadzić do idealnego melting pot, czyli tygla, w którym wszyscy stapiają się w jedno. Czy w USA zawsze się to sprawdzało w praktyce, to inna sprawa. Widzimy, jak Europa zмага się dziś ze swoimi rozbieżnymi tożsamościami. Czy w ramach Unii Europejskiej wszystkie kraje muszą dziś nadstawiać karku za grzechy kolonialne Francuzów, Włochów czy Hiszpanów? Przypomnę, że sama idea nacjonalizmu też się narodziła dopiero w XIX wieku w Europie. Ten problem wymaga poważnej debaty wewnątrz Unii.

Ostatnie ataki w Paryżu i w Londynie wywołały dyskusję o zagrożeniu muzułmańskim ekstremizmem. Media straszą wojną religijną na ulicach Europy. Czy czeka nas zderzenie cywilizacji zapowiadane przez Samuela Huntingtona?

Nie chodzi o zderzenie cywilizacji, lecz o dominację gospodarczą. Ekstremizm nie ma podłoża religijnego. Według wielu specjalistów sprzyja mu brak perspektyw imigrantów oraz neokolonialny wyzysk, bezprecedensowe w dziejach gromadzenie zasobów materialnych w rękach garstki najbogatszych, co uderza we wszystkich ludzi. Powodem konfliktów są nierówności społeczne, a religię łatwo można było zawsze wykorzystywać do motywowania ludzi słabo zorientowanych. Niektórzy już teraz proponują na forach internetowych rozwiązanie problemu muzułmańskiego na wzór żydowskiego Endlösung. Czy nie jest to propozycja zaskakująca?

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI



Warunki sprawiają, że terror może mieć różny wyraz – religijny, nacjonalistyczny i polityczny

Dla mnie tak.

Koszmar Holocaustu także był szokujący i niezrozumiały dla współczesnych oraz dla nas dzisiaj. Gdy Francja kolonizowała Afrykę Północną, w XIX wieku odbywała się publiczna dyskusja, jak uwolnić Algierię od ludności muzułmańskiej. Proponowano dwa sposoby: eksterminować wprost, czyli wybić, albo wysiedlić ludność poza góry Atlasu na południe, na stepy i pustynie. Podobne metody stosowano w USA wobec czerwonoskórych. Anglicy i Włosi korzystali z nich w swoich koloniach. Świat nie rozliczył się z kolonializmem, który przybrał nową postać – globalizacji. Pod koniec XIX wieku wszyscy się zachwycali tym, jak spod niewoli tureckiej wyzwalały się młode państwa bałkańskie. Co Europa wie o czystkach etnicznych, masowych mordach i wygnaniu, których doświadczyli wtedy muzułmanie? Podobny model został powtórzony na Bałkanach przez Serbów w Bośni i Hercegowinie. Gdy zdobywano miasto, zabytkowe budynki świadczące o kulturze muzułmańskiej, jak madrasy, meczety i inne, równano z ziemią i siano tam trawę. Dziś również fanatycy muzułmańscy niszczą światowe dziedzictwo kulturalne islamu.

Islam jest religią w systemie politycznym socjalistycznej Algierii, ultrakonserwatywnej prawicowej Arabii Saudyjskiej, multikulturowej Indonezji.

Odwrotnie, islam był religią ludności tych krajów na długo, zanim pojawiły się współcześnie skrojone formy państwowości i ich obecne systemy polityczne. To uniwersalna i prosta religia. Opiera się na pięciu filarach, zrozumiałych dla każdego. Są to:

wiara w jednego Boga oraz jego proroka Mahometa, obowiązek modlitwy, obowiązek postu i podatek religijny (mylnie nazywany jałmużną) oraz pielgrzymka do Mekki. Bardzo odmienne, jak widzimy, systemy polityczne wykorzystują religię do realizacji niekiedy boskich celów.

Młodzi islamici dokonują zamachów samobójczych z imieniem Allaha na ustach. Wierzą, że w raju czekają na nich obiecane dziewice?

Na gruncie dyskryminacji, poniżenia i marginalizacji społecznej rodzi się poczucie krzywdy, kryminalizacja, radykalizacja. Teraz przykrywką jest islam, tak jak kiedyś był komunizm – młodzi ludzie w imię szczytnych ideałów chcieli naprawiać świat. W co wierzyli członkowie Frakcji Czerwonej Armii, gdy poświęcali życie w walce o ideały, mordowali burżujów i wymierzali sprawiedliwość społeczną? To są choroby fanatyzmu. Warunki sprawiają, że terror może mieć różne podłoże – religijne, nacjonalistyczne i polityczne.

Dla muzułmanów w Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanii religia jest istotnym elementem tożsamości. W Europie, zwłaszcza Zachodniej, takie podejście budzi negatywne skojarzenia.

To problem Europejczyków – gromko krzyczą o chrześcijańskich korzeniach, a coraz mniej osób identyfikuje się z tą ideą. Europa nie niesie już dziś idei chrześcijaństwa, panuje tu demokracja i globalizacja.

Jak pogodzić szariat ze świeckim prawem europejskim? Można być dobrym muzułmaninem i Europejczykiem?

Można. Szariat jest używany jako straszak, a jest to złożony system prawny, polegający na interpretacji Koranu i tradycji Mahometa, a także miejscowych rozwiązań, zwyczajów i precedensów. Bardziej przypomina system prawa anglosaskiego niż ten oparty na kodeksie Napoleona. Szariat rozgranicza religię i stosunki międzyludzkie. Dzieli się przede wszystkim na ibadat, czyli zasady wiary i praktyki religijnej (prawo kanoniczne); mu'amalat, czyli kontrakty (prawo cywilne), a więc sferę działalności publicznej – tworzenie państwa, kodeks rodzinny, stosunki pracy i handlu; a także hudud (granice lub sankcje), czyli prawo karne. Zasady moralne wywiedzione z Koranu są w gruncie rzeczy takie same, jak wywiedzione z chrześcijaństwa – nie wolno kłamać, kraść, zabijać. Koran napomina, że jest to księga dla „ludzi, którzy myślą”. Ale z myśleniem u ludzi zawsze było najtrudniej.

Ale wolno kamienować kobiety za zdradę małżeńską.

Po pierwsze, to były i są bardzo rzadkie zdarzenia. Po wtóre, czy palenie tysięcy czarownic na stosie było wartością chrześcijańską? Patrzymy na kontekst historyczny, nie wytykamy innym czegoś, czego sami zaniechaliśmy zaledwie przedwcześniej. Nie chcę tu nikogo usprawiedliwiać, po prostu pokazuję, że wszystkie systemy mają swoje wynaturzenia, swych fanatyków.

Jak widzi Pan dalszą koegzystencję islamu i świata zachodniego?

Jeśli chcemy zapobiec wytworzonemu przez nas samych konfliktowi cywilizacyjnemu, musimy współpracować, rozumieć się nawzajem i szanować. To jest postulat długiej, planowej

działalności afirmatywnej i edukacyjnej, niesłuchanie trudnej, ale koniecznej. To nasza wielka, wspólna odpowiedzialność. W przeciwnym razie będziemy się wzajemnie mordować. Po jednej i po drugiej stronie są zwykli, zagubieni ludzie oraz fanatycy, podatni na ideologię. Jest to nieunikniony produkt dzikiego rozwoju kapitalizmu, jaki się obecnie odbywa. Wykorzystują to socjopaci i populiści – niekiedy gruntośnie wykształceni – po wszystkich stronach.

Zastanówmy się, skąd się wzięło na Bliskim Wschodzie Państwo Islamskie? Odpowiedź brzmi: z rozbioru państwa muzułmańskiego przez mocarstwa europejskie na przełomie XIX i XX wieku. Imperium osmańskie było wówczas celem ataków – głównie Rosji, Wielkiej Brytanii i Francji. Dopóki istniało, choć na pewno nie było idealne (a gdzie było państwo idealne?), przetrwało w jego ramach ludność chrześcijańska na Bałkanach i na Bliskim Wschodzie. Stambuł, stolica imperium, w większości był zamieszany przez chrześcijan. Wszystkie te społeczności wzięły się za łby dopiero wtedy, gdy zostały wyzwolone przez Europę.

Czy powstanie kalifatu coś w tej materii zmieni?

Państwo Islamskie pokazuje, że tworzy się nowa mapa geopolityczna Bliskiego Wschodu. Przestaje istnieć układ Sykes-Picot o rozbiórce imperium osmańskiego sprzed niecałych stu lat. Rzecznicy Państwa Islamskiego mówią, że ten układ – dzielący region Bliskiego Wschodu na strefy wpływów po I wojnie światowej – przestaje obowiązywać. Na ich mapie nie istnieje również Arabia Saudyjska, gdyż to Bilad al-Haramain, Kraj Dwóch Świętych Przybytków, gdzie leżą Mekka i Medyna, święte miasta islamu. Ogłosili kalifat, bo chcą ogarnąć swoimi wpływami cały świat muzułmański. Termin „kalifat” jest nośnym symbolem, zwłaszcza dla ludzi, którzy potrzebują sztandaru. Tymczasem z wyjątkiem pierwszych wieków islamu kalifat nigdy nie obejmował całego świata muzułmańskiego, a urząd kalifatu nie był funkcją religijną, lecz państwową (te rozróżnienia były płynne). Aby dziś powstał, trzeba byłoby uzyskać akceptację wszystkich państw i społeczeństw muzułmańskich, które zgodziłyby się na jedną wspólną formę władzy. Utopia? Ale to jest ostrzeżenie – w imię różnych utopii zginęło najwięcej ludzi w historii.

Jaka przyszłość czeka Państwo Islamskie?

Możemy mówić o wielu różnych scenariuszach. Najlepszym rozwiązaniem byłaby współpraca państw tego regionu – przede wszystkim właśnie ich – aby położyć kres istnieniu Państwa Islamskiego. To nie będzie łatwe. Ale mapa na pewno się zmieni.

To lepsze rozwiązanie niż koalicja państw zachodnich?

Koalicja taka doprowadziłaby do podobnej sytuacji, jaką mamy dziś w Iraku, co stało się pośrednią przyczyną obecnych tragicznych zawirowań na Bliskim Wschodzie, a także w Afganistanie. Zamknięte koło. ■

BOGUSŁAW R. ZAGÓRSKI JEST ARABISTĄ, ZNAWCĄ ISLAMU, DYREKTOREM INSTYTUTU IBN CHALDUNA, WYKŁADOWCĄ CYWILIZACJI MUZUŁMAŃSKIEJ W COLLEGIUM CIVITAS.

W taksówce z głośników
wybrzmiewa zachrypnię-
ty głos, wspominający
towarzyszy pola walki
i utraconą miłość.

MICHAŁ ZIELIŃSKI, UKRAINA

Wojna wygląda inaczej

Kierowca patrzy na drogowskaz, po czym żegna się dwukrotnie. Znak jest ozdobiony niebiesko-złotym herbem oraz napisem: „Możliwość udowodniona działaniem”.

Gdyby nie żegnający się kierowca, wjazdu do Donbasu można by praktycznie nie odczuć. Niby mija się blok post (punkt kontrolny) z niebiesko-żółtą flagą i zaparkowanym przy niej BTR-em, ale podobne stanowiska rozstawiono już w okolicach Dniepropietrowska. Wprawdzie dziurawe dotąd drogi zastępuje wylany niedawno asfalt, ale szybko się okazuje, że wystarczyło go raptem na parę kilometrów. Atmosfera gęstnieje, ale do końca nie wiadomo, czy nie dzieje się tak na życzenie odwiedzających. Nawet zabudowane balkony i sterzące z nich talerze anten nie

odstają od wyznaczonych setki kilometrów wcześniej standardów. Ktoś mógłby powiedzieć, że region wyróżnia się gospodarką czy sympatiami politycznymi jego mieszkańców. W rzeczywistości jednak Donbas od reszty wschodniej Ukrainy odróżnia się wyłącznie wojną.

W niektórych rejonach ATO (strefa operacji antyterrorystycznej) front przebiega równie niezauważenie. Nawet miejscowym ciężko jest określić, gdzie kończy się ich ziemia, a zaczyna Noworosja. Gdzieś, mówią, w tamtą stronę to już Donetska Narodna Respublika (DNR). Albo Luhanskaya Na-



Drogowskaz z licznymi śladami po pociskach, kierujący podróży do Charkowa

Ranni podczas walk w szpitalu cywilno-wojskowym w Sellidowie

Galina Bogdanowa pokazuje skrzynię, w której wśród żelastwa można wyróżnić fragmenty muchy, granatów moździerzowych, przeciwpancernych, są również poskręcane kawałki znacznie większego kalibru.



MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

rodna Respublika (LNR). Albo po prostu dom, w którym żyje brat czy siostra. Za to w pobliżu Artiomowska front można wskazać bez trudu.

„Patrz, tyle zostało z gościa”, dowódca blok postu sięga do przetartego worka. Z jego wnętrza wyciąga osmolony hełm i zniszczoną kamizelkę. Prezentuje je bardziej jak eksponaty niż relikwie, z miną człowieka, który dużo widział i chce pokazać innym. Jego kolega pokazuje kolejną kamizelkę, tym razem tę, którą ma na sobie. „Straszny syf. Z przodu płyta, z tyłu pusto”, mężczyźni śmieją się, sugerując, że jak przyj-

dzie co do czego, to nie ma jak uciekać. I rzeczywiście, wykopane wokół umocnienia zostały zalane wodą z okolicznych pól. Praktycznie pod sufit. W zimie woda zamarzła, szczelnie wypełniając schrony lodem. W efekcie przed ostrzałem chroni niewielka, obłożona żelbetonem, buda albo błyskawiczne zaliczenie „gleby” i sporo szczęścia. A strzelają bez przerwy.

„Schron zajął się ogniem, płonął dach. Na szczęście nie stało mi się nic poważnego, mam tylko poparzoną rękę”, żołnierz wskazuje zabandażowaną dłoń na jeden z dwóch budynków tworzących blok post. Punkt kontrolny postawiono



parę kilometrów przed Debalcewem, przy miejscowym węźle komunikacyjnym. Droga po lewej dojedzie się do elektrowni węglowej w Mironiwsku. Na prawo leży Switłodarsk (dwie godziny później ostrzelano mieszczący się w nim szpital).

„A wczoraj pociski Grad spadły w pobliżu linii wysokiego napięcia, o tam, 500 m dalej”, slysze. Jakby na potwierdzenie tych słów rozlega się kilkadziesiąt charakterystycznych eksplozji. Wydaje się, że krótkie tąpnięcia nie mają końca. Oczy żołnierzy rozszerzają się, chichot maskuje strach. Tak właśnie brzmi Grad. Niemal równocześnie słysząc ukraińską artylerię. Od momentu, w którym walki na froncie północnym rozpoczęły się na nowo (stan sprzed drugiego porozumienia w Mińsku), ogień z obu stron jest prowadzony nieustannie. Separatyści nacierają w kierunku Wuhłehirska, Dzierżyńska i Popasnej. Debalcewe, z tysiącami cywilów, jest głównym celem ofensywy. Mimo tego ruch od strony miasta jest znikomy. Raz na jakiś czas do kontroli staje cywilny samochód, w stronę Debalcewego pusty, w stronę Artiomowska, jedynej drogi ucieczki, załadowany dobytkiem po dach. Ze srebrnego kombi wysiadają dwie kobiety, dalej ruszają pieszo. Bez pośpiechu, jakby tocząca się wokół wojna dotyczyła wyłącznie mężczyzn.

CZŁOWIEK TO CZŁOWIEK

Mimo frontu odległego o niespełna 50 km, w knajpie w centrum Kramatorska znów komplet. Przy stolikach tłumy młodych ludzi, gdzieniegdzie widać ponure twarze przyjezdnych. Pracownicy OBWE oraz NGO (organizacje pozarządowe) dzielą się między sobą najnowszymi informacjami. Jest tam Natasza Prejstrenko (imię i nazwisko zmienione), lekarz. Mimo swojego rosyjskiego pochodzenia, od samego początku jawnie trzyma stronę Ukraińców. „Jeżeli tylko front podojdzie bliżej, sporo ludzi ponownie sięgnie po broń. Im już nawet nie chodzi o idee, większość robi to z braku alternatywy”. Kiedy w Kijowie strzelano do protestujących, Natasza razem z tysiącami innych osób solidaryzowała się z Majdanem. W spontanicznych marszach powiewały niebiesko-żółte flagi, skandowano pro-ukraińskie hasła. Jednocześnie niewielkie grupy ludzi zaczęły organizować własne protesty, dla równowagi prorosyjskie. Tam dominowały kominiarki i agresja. Później przyszedł Girkin. I wszystko odwrócił do góry nogami.

W pierwszy dzień jego grupa liczyła 50–60 zbrojnych. Igor Girkin nie zwlekał. Nawoływał do otwartej walki, rozdawał broń. W szeregach powstającej armii stanęli ludzie, którzy nie mieli nic do stracenia. Za nimi ich rodziny, sympatycy, krewni. Efekt był taki, że trzy miesiące później, po odbiciu miasta przez siły ATO, w stronę Doniecka skierowała się kolumna około 10 tys. osób. W tłumie, oprócz czynnych separatystów, nie brakowało kobiet i dzieci. Nikt nie zatrzymał ich marszu. Nikt nie sprawdził również, kto postanowił zostać.

„Sytuacja jest napięta. Mimo że armia przepędziła stąd tysiące separatystów, na miejscu zostało sporo ludzi, którzy popierają DNR. Nigdy nie kryłam się z poglądami, chodziłam na proukraińskie wiece, marsze. Teraz ludzie wokół są do mnie negatywnie nastawieni. Na razie to małe, codzienne złośliwości”, Natasza rozgląda się, z trudem kryje napięcie. Niedawno w Charkowie doszło do zamachów, w których łącznie zostało rannych kilkanaście osób. Jeden przeprowadzono w podobnym lokalu. „Ostrożności nigdy za wiele. Zresztą, spójrz w prawo”. Przy stoliku siedzi dwóch mężczyzn. Czar-



Pomnik Lenina w Słowiańsku. Na tabliczce przywieszanej do wodza rewolucji można przeczytać: „Zabiłem 20 000 000 ludzi”.

WŁADZE W KIJOWIE ZDAJĄ SOBIE SPRAWĘ, ŻE NASTROJE WŚRÓD LUDNOŚCI SĄ PODZIELONE

ne dresy, ogolone głowy, zaciśnięte usta. Nie rozmawiają, obserwują. Trudno określić, czy to przypadkowi ludzie, czy już tituszkci. Po chwili wychodzą bez słowa.

SERIE W TEKSTURY

Natasza zapytana, czy jako lekarz pomagała również separatystom, mówi, że człowiek to człowiek. Kilka dni później Kramatorsk zostaje ostrzelany z systemu raketowego Tornado. Separatyści celowali w sztab ATO, który znajduje się na pobliskim lotnisku, jednak większość pocisków spadła na dzielnicę mieszkalną. Na amatorskim filmie widać błyski i małe obłoczki dymu, pojawiające się na domkach jednorodzinnych, alejach, lokalnym przedszkolu. Według oficjalnych danych zginęło 15 osób, ponad 60 zostało rannych.

Władze w Kijowie zdają sobie sprawę, że nastroje wśród ludności są podzielone. W Donbasie, wbrew panującej opinii, nigdy się nie przelewało. Proeuropejscy Ukraińcy twierdzą, że powodem powstania, jak nazywa się tutaj działania separatystów, jest chęć odcięcia się od władzy dojącej miejscowy przymysł. Jeżeli jest to prawda, to tylko częściowa. Region faktycz-

nie znany jest z masowego wydobycia węgla, są tam również urodzajne czarnoziemy, jednak pozyskane w ten sposób pieniądze napędlają kieszenie oligarchów. Tych miejscowych i tych zza wschodniej granicy. W tym wypadku przynależność terytorialna realnie niewiele zmienia lub nawet pogarsza sytuację, o czym przekonali się boleśnie mieszkańcy Krymu. Jeżeli coś ciągnie Donbas do autonomii, to tożsamość.

W taksówce z głośników wybrzmiewa zachrypnięty głos, wspominający towarzyszy pola walki i utraconą miłość. Z kontekstu wynika, że owszem, czasy były trudne, że Afganistan czy Czeczenia dały ostro w kość, ale lepiej w imię wyższych spraw gryźć ziemię niż wegetować. Kierowca milczy. Jest po ukraińskiej stronie ATO, wiezie nieznanym, więc trzyma język za zębami. A w radiu, jak w radiu, nie jego wina, co śpiewają. Z przeciwnej strony, z ostrzeliwanego Debalcewego, gna ojciec z synem. Młodszy nie sięga pamięcią tak daleko, więc i muzykę serwuje inną. Grzmotowi wybuchów wtóruje na zmianę subtelny głos rosyjskiej gwiazdy popu MakSim i rosyjskie techno. Muzyka nie przestaje grać nawet w chwili, w której ukraiński żołnierz zatrzymuje samochód do kontroli. Z ust starszego sypie się lawina przekleństw.

„Kontrolujemy każdy pojazd cywilny, który wyjeżdża z kołtła. Na ich poglądy nie mamy wpływu, ale na to, co wiozą, już tak”, Andriej, na co dzień pracownik straży granicznej, nadzoruje ruch drogowy w okolicy Artiomowska. Jak większość jego kolegów, został ściągnięty z zachodniej Ukrainy. Niektórych oddelegowano z przejść granicznych w Medyce czy Krościenku. Granica polsko-ukraińska nigdy nie była łatwa do uszczelnienia, chociaż próby przemycenia broni to tam skrajność. Podczas kontroli na blok postach Andriej niejednokrotnie znajdował kałasznikowy czy materiały wybuchowe, dlatego na widok każdego zbliżającego się samochodu przerywa konwersację. Strapione twarze starców czy przymocowany do dachu dziecięcy wózek nie stanowią żadnej taryfy ulgowej. Można jechać dalej dopiero po sprawdzeniu dokumentów i kontroli przewożonego dobytku. W kolejce czekają dziesiątki pojazdów.

Front znajduje się w stosunkowo bezpiecznej odległości, jednak luz wśród żołnierzy jest tylko pozorny. Parę dni temu na podobnym punkcie kontrolnym doszło do zamachu, zginął ukraiński żołnierz. Dużo takich miejsc zostało wielokrotnie ostrzelanych, w tym ten obok Wołnowachy (13 ofiar). Zmiany trwają po 24 godziny. Przed zimnem ratuje gorąca herbata z termosów, przed stresem – tarcze strzelnicze zawieszane w okolicznych krzakach. Krótkim seriom z kałasznikowców wtóruje stacjonująca nieopodal artyleria. Jedni strzelają w tektury, drudzy w pozycję separatystów. Andriej uśmiecha się pod nosem: „Oni strzelają, to my też będziemy”.

DOM PAPUG

W posiekanych odłamkami przedpokojów stoją olbrzymie druciane klatki. Przed wojną mieszkwały w nich egzotyczne papugi, ekstrawagancja, na którą Galina Bogdanowa mogła sobie pozwolić. W końcu dla czego miałyby tego nie robić – ptaki cieszyły całą jej rodzinę, a interes prosperował wyjątkowo dobrze. Los chciał, że zarówno prowadzony przez nią sklep, jak i sam dom znalazły się w centrum strzałów. Przez dobytek Galiny Bogdanowej front przetaczał się niespełna 30 min. Czas ten spędziła z rodziną w piwnicy, leżąc na ziemi i płacząc ze strachu. Przeżyli wszyscy oprócz papug.

Jedna z większych eksplozji miała miejsce zaraz za miedzą. Odłamki przeleciały przez łazienkę, przedpokój i pokój jej syna. Nie zatrzymały ich ani elewacja, ani plakat z wizerunkiem Witalija Kliczki, którym syn przed wojną ozdobił ścianę. Najprawdopodobniej to odłamki zabiły ptaki, chociaż dziury po kulach również ciężko zliczyć. Po wszystkim syn zaczął zbierać elementy pocisków, które znalazł w ogrodzie. Uzbierała się cała skrzynia. Wśród żelastwa można wyróżnić fragmenty muchy, granatów mózdzierzowych, granatów przeciwpancernych, są również poskręcane kawałki znacznie większego kalibru. Mimo strat, Galina uważa, że miała wiele szczęścia. „Ja żadnych pieniędzy nie chcę, żadnych odszkodowań”, mówi, wskazując ręką w przestrzeń. Rząd zresztą i tak ich nie wypłaca, przynajmniej dopóki trwa walka. Co będzie później, nie wiadomo.

Rodzina mieszkająca po drugiej stronie skrzyżowania miała mniej szczęścia. Kilka pocisków trafiło w dach, burząc przy tym jeden z boków, a drugi został poważnie uszkodzony. Pewne jest, że nadaje się do rozbiórki, ale obecnie nikt nie zwraca sobie tym głowy. Zdewastowanych domów jest wiele, a nie ma pewności, czy walk znów nie będzie. Zresztą, nawet gdyby nastąpił pokój, to kilometr dalej znajduje się wysadzony most, własność państwowa. O tym, jak ważna jest prowadząca przez niego droga, świadczy wielki, pomalowany w narodowe barwy napis „Słowiańsk” oraz równie okazały drogowskaz, kierujący podróżnych dalej, na Charków. A dom to tylko dom.

„Dam sobie radę ze wszystkim, niech tylko przestaną strzelać”, rzuca Galina Bogdanowa, po czym ucieka wzrokiem w stronę furty.

JEJ TAK NIE KOCHACIE

W zawieszonym na ścianie telewizorze leci film wojenny. Dzielni Amerykanie wyciągają kolegów spod ognia, krzycząc przy tym do siebie komendy. Ukraiński lektor stara się za nimi nadążyć, ale wiadomo, że Słowianie komunikują się trochę inaczej. Pod telewizorem zebrali się żołnierze, którzy przed chwilą wrócili z frontu. Niektórzy śpią, jeden z drugim z obojętnym wyrazem twarzy gapią się w ekran. Każdy z nich wie, że wojna wygląda inaczej, przynajmniej w lokalnym wydaniu. Może kiedy będą bliżej Zachodu, ramię w ramię z NATO, zamiast grać na ślepo z okopów, dostaną wsparcie z powietrza. Może będą jeździć w konwojach. Może już nigdy nie zostawią nikogo za sobą, jak musieli zrobić pod Iłowajskiem czy Debalcewem. Na razie jednak pozostaje tylko oglądanie.

Do stolika dosiada się ubrany po cywilnemu, niczym niewyróżniający się mężczyzna. Szary sweter, szare spodnie, grymas na twarzy. Przedstawia się jako Kola – raz kierowca, raz robotnik z pobliskiej fabryki. W kilku słowach streszcza swoje życie (żona Ukrainka uciekła od niego na Krym), po czym przechodzi do polityki międzynarodowej. Jego poglądy nie odbiegają od tego, co można usłyszeć na polskich ulicach. Łamanym, angielsko-niemiecko-rosyjskim tłumaczy, jak kontrolujące świat siły sprzymierzyły się przeciwko Słowianom, jak chcą ich skłócić. Jak dzielą i rządzą. Z kieliszkiem koniaku w ręku wspomina czasy przed wojną, nawiązuje do naszego prezydenta. Koniak jest tylko trzygwiazdkowy, ale za to gruziński. W końcu macha ręką i wznosi toast „Za Łódź! Wy jej tak nie kochacie, jak ją kocham”.

TADEUSZ WRÓBEL

Lotnicze tango

Brytyjczycy obawiają się, że po zakupieniu przez Argentynę nowych myśliwców konflikt z nią o Falklandy (Malwiny) się zaostrzy.



Samoloty IAI Finger pamiętają jeszcze wojnę falklandzką.

Argentyna, która od zakończenia wojny o Falklandy (Malwiny) w 1982 roku ma problemy z zakupem nowoczesnego uzbrojenia na Zachodzie, szczególnie samolotów wielozadaniowych, znalazła nowego dostawcę. W połowie lutego 2015 roku pojawiła się informacja, że 20 bojowych odrzutowców sprzedadzą jej Chińczycy. Jest to kolejny ruch zacieśniający współpracę wojskową między tymi dwoma państwami. Kilka lat wcześniej argentyńskie wojska lądowe zainteresowały się chińskim lekkim śmigłowcem Z-11, uchodzącym za kopię AS 350B2 Écureuil firmy Eurocopter (obecnie Airbus Helicopters). Podpisano umowę na jego produkcję licencyjną, ale jak na razie skończyło się na zmontowaniu jednego prototypu. W maju 2013 roku ogłoszono zaś, że dla lotnictwa armii argentyńskiej zakupiono we Włoszech 20 używanych śmigłowców AB 206 JetRanger.

ANGIELSKA BLOKADA

Od 2 do 5 lutego 2015 roku z wizytą w Chinach przebywała prezydent Argentyny Cristina Fernández de Kirchner. W trakcie jej pobytu w Pekinie podpisano kilkanaście umów

dotyczących dwustronnej współpracy w różnych dziedzinach. Przy okazji ujawniono, że ma powstać argentyńsko-chińska grupa robocza, która sprawdzi możliwość wprowadzenia do sił powietrznych południowoamerykańskiego kraju nowych myśliwców produkowanych przez Chengdu Aircraft Corporation. Wymieniono dwa rozważane ich typy – FC-1 Xiaolong/JF-17 Thunder i J-10B. Kilka dni po zakończeniu wizyty prezydent Kirchner, w serwisie China Military Online ukazał się artykuł byłego chińskiego pilota wojskowego sugerujący, że Argentyna zakupi raczej ten ostatni. Inni autorzy z kolei podawali w połowie lutego, że w grę wchodzi sprzedaż 20 egzemplarzy JF-17/FC-1. Pierwsze doniesienia o możliwej opcji chińskiej pojawiły się w czerwcu 2013 roku.

Argentyńczycy od lat próbują zakupić samoloty myśliwskie, które zastąpią w ich siłach powietrznych pamiętające wojnę falklandzką Mirage IIIEA i Mirage 5P Mara oraz IAI Finger. W grudniu 2014 roku pojawiła się informacja o możliwej transakcji barterowej z Rosją. W zamian za dostawy mięsa i zboża Argentyna miała otrzymać 12 używanych bom-

bowców frontowych Su-24. Według brytyjskiego dziennika „Daily Express” drzwi do takich negocjacji zostały otwarte w lipcu 2014 roku podczas wizyty prezydenta Władimira Putina w Buenos Aires. W artykule zamieszczonym 15 lutego 2015 roku w serwisie internetowym gazety (express.co.uk) Justin Bronk z think tanku Royal United Services Institute stwierdził, że Argentyna rozmawiała z Rosją o samolotach, ale do transakcji nie doszło, ponieważ Su-24 są przestarzałe. Rosjanie mają też kiepską reputację, jeśli chodzi o obsługę posprzedażną swego uzbrojenia. Chińczycy nie mają wiele lepszych ocen, ale w odniesieniu do Argentyny mogą się zmobilizować. Udana transakcja z nią może bowiem stworzyć szansę na zawarcie kontraktów z innymi państwami Ameryki Południowej.

Kilka tygodni wcześniej, 22 października 2014 roku, przy okazji prezentacji pierwszego prototypu brazylijskiego samolotu transportowego Embraer KC-390, Argentyna i Brazylia

podpisały porozumienie o sojuszu strategicznym w przemyśle lotniczym. Równocześnie pojawiła się wiadomość, że rząd argentyński „zdecydował się rozpocząć negocjacje z administracją Dilmy Rousseff [prezydent Brazylii] w sprawie zakupu 24 samolotów Saab Gripen”, które mają być produkowane na licencji w Brazylii. Szybko się jednak okazało, że taka transakcja jest nierealna z powodów politycznych, ponieważ na sprzedaż tej maszyny do Buenos Aires musiałaby się zgodzić Wielka Brytania, skąd pochodzi 30% części szwedzkiego myśliwca.

Kilka miesięcy wcześniej, na początku 2014 roku, Argentynicy nie udało się sfinalizować zakupu 18 myśliwców Kfir Block 60 za 500 mln dolarów w Izraelu, który na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku był ich głównym dostawcą samolotów bojowych. Tuzin z nich miał być zmontowany w Argentynie pod nadzorem Izraelczyków, jednak pojawiły się dwa problemy. Pierwszym było



OD PONAD TRZECH DEKAD PAŃSTWO ARGENTYŃSKIE FUNKCJONUJE OD KRYZYSU DO KRYZYSU

ochłodzenie relacji dwustronnych. Władze Argentyny wyraziły bowiem zgodę na wspólne z Iranem śledztwo w sprawie zamachu bombowego na ośrodek kulturalny Stowarzyszenia Argentyńsko-Izraelskiego w Buenos Aires, który miał miejsce 18 lipca 1994 roku. Zginęło wówczas 85 osób, a około 300 zostało rannych. Izrael uważa, że za masakrę są odpowiedzialni członkowie libańskiego Hezbollahu, który jest wspierany przez władze Iranu.

Druga sprawa to zakulisowe działania, mające na celu stordedowanie transakcji, podjęte przez Brytyjczyków. Jedną z możliwości było wykorzystanie wpływów USA. Otóż Kfir Block 60 ma amerykański silnik J79 firmy General Electric. Dlatego była potrzebna zgoda Waszyngtonu na eksport tych maszyn.

Na początku stycznia 2014 roku z kolei pojawiła się informacja, że nie dojdzie też do sprzedaży Argentynie 16 myśliwców Mirage F1M, które wycofano z hiszpańskich sił powietrznych.

Inną opcją rozważaną w ostatnich latach w Argentynie był też zakup używanych samolotów Mirage 2000 we Francji lub Brazylii. W tym wypadku również bardzo aktywnie działali brytyjscy dyplomaci, przekonując sojuszników z NATO, by odstąpili od transakcji. Jeśli chodzi o Francję, która zawiązała strategiczne partnerstwo z Wielką Brytanią, Londyn zabiegał również, by nie pomogła ona w modernizacji dziesięciu z 11 samolotów odrzutowych Super Etendard, które ma lotnictwo argentyńskiej marynarki wojennej.



JEDNYM Z GŁÓWNYCH DOSTAWCÓW SAMOLOTÓW DLA ARGENTYNY STAŁ SIĘ IZRAEL.

Kiedy wybuchła wojna o Falklandy (Malwiny), argentyńskie siły powietrzne miały około 120 bojowych odrzutowców. Ponad jedną czwartą z nich utraciły podczas walk z Brytyjczykami. Pomimo dokupienia później kilkudziesięciu dodatkowych samolotów, Argentyna dysponuje obecnie zaledwie około 50 lecymi maszynami myśliwskimi i myśliwsko-bombowymi. Najliczniejsze w jej siłach powietrznych są McDonnell-Douglas A-4AR Fightinghawk. Argentyna jest jednym z największych, oprócz USA, użytkowników A-4 w historii. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nabyła 91 wcześniejszych wersji maszyn, znanych jako A-4 Skyhawk. W latach dwudziestych XX wieku kupiła w USA z drugiej ręki 32 maszyny jednomiejscowe A-4M i cztery dwumiejscowe OA-4. Samoloty te weszły do służby w 1997 roku. Obecnie jest ich 22 lub 23. W 1968 roku Argentyńczycy zamówili we Francji dziesięć nowych samolotów Mirage IIIEA (na zdjęciu) i dwa dwumiejscowe Mirage IIIDA. W 1977 roku dokupili jeszcze siedem Mirage IIIEA i w 1980 roku dwa Mirage IIIDE. Nadal w użyciu pozostaje 12 maszyn Mirage IIIEA. Jednym z głównych dostawców samolotów dla Argentyny stał się Izrael. Z powodu amerykańskiego i zachodnioeuropejskiego embarga po wojnie o Falklandy, władze w Buenos Aires kupiły od niego 19 samolotów Mirage IIICJ i trzy dwumiejscowe Mirage IIIBJ. Dostarczono je między 18 grudnia 1982 roku a 29 marca 1983 roku. Ekszraelskie samoloty Mirage III zostały już wycofane ze służby. Wcześniej, w dwóch transzach – w 1978 roku i 1980 roku, Izrael przekazał Argentynie 39 samolotów IAI Nesher (kopia Mirage 5 z izraelską awioniką), w tym cztery dwumiejscowe. W 1979 roku został zawarty kontrakt na ich modernizację z wykorzystaniem systemów stosowanych w innym izraelskim myśliwcu, Kfir C2. Nowy wariant otrzymał nazwę IAI Finger. Na początku 2015 roku w służbie pozostały zaledwie cztery samoloty tego typu. W ramach pomocy dla Argentyny podczas wojny falklandzkiej dziesięć myśliwców Mirage 5P odsprzedało jej Peru. Samoloty te dostarczono w czerwcu 1982 roku. W końcu lat osiemdziesiątych XX wieku poddano je modernizacji, po której znane są pod oznaczeniem Mirage M-5P Mara. W służbie pozostaje ich od czterech do sześciu. Oprócz tych maszyn argentyńskie lotnictwo ma 18 rodzimej produkcji odrzutowych samolotów szkolno-bojowych IA-63 Pampa II.

Choć Stany Zjednoczone w latach dziewięćdziesiątych XX wieku zniosły embargo na sprzedaż broni Argentynie i dostarczyły jej 36 samolotów poddźwiękowych A-4 Fightinghawk, nie próbowała ona zabiegać o nowe myśliwce w Waszyngtonie. Władze w Buenos Aires były świadome, że Wielka Brytania jest najważniejszym sojusznikiem polityczno-wojskowym Amerykanów, dlatego nie narażają oni na szwank swych stosunków z Londynem, sprzedając Argentyńczykom na przykład F-16. Inna kwestia, że ze względu na poglądy polityczne, prezydent Kirchner bliżej do Wenezueli, Boliwii czy Chin niż USA.

Oprócz zewnętrznych czynników politycznych modernizację lotnictwa utrudniała sytuacja wewnętrzna. Już ponad trzy dekady państwo argentyńskie funkcjonuje od kryzysu do kryzysu. Od zakończenia wojny z 1982 roku Argentyna czterokrotnie ogłaszała bankructwo. Po raz ostatni w 2014 roku.

OBAWA O FALKLANDY

Brytyjskie zabiegi dyplomatyczne, by nie dopuścić do uzyskania przez Argentynę nowych samolotów wielozadaniowych, są związane z ciągnącym się od dziesięcioleci sporem o Falklandy (Malwiny). Argentyńczycy, choć ponieśli sromotną klęskę w wojnie w 1982 roku, nadal podtrzymują roszczenia do tego archipelagu na południowym Atlantyku. Ze względu na odkryte tam zasoby surowców z pewnością od nich nie odstąpią.

Wielka Brytania utrzymuje obecnie na Falklandach stały garnizon, liczący 1200–1300 żołnierzy. Stacjonuje tam też klucz czterech samolotów bojowych Typhoon. Do czasu, gdy Argentyna miała przestarzałe Mirage i A-4, ta liczba wystarczała do odstraszenia. Jeśli jednak argentyńskie lotnictwo bę-

dzie posiadało maszyny bojowe nowej generacji, Brytyjczycy będą musieli dokonać przeglądu dotychczasowej strategii obronnej Falklandów, bowiem myśliwce FC-1 mają zasięg pozwalający bez problemu dolecieć im nad Falklandy i powrócić do baz na południu Argentyny.

Co więcej, w razie otwartego konfliktu pozycja militarna Wielkiej Brytanii jest znacznie słabsza niż w 1982 roku. Jej marynarka wojenna po wycofaniu harrierów nie ma samolotów pokładowych. Zachowany w służbie ostatni z lotniskowców typu Invincible jest faktycznie śmigłowcowcem. Sytuacja zmieni się dopiero za kilka lat. Wtedy do służby wejdzie nowy lotniskowiec „Queen Elizabeth” z samolotami F-35B.

Zagrożenie Falklandów wzrośnie, jeśli wraz z nowymi samolotami Argentyna zakupi do nich pociski przeciwokrętowe. W tym kontekście jest wymieniany chiński pocisk nadźwiękowy CM-400AKG o zasięgu 250 km, czyli znacznie większym niż francuskie exocety, które zadały duże straty flocie brytyjskiej w 1982 roku. Argentyńskie samoloty z pociskami przeciwokrętowymi dalekiego zasięgu mogą szachować siły Royal Navy w rejonie spornego archipelagu.

W związku z planami modernizacji argentyńskiego lotnictwa bojowego Brytyjczycy zamierzają między innymi wzmocnić naziemną obronę powietrzną Falklandów. Według dziennika „Sun”, zostanie tam rozmieszczony mobilny Future Local Air Defense System. Obecnie nieba nad Falklandami broni system Rapiet. Czy „zimny” konflikt o Falklandy znowu przejdzie w fazę gorącą, pokaże przyszłość. Niestety trzeba się liczyć z tym, że politycy rządzący w Buenos Aires, tak jak wojskowa junta w 1982 roku, mogą wykorzystywać, budząc w argentyńskim społeczeństwie duże emocje, spór terytorialny do odwrócenia uwagi od problemów wewnętrznych. ■



ZIV KOREN/POLARIS/EAST NEWS

ROBERT CZULDA

Strażnicy miasta

Najwięksi wrogowie Izraela nie pochodzą ze środowisk muzułmańskich radykałów, lecz z... grup żydowskich.

Lista wrogów Izraela jest długa – co jakiś czas świat obiegają informacje o ataku muzułmańskich ekstremistów na cele izraelskie w różnych punktach globu. Państwo to zмага się z palestyńskimi ugrupowaniami, takimi jak Islamski Dżihad czy Hamas. Także dla Iranu od ponad 30 lat Izrael – nazywany syjonistycznym reżimem – to śmiertelny wróg.

Izrael ma jeszcze jednego zjadłego oponenta, o którym na ogół się nie mówi. Są nim niektórzy Żydzi, należący do pewnych grup ultraortodoksyjnych, a więc postępujących w swym życiu zgodnie z zapisami Tory, najważniejszego tekstu objawionego judaizmu. Zgodnie z Torą, interpretowaną jako słowo Boże dla narodu wybranego, Żydzi odzyskają swoje biblijne państwo dopiero, gdy z niebios zstąpi Mesjasz. Jakikolwiek inne próby powołania państwa Izrael uważają za herezję i odstępianie od boskiej woli.

Konflikt narodził się w wieku XIX, kiedy powstało kilka głównych nurtów politycznych w ramach środowiska żydowskiego. Ortodoksyjni Żydzi, mieszkający zarówno w Palestynie, jak i Stanach Zjednoczonych oraz Europie, pozostali wierni religii. Inni, chociażby syjoniści i komuniści, a także ci, którzy chcieli się zasymilować, wybrali drogę sekularyzmu. Holokaust sprawił, że w odniesieniu do państwa żydowskiego wygrała koncepcja syjonizmu – skrajnego nacjonalizmu żydowskiego, mocno osadzonego w świeckości i lewicowości. To właśnie ci ludzie, chociażby Dawid Ben Gurion, Golda Meir czy Menachem Begin, powołali Izrael.

Fakt ten nie spodobał się nie tylko Arabom, dla których Izrael to obce ciało na ich ziemi, lecz także wielu ultraortodoksyjnym Żydom. Dla nich Holokaust był karą Boga za „romans” ze świeckimi koncepcjami, w tym komunizmem i syjonizmem. W ich odczuciu Izrael jest zaprzeczeniem Tory, a więc woli ➔

Boga. Większość środowisk religijnych ograniczyła się do krytykowania idei Izraela i bojkotu tego państwa. Niektórzy jednak postanowili zwalczać je czynem.

WSPARCIE PALESTYŃCZYKÓW

Początek żydowskiego oporu wobec Izraela dostrzec można jeszcze przed powołaniem państwa w 1948 roku. W latach trzydziestych ubiegłego stulecia w obliczu wyraźnego naporu niechętnych judaizmowi świeckich Żydów syjonistów i ich wpływu do Palestyny, mieszkający tam ultraortodoksi, którzy harmonijnie żyli wśród arabskiej większości, postanowili działać i stordedować powstanie świeckiego Izraela. W 1938 roku powołano tajną organizację o nazwie Neturei Karta (Strażnicy Miasta). W jej skład weszli głównie religijni Żydzi z Jerozolimy

pod względem rozmiaru społeczność żydowską na Bliskim Wschodzie) świadczyła, że kieruje nimi antysyjonizm i antyizraelizm, a nie antysemityzm. Po drugie, świat się dowiedział, że nie brakuje wyznawców judaizmu występujących przeciwko Izraelowi, który stara się pozować na adwokata wszystkich Żydów.

W Izraelu członkowie Naturei Karta organizują demonstracje i co jakiś czas atakują izraelskich posłów. Do jednego z takich incydentów doszło w 2010 roku, kiedy to próbujący wejść do synagogi ortodoksyjny deputowany Ya'akov Katz miał zostać pobity przez ultraortodoksów, których potem określił mianem terrorystów i nazistów. Inne ofiary Naturei Karta to główny rabin Izraela Yona Metzger i minister spraw wewnętrznych Eli Yishai. Wówczas pojawiły się głosy, by organizację uznać za terrorystyczną. Tym bardziej że jej członkowie utrzymują

RÓŻNE ODCIENIE RADYKALIZMU

Naturei Karta to niejedyna radykalna grupa żydowska walcząca z państwem izraelskim. Inną jest ultraortodoksyjny ruch Sikrikim, skoncentrowany głównie w Jerozolimie. Organizacja zwalcza elementy świeckie, w tym chociażby brak segregacji kobiet i mężczyzn. Jej członkowie atakują szkoły, przedstawicieli państwa, policjantów.

Inne ugrupowania ekstremistyczne zwalczają działania Izraela, jeśli te są nastawione na podjęcie negocjacji z Palestyńczykami. Przeciwko porozumieniu występowało Podziemie Żydowskie, które istniało w latach 1979–1984. Głównym jego celem było zniszczenie Kopuły na Skale w Jerozolimie, jednego z najważniejszych sanktuariów muzułmańskich, by w ten sposób odbudować biblijną świątynię żydowską. Z ruchem radykalnym był związany dr Baruch Goldstein – amerykański Żyd, który w 1994 roku dokonał masakry Arabów w Hebronie (w meczecie zabił 29 osób, ranił 125). Rok później radykalny Żyd Yigal Amir zabił izraelskiego premiera Itzhaka Rabina, zabiegającego o pokój z Palestyńczykami.

W 2002 roku izraelskie służby specjalne zapobiegły spiskowi żydowskich terrorystów, którzy chcieli wysadzić w powietrze szpital palestyński i szkołę dla dziewczynek w Jerozolimie. Atak miał nastąpić w momencie rozpoczęcia zajęć, by zabić co najmniej 1,5 tys. osób. Kilka miesięcy wcześniej doszło do eksplozji bomby w szkole męskiej w Jerozolimie. Noam Federman, rzecznik prasowy ruchu radykalnego, wyjaśniał działania słowami: „rząd powinien wysadzać w powietrze szpitale, ale niestety tego nie robi, dlatego też musimy go zastąpić”.

my, potomkowie emigrantów z XIX-wiecznych litewskich i węgierskich gmin żydowskich. Nie udało się – chasydzi byli ludźmi wiary, a nie czynu, nie zapobiegli powołaniu Izraela.

Neturei Karta nie została jednak zniszczona i działa po dziś dzień na obrzeżach ruchu ortodoksyjnego. Przez umiarkowanych Żydów religijnych, jak chociażby londyńskiego rabina Jeremy'ego Rosena, są uznawani za wariatów. Cele organizacji są niezmiennie – walka z obecnie istniejącym Izraelem, a więc koncepcją świecką, opartą na syjonizmie, który odrzuca religijny wymiar judaizmu. Główną formą aktywności organizacji jest palenie izraelskich flag w dużych miastach. W każdy możliwy sposób występuje przeciwko Izraelowi i zajadłe krytykuje go na arenie międzynarodowej. Wspiera niepodległościowe aspiracje Palestyńczyków. Jeden z członków Naturei Karta, Mosze Hirsch, był nawet ministerialnym doradcą Jasera Arafata. Inni weszli do izolowanej przez Izrael Strefy Gazy, by w ten sposób ukazać swoje wsparcie dla Palestyńczyków.

Członkowie organizacji trafili na czołówki najważniejszych światowych dzienników w 2006 roku. Wtedy to grupa ortodoksyjnych rabinów odwiedziła Iran, gdzie spotkała się z irańskim prezydentem Mahmudem Ahmadineżadem. Jeden z rabinów, Mosze Arye Friedman, stwierdził, że Izrael to zło i że wykorzystuje Holokaust jako „komercyjne, wojskowe i medialne narzędzie”. Był to poważny cios dla Izraela. Po pierwsze, została zdyskredytowana opinia, że Ahmadineżad jest antysemitą – obecność rabinów w Iranie (który ma drugą po Izraelu

kontakty z palestyńskim ugrupowaniem Hamas. Jak stwierdził jeden z przywódców Naturei Karta, „mieszkańcy Strefy Gazy muszą zrozumieć, że dziejąca się tutaj tragedia nie ma żadnego związku z judaizmem”. W liście otwartym Naturei Karta wyraziła wolę „pokoju i niezwłocznego zlikwidowania tworu syjonistycznego – państwa Izrael – i przekazania całej Ziemi Świętej, w tym Jerozolimy, w ręce prawowitych właścicieli, to jest narodu palestyńskiego”.

SPISEK Z IRANEM

W styczniu 2014 roku organizacja dała o sobie przypomnieć. Wtedy to sąd w Jerozolimie skazał jednego z jej członków, 47-letniego Izraelczyka, na cztery i pół roku więzienia. Izraelska opinia publiczna dowiedziała się, że mężczyzna w 2011 roku wyjechał do Berlina, gdzie odwiedził ambasadę Iranu. Tam z własnej woli ten ultraortodoksyjny Żyd zaproponował władzom w Teheranie usługi szpiegowskie. W rozmowach z irańskimi agentami Izraelczyk stwierdził, że nie uznaje Izraela i jest gotów zabijać syjonistów. Mężczyzna został aresztowany przez Szin Bet w lipcu 2013 roku. Chociaż spisek został zneutralizowany, to członkowie antyizraelskich środowisk żydowskich się nie poddają i liczą, że z boską pomocą uda im się zrealizować wizję, którą prezentuje rabin Aharon Cohen – pokojowego zlikwidowania izraelskiej państwowości i powołania w jej miejsce systemu, w którym „Palestyńczycy i Żydzi żyją pokojowo obok siebie, tak jak robili to przez wieki”.

TADEUSZ WRÓBEL

Dwa ognie

Wewnętrzna niestabilność osłabia pozycję Filipin w sporach terytorialnych z Chinami.

Największe zagrożenie dla bezpieczeństwa wewnętrznego Filipin stanowią od lat ugrupowania islamskie, których matczynikiem są południowe wyspy archipelagu. Jedną z najaktywniejszych i najgroźniejszych jest organizacja terrorystyczna Abu Sajef, założona w 1991 roku przez Abduragaka Abubakara Janjalaniego, uczestnika wojny z sowieckimi interwentami w Afganistanie. Licząca około 500 członków grupa jest najbardziej aktywna na wyspach Basilan i Jolo. Jej najkrwawszym aktem terroru było zatopienie 27 lutego 2004 roku promu w Zatoce Manilskiej. Zginęło wówczas ponad 100 osób. Równoległe z walką z islamskimi ekstremistami Filipiny są coraz bardziej zaangażowane w spory terytorialne z Chinami, które roszczą sobie prawa do większości akwenu Morza Południowochińskiego. Świadome swej słabości militarnej władze w Manili starają się odbudowywać silne więzi polityczno-wojskowe ze Stanami Zjednoczonymi.

KRWAWY POTYCZKI

Wyszkoleni przez Amerykanów komandosi armii filipińskiej zabili w końcu lutego 2015 roku na wyspie Jolo 14 muzułmańskich rebeliantów. Płk Restituto Padilla, rzecznik prasowy, podał, że do starcia z około 300-osobową grupą członków Abu Sajef doszło w pobliżu miasta Patikul. Podczas dwudniowej bitwy siły rządowe użyły artylerii i lotnictwa. W walkach zginęło dwóch żołnierzy, a 14 odniosło rany.

Znacznie krwawszy był incydent, który zdarzył się 25 stycznia 2015 roku na wyspie Mindanao. Komandosi ze specjalnej jednostki policyjnej (Special Action Force – SAF) próbowali w ramach operacji „Exodus” aresztować lub zlikwidować powiązanych z grupami Abu Sajef i Dżimah Islamijskich konstruktorów bomb, którzy ukrywali się w wiosce Pedsandawan. Jednym z nich był Malezyjczyk Zulkifli bin Hir alias Marwan, za którego Amerykanie dawali 5 mln dolarów nagrody. Drugim celem był Abdul Basit Usman – za jego głowę oferowano milion dolarów. W operacji zabito Marwana, ale policjanci nie mogli zabrać ciała terrorysty. W celu jego identyfikacji odcięto prawy palec i przekazano Amerykanom, w których więzieniu przebywa jego brat, Rahmat bin Hir. Policyjni komandosi zostali zaatakowani w rejonie miasta Mamasapano przez rebeliantów z dwóch grup – Islamskiego Frontu Wyzwolenia Moro (Moro Isla-

mic Liberation Front – MILF) i Islamskich Bojowników o Wolność Bangsamoro (Bangsamoro Islamic Freedom Fighters – BIFF). Wkroczyli bowiem do partyzanckiej enklawy. W 12-godzinnej walce zginęło aż 44 członków SAF, a 12 zostało rannych. Rebelianci przyznali się do straty 18 ludzi. Wśród ofiar było też kilku cywilów.

Masakra komandosów zachwiała kruchym procesem pokojowym. W marcu 2014 roku MILF i rząd Filipin podpisały porozumienie, mające zakończyć 45-letni konflikt, w którym straciło życie ponad 120 tys. ludzi.

Z powodu strat ze stanowiskiem musiał się pożegnać szef SAF Getulio Napeñas, a światło dzienne ujrzały fakty bardzo kłopotliwe dla prezydenta Benigna Aquino. Otóż okazało się, że o antyterrorystycznej operacji nie został uprzedzony pełniący obowiązki szefa Filipińskiej Narodowej Policji (Philippine National Police) Leonardo Espina. Dowiedział się o niej, gdy trwała już walka. Pominęto też ministra spraw wewnętrznych Manuela Roxasa. Co więcej, o misji komandosów nie wiedział, jak ujawnił szef sztabu generalnego gen. Gregorio Pio Catapang, również generał dowodzący w tej części Filipin, więc wojsko nie mogło przyjść na czas z odsieczą policyjnym komandosom.

Odwołany Getulio Napeñas ujawnił, że na kilka godzin przed akcją zadzwonił do niego szef policji, prywatnie przyjaciel prezydenta, Alan Purisima (zrezygnował ze stanowiska w listopadzie 2014 roku z powodu oskarżeń o korupcję) i zalecił mu, by przed jej rozpoczęciem nie informował szefostwa policji. Z kręgów policyjnych dotarły do mediów opinie, że ta dziwna sytuacja miała związek z rywalizacją między ministrem Roxasem a szefem prezydenckiej kancelarii, którym jest Paquito „Jojo” Navarro Ochoa Jr. Stoi on równocześnie na czele dwóch rad – antyterrorystycznej i zwalczania zorganizowanej przestępczości. Rewelacje te spowodowały, że pojawiły się żądania odejścia samego prezydenta Aquino.

WYSUNIĘTE LOTNISKA

Wewnętrzny kryzys polityczny wybuchł w czasie, gdy przed Filipinami stoją poważne wyzwania w polityce zagranicznej, związane ze sporami terytorialnymi z Chinami na Morzu Południowochińskim. Władze w Pekinie roszczą sobie prawa do około 90% tego akwenu i od pewnego czasu prowadzą tam politykę faktów dokonanych. Jednym z jej →

Oslabieni maoiści

**OPRÓCZ ISLAMSKICH
REBELIANTÓW
NA POŁUDNIU FILIPIN
DZIAŁA
OD 1969 ROKU
MAOISTOWSKA
PARTYZANTKA.**

Jest to Nowa Armia Ludowa (Bagong Hukbong Bayan), zbrojne ramię tamtejszej partii komunistycznej. Czasy jej świetności przypadły na lata osiemdziesiąte XX wieku, gdy miała ponad 25 tys. bojowników. Obecnie liczebność szeregów maoistów stopniała do niecałych 5 tys. Dużym ciosem było dla nich aresztowanie 22 marca 2014 roku, na wyspie Cebu Benito Tiamzona, przewodniczącego Komunistycznej Partii Filipin. Wraz z nim schwytano sześciu członków komitetu centralnego partii, w tym żonę Tiamzona, Wilnę. Niemniej jednak partyzanci walczą nadal.



Świadome swej słabości militarnej władze w Manili starają się odbudowywać silne więzi polityczno-wojskowe z USA.



MILITARIUM
STUDIO PK, USMC

przejawów jest tworzenie sztucznych wysp, które mają przeznaczenie wojskowe i gospodarcze. Według przedstawicieli władz w Manili i ujawnionych zdjęć satelitarnych takie prace trwają już na siedmiu rafach spornego archipelagu Spratly. Najnowsza chińska inwestycja rozpoczęła się na rafie Mischief, znanej też pod filipińską nazwą Panganiban, którą Chińczycy okupują od 1995 roku. W innym miejscu powstała piaszczysta wysepka o powierzchni 75 tys. m², a kilka miesięcy wcześniej, w połowie 2014 roku, było głośno o pracach na rafie Johnson South. Jak podano w „IHS Jane's Defense”, na rafie Fiery Cross usypano wyspę o długości ponad 3 km i szerokości 200–300 m, co wystarczy, by zbudować tam lotnisko. Chińczycy prowadzą też prace na rafach Gaven, Cuarteron i Eldad.

Oprócz Chin i Filipin prawa do archipelagu Spratly roszczą sobie Brunei, Tajwan, Wietnam i Malezja. Obecnie, z wyjątkiem Brunei, wszystkie państwa już mają tam swe przyczółki wojskowe. Lotnisko na wyspie Taiping rozkazał zbudować w 2006 roku ówczesny prezydent Tajwanu Chen Shui-bian. Filipińczycy mają lotnisko z pasem startowym o długości 1300 m na wyspie Thitu. Malezyjczycy już w 1995 roku zbudowali pas startowy na rafie Swallow (malezyjska nazwa Pulau Layang-Layang). Krótki, długości 610 m, jest na kontrolowanej przez Wietnam wyspie Spratly.

Chiny ignorują regularne protesty dyplomatyczne Filipin przeciwko ich działaniom na spornych obszarach. W grudniu 2014 roku władze w Pekinie odrzuciły możliwość międzynarodowej mediacji w tej sprawie, czego chciała Manila.

Filipiny nie mają szans w militarnej konfrontacji z Chinami. Ich wydatki na obronę są bowiem ponad 40 razy mniejsze niż rywala. Niemniej jednak Manila w sporach z Chinami ma poparcie Stanów Zjednoczonych. Amerykanów niepokoją roszczenia Pekinu do większości obszaru Morza Południowochińskiego, ponieważ prowadzą przez nie jedno z najważniejszych morskich szlaków handlowych. Rocznie przechodzą tamtędy statki przewożące towary o wartości 5 bln dolarów. Z kolei dla państw leżących nad Morzem Południowochińskim, w tym Filipin, sprawa granic wiąże się ściśle z prawem dostępu do podwodnych złóż surowców energetycznych oraz bogatych łowisk.

Spyry terytorialne spowodowały, że od lat Filipińczycy dążą do odtworzenia ścisłych więzi wojskowych z USA. Według porozumienia podpisanego w 2014 roku na dziesięć lat, amerykańskie siły zbrojne uzyskują dostęp do pięciu baz filipińskich, między innymi lotniska Clark, Subic Bay i Poro Point. Amerykanie będą też mogli korzystać z wybranych lotnisk cywilnych.

Przykładem zacieśniającej się współpracy między Manilą a Waszyngtonem jest trzytygodniowa obecność na Filipinach w lutym 2015 roku amerykańskich samolotów patrolowo-uderzeniowych P-8A Poseidon. W tym czasie wykonały one ponad 180 lotów nad Morzem Południowochińskim. Ich głównym zadaniem jest zbieranie informacji o chińskiej aktywności na tym akwenie. Amerykanie dzielili się nimi z Filipińczykami, którzy nie dysponują tak zaawansowanymi systemami rozpoznawczymi. ■



OLAF OSICA

Wspólny samochód

KONCEPCJA ARMII
EUROPEJSKIEJ WYRASTA
Z POLITYCZNYCH, A NIE
WOJSKOWYCH KALKULACJI



Idea armii europejskiej odżywa w Europie. Ponownie. I tak za każdym razem od kilkudziesięciu lat, gdy tylko bezpieczeństwo Starego Kontynentu staje w obliczu zagrożenia. Ale mimo upływu czasu nie tylko nie jesteśmy bliżej utworzenia wspólnych sił zbrojnych Europy, ale w coraz większym stopniu zdajemy sobie sprawę z iluzji tego projektu. Oto kilka powodów.

Przede wszystkim, o czym się zapomina, koncepcja armii europejskiej wyrasta z politycznych, a nie wojskowych kalkulacji. Gdy w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku rząd Francji po raz pierwszy zaproponował utworzenie wspólnych sił europejskich, nie miał na myśli zwiększenia wojskowego wkładu Europy do sojuszu północnoatlantyckiego, lecz uniemożliwienie odbudowy armii niemieckiej w ramach NATO, do którego USA chciały zaprząć Niemcy Zachodnie. Już wtedy pojawił się wprawdzie pomysł wspólnego dowódcy (komisarza), ale podporządkowane miały mu być jedynie wydzielone przez państwa jednostki. Z wyjątkiem oczywiście niemieckich. Te w całości miały podlegać dowódcy europejskiemu...

Postulat budowy armii europejskiej wrócił na początku lat dziewięćdziesiątych, najpierw w obliczu tragedii Bośni, potem po wojnie w Kosowie, która pokazała małą przydatność większości armii europejskich na tle sił amerykańskich, aby ponownie odżyć w czasie sporu o Irak. To wtedy Francja, Niemcy, Belgia i Luksemburg ogłosiły zawiązanie związku obronnego. Nie dziwi zatem, że wizja armii europejskiej wraca do nas w momencie, w którym Rosja dowodzi, jak naiwna była wiara, że XXI wiek będzie domeną państw ponowoczesnych, czyli takich, które odżegnują się od siły zbrojnej jako narzędzia polityki zagranicznej. Niestety, za hasłami nie kryje się nic nowego, co skłania do tezy, że idea armii europejskiej stała się wygodną zasłoną dla skrycia błędów politycznych popełnianych przez państwa europejskie w kryzysach międzynarodowych i niechęci do zwiększania wydatków na obronę. Żle rozumiany pacyfizm, strach przed szantażem i kryzys gospodarczy powodują, że potencjał wojskowy Europy topnieje w oczach...

W takiej sytuacji pokój w Europie będzie gwarantowany potencjałem kilku dużych państw, w tym Polski, które między sobą będą musiały uzgadniać obszary odpowiedzialności. Nie będzie to jednak domena Komisji Europejskiej ani żadnych wspólnych gremiów, lecz kompetencja narodowa. Dziwi zatem wypowiedź przewodniczącego Komisji, który ma zupełnie inne zadania do wykonania i na razie nie radzi sobie z nimi (a może właśnie dlatego nie powinniśmy się jej dziwić?). Dziwią też wypowiedzi polityków niemieckich, którzy nie zakładają chyba, że użycie wspólnej armii miałoby nastąpić bez zgody Bundestagu...

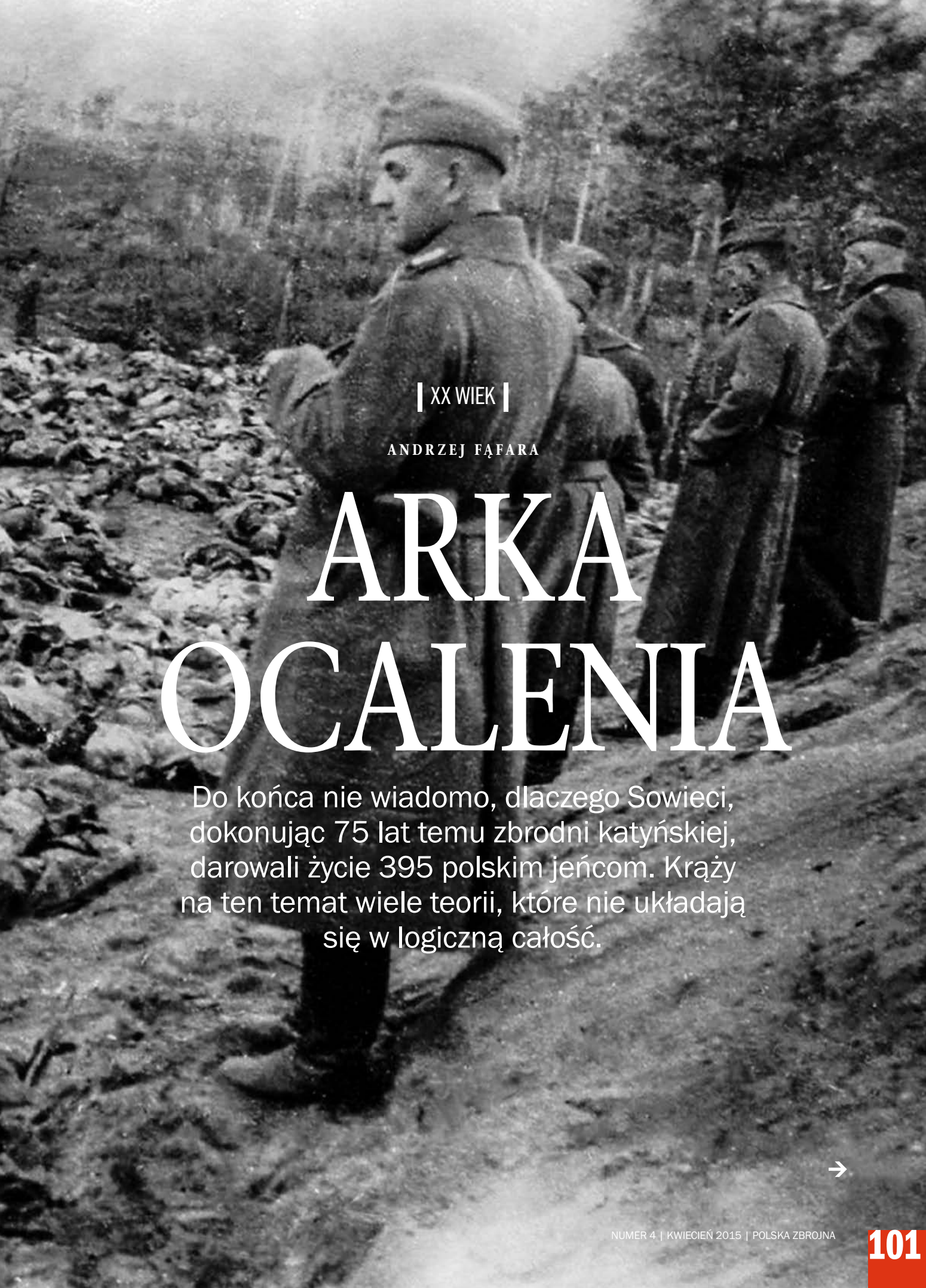
Wojna na Ukrainie pokazuje przecież nie tylko ani nawet nie przede wszystkim słabość europejskiej obrony, ale odmienne perspektywy strategiczne, które blokują wspólne działanie. Dlatego armia europejska byłaby jak samochód z wieloma właścicielami – prawdopodobieństwo, że opuściłby garaż na trudną i długą drogę jest bardzo małe. Inwestowanie w niego nie wydaje się perspektywiczne, choć dla wielu posiadanie udziału jest tańszym rozwiązaniem niż kupno całości. I to kolejny dowód na to, że budowa armii europejskiej była początkiem ostatecznego końca europejskich sił zbrojnych w ogóle. ■

DR OLAF OSICA JEST DYREKTOREM
OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH.

wojny i pokoje



Niemieccy oficerowie
nadzorujący ekshumację
polskich jeńców w lesie
katyńskim w 1943 roku

A black and white photograph showing several soldiers in military uniforms and caps standing in a trench. The ground is uneven and rocky. The soldiers are looking in various directions, some towards the camera and others away. The overall tone is somber and historical.

| XX WIEK |

ANDRZEJ FĄFARA

ARKA OCALENIA

Do końca nie wiadomo, dlaczego Sowieci, dokonując 75 lat temu zbrodni katyńskiej, darowali życie 395 polskim jeńcom. Krąży na ten temat wiele teorii, które nie układają się w logiczną całość.



W

kwietniu 1940 roku Rosjanie zaczęli wywozić polskich jeńców z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Mordowali ich w stary, wypróbowany przez NKWD sposób – strzelali z broni krótkiej w tył głowy. W sumie śmierć poniosło 21 768 polskich wojskowych, policjantów, przedstawicieli straży granicznej i służby więziennej.

Od zagłady ocalała niewielka grupka jeńców. Dokładnie 395 osób (niektóre źródła podają liczbę 432). Dlaczego Sowietci darowali życie tej garstce, skoro

bez żadnych skrupułów rozprawili się z tysiącami? Dlaczego z tak wielką pieczołowitością oddzielali tych 395 wybrańców od idących na śmierć nieszczęśników? Krąży na ten temat wiele teorii, które brzmią mniej lub bardziej sensownie. Najogólniejsza z nich pojawiła się w książce Daniela Bargielowskiego poświęconej gen. Zygmuntowi Berlingowi „Konterfekt renegata”. Bargielowski uważa, że Sowietci zastosowali tu „konceptę arki Noego”. Już wcześniej zresztą, dokonując eksterminacji poszczególnych narodów czy grup społecznych, pozostawiali przy życiu niewielką liczbę osób. Ci „uratowani z potopu” mieli w nowych okolicznościach, pod kontrolą komunistów, odtworzyć cechy swoich społeczności.

Ta teoria, dość wątpliwa, bardziej trzymałaby się kupy, gdyby w momencie uśmiercania jeńców Sowietci mieli już plan utworzenia w Związku Radzieckim polskiego wojska. Zrozumiałe wtedy byłoby, że komuniści chcą mieć pod ręką kilkuset dobrze wyszkolonych oficerów i podoficerów. Ale zamiast, o którym mowa, pojawił się dopiero jesienią 1940 roku, czyli pół roku później. W jego wyniku jedną z głównych polskich postaci na Wschodzie stał się bohater książki Bargielowskiego, ów tytułowy renegat, Zygmunt Berling, wtedy jeszcze podpułkownik. Był on jednym z 395 ocalałych od śmierci polskich jeńców.

Wśród więźniów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa byli ludzie tacy jak Berling, czyli zwolennicy Związku Radzieckiego, gotowi na współpracę z Sowietami. Ta sympatia wobec ZSRR wcale nie musiała wynikać z wcześniejszych przekonań. Wielu zgłosiło swoją lewicowość po prostu ze strachu. Berling obliczył, że w obozie w Pawliszczewie Borze, gdzie na początku trafili ocaleni, znalazły się 64 osoby, które zadeklarowały chęć pozostania w ZSRR.

Drugą wyrazistą grupę uratowanych więźniów stanowili ci, za którymi wstawiły się inne kraje, głównie Niemcy. Wojna Związku Radzieckiego z III Rzeszą miała wybuchnąć dopiero w czerwcu 1941 roku. Sowietci starali się zachowywać wobec hitlerowców poprawnie, więc spośród więźniów

Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa wysegregowali tych, którzy wywodzili się z terytorium Niemiec. Ironią losu w wypadku sporej liczby uratowanych jeńców było to, że uniknęli oni rozstrzelania dzięki interwencji ambasady niemieckiej w Moskwie. Znalazł się wśród nich profesor seminarium duchownego w Pińsku, ksiądz Kamil Kantak. Był on obywatelem Wolnego Miasta Gdańska, które zostało przyłączone do III Rzeszy.

Wśród uratowanych można by jeszcze wydzielić pokaźną grupę medyczną. W Pawliszczewie Borze znalazło się aż 48 lekarzy i farmaceutów. Tu przypuszczenia nasuwają się same. Ci ludzie, wyróżniając się wcześniej sumienną pracą w lazaretach obozowych, mogli się jeszcze Rosjanom przydać.

NIEJASNE POWODY

Trudno mimo wszystko znaleźć jakieś spójne, jednoznaczne powody ocalenia wszystkich 395 jeńców. Pewną wskazówką dla badaczy są dokumenty zachowane w dawnym archiwum specjalnym w Moskwie. Powołuje się na nie Stanisław Jaczyński w książce „Ocaleni od zagłady”. Pisze on, że do obozu w Pawliszczewie Borze trafiło: 47 osób na zlecenie 5 Wydziału GUGB (Głównego Zarządu Bezpieczeństwa Państwowego), 47 osób na żądanie ambasady niemieckiej, 24 osoby pochodzenia niemieckiego (czyli takie, o które nie upomniła się ambasada, ale które wyselekcjonowali sami Sowietci), 19 osób na żądanie misji litewskiej i 91 osób na polecenie zastępcy ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR, Wsiewołoda Mierkułowa. Razem 228 jeńców.

A co z pozostałymi 167 osobami (spośród 395), których nie ma w dokumentach? W ich wypadku nie wiadomo, kto się za nimi wstawił i z jakich powodów nie zostali rozstrzelani. Być może odpowiedź znajduje się w archiwach moskiewskich. Nadzieja w tej kwestii jest jednak bardzo wątpliwa. Istnieje notatka z 1959 roku, autorstwa szefa Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego (KGB) Aleksandra Szelepina, sugerująca ówczesnemu przywódcy ZSRR, Nikicie Chruszczowowi, likwidację teczek personalnych ofiar zbrodni katyńskiej jako „nieprzystatnych historycznie”. Jeśli Nikita Siergiejewicz przychylił się do propozycji Szelepina, to doszło do spalenia tego, co dotyczyło nie tylko zamordowanych, lecz także ocalałych. Tę wspomnianą kruchą wiarę w istnienie akt katyńskich ma między innymi polski historyk prof. Wojciech Materski, który kilka lat temu był członkiem Polsko-Rosyjskiej Grupy do Spraw Trudnych. Twierdzi on, że nie znaleziono żadnych śladów niszczenia i że w związku z tym dokumenty dotyczące Katynia leżą głęboko ukryte w moskiewskim archiwum.

Papiery papierami, ale przecież zachowały się relacje tych, którzy przeżyli. Oni jednak również nie potrafili podać jednoznacznych powodów swojego uratowania. Nie należy tu liczyć Zygmunta



Gen. Jerzy Wołkowiński



Gen. Zygmunt Berling



Rtm. Józef Czapski



Prof. Wacław Komarnicki



Prof. Stanisław Świaniewicz

DLACZEGO SOWIECI DAROWALI ŻYCIE TEJ GARSTCE, SKORO BEZ ŻADNYCH SKRUPUŁÓW ROZPRAWILI SIĘ Z TYSIĄCAMI?

Berlinga i jemu podobnych. Oni nie mieli w kwestii swojego ocalenia żadnych wątpliwości. Józef Czapski pisał we „Wspomnieniach starobielskich”: „Nasuwa się pytanie, na podstawie jakiego kryterium zostali wybrani [ci, którzy ocalili – przyp. A.F.]. Często zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że nie było żadnej wyraźnej przesłanki politycznej czy innej, która uzasadniałaby decyzję o ocaleniu właśnie tych 70 oficerów, których ze Starobielska przewieziono do Głazowca [w tym mieście był obóz, w którym trzymano ocalałych – przyp. A.F.].” I dalej: „Była tam cała gama stopni i przekonań, od generała Wołkowińskiego do szeregowca, od ludzi, którzy zrobili sobie krasny ugół [czyli sympatyków komunizmu – przyp. A.F.], od skrajnych zwolenników ONR [narodowców – przyp. A.F.]”.

KU CHWALE ZWIĄZKU

Łatwiej ustalić powody ułaskawienia w konkretnych przypadkach. Przywołany we wspomnieniach Józefa Czapskiego gen. Jerzy Wołkowiński służył jako miczman (najniższy stopień oficerski) na rosyjskim pancerniku „Imperator Niokołaj I” podczas wojny z Japonią w 1905 roku. Sprzeciwił się w pewnym momencie kapitulacji floty rosyjskiej. Miał powiedzieć: „Walczyc do końca, a potem wysadzić okręt w powietrze”. Zyskał dzięki temu wielką sławę w Rosji. Nic dziwnego, że gdy trafił do niewoli w 1939 roku, wzbudził zainteresowanie oficerów sowieckich. Z całą pewnością uratowało mu to życie. Gdy się formowała armia gen. Władysława Andersa, był przez pewien czas zastępcą dowódcy 6 Dywizji Piechoty. Po wojnie osiedlił się w Wielkiej Brytanii, gdzie zmarł dwa tygodnie przed swoimi 100. urodzinami.

Z kolei Stanisław Świaniewicz, wybitny ekonomista, zwrócił na siebie uwagę Rosjan prowadzonymi przed wojną studiami nad gospodarkami Niemiec i Związku Radzieckiego. Przewidując rychłą wojnę z III Rzeszą, Sowieci uznali, że prof. Świaniewicz może się im przydać. Darowali mu życie, ale nie pozwalali opuścić terytorium ZSRR. W pewnym momencie zesłali go nawet do łagru, skąd wydostał się dzięki osobistej interwencji ambasadora, prof. Stanisława Kota. Wydał wspomnienia „W cieniu Katynia”, w których pisał, że motywy, dla których 3% jeńców ocaliło życie, są bardziej tajemnicze niż przyczyny fizycznej likwidacji pozostałych 97%.

Michaiłowi Rommowi, więźniowi obozu w Ostaszkowie, pomógł ponoć krewny, słynny sowiecki reżyser filmowy, no-

szący zresztą takie samo imię i nazwisko jak Polak. Było to potężne wsparcie, bo Michaił Romm stworzył takie dzieła, jak „Lenin w październiku” oraz „Lenin w 1918 roku”. Za Janem Mintowtem-Czyżem wstawił się zaś rzekomo oficer NKWD, który rozpoznał w polskim oficerze towarzysza dzieciństwa z Chersonia. To mało prawdopodobne. Trudno sobie wyobrazić, by zwykły pracownik służby bezpieczeństwa miał aż taką moc sprawczą. Musiały więc być inne powody darowania życia Mintowtowi-Czyżowi.

W równie tajemniczych okolicznościach uratował się prof. Wacław Komarnicki. Był on wybitnym znawcą prawa i działaczem Stronnictwa Narodowego. Prorosyjskie nastawienie endecji mogło tu mieć jakieś znaczenie, choć to mało prawdopodobne. Cytowany wcześniej prof. Świaniewicz sugerował, że Sowieci darowali Komarnickiemu życie, bo chcieli go wykorzystać w bliżej nieokreślonych grach politycznych. Dlaczego zatem pozwolili mu wyjechać ze Związku Radzieckiego? Po jakimś czasie wyszło na jaw, że za profesorem wstawiła się ambasada niemiecka w Moskwie. Komarnicki osiadł w Wielkiej Brytanii, gdzie wykładał na uniwersytecie w St. Andrews. Był też ministrem sprawiedliwości w rządzie Władysława Sikorskiego.

OCZEKIWANA KOMISJA

Losy ocalałych jeńców, zgromadzonych najpierw w Pawliszczewie Borze, a potem w Głazowcu, dokładnie opisuje Stanisław Jaczyński w „Ocalałych od zagłady”. W obu tych obozach uratowani spędzili ponad 16 miesięcy. 25 sierpnia 1941 roku do Głazowca przyjechała z Moskwy polsko-radziecka komisja mobilizacyjna. Długo oczekiwana, jak pisze Jaczyński. Rozkaz nr 52 komendy obozu NKWD brzmiał następująco: „Zgodnie z postanowieniem rządu sowieckiego i dowództwa polskiego znosząc rygor obozowy w stosunku do znajdujących się tu jeńców i internowanych polskiej armii, jak również ściągając straż ochrony głazowieckiego obozu NKWD”.

Jaczyński pisze: „W pomieszczeniach, w których przedtem dzień i w nocy odbywały się przesłuchania prowadzone przez NKWD, rozpoczęli urzędowanie polscy oficerowie prowadzący rejestrację do Armii Polskiej”.

Tego samego dnia, czyli 25 sierpnia, po południu do Głazowca dotarli generałowie Władysław Anders i Zygmunt Szyszko-Bohusz. Dokonali przeglądu kadry oficerskiej. W życiu cudem uratowanych rozpoczął się całkiem nowy etap. ■

Wiosną 1943 roku, kiedy wojska III Rzeszy zajęły zachodnie tereny Związku Radzieckiego, Niemcy odkryli w lesie katyńskim masowe groby polskich oficerów. Wśród wydobytych zwłok było ciało kobiety. Zataili jednak ten fakt, obawiając się, że podważy ich tezę o wymordowaniu przez NKWD w Katyniu oficerów więzionych w obozie w Kozielsku.

LOTNICZA MIŁOŚĆ

Odnalezione przez Niemców szczątki należały do Janiny Lewandowskiej, drugiego z czworga dzieci gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Janka urodziła się 22 kwietnia 1908 roku w Charkowie. Jej ojciec był jednym z wyższych dowódców carskiej armii. Po rewolucji w 1917 roku został dowódcą I Korpusu Polskiego w Rosji. Po odzyskaniu niepodległości wstąpił do polskiego wojska i w styczniu 1919 roku objął stanowisko naczelnego dowódcy powstania wielkopolskiego. Wtedy też kupił majątek w podpoznańskim Lusowie i sprowadził tam rodzinę. Janina uczyła się w Państwowym Gimnazjum Żeńskim imienia Generałowej Zamoyskiej w Poznaniu, a następnie w Konserwatorium Muzycznym w Poznaniu. Chciała zostać śpiewaczką, jednak brak zgody ojca i zbyt słaby głos nie pozwoliły jej spełnić tego marzenia. Pracowała więc na poczcie i od czasu do czasu występowała w kabare-

ANNA DĄBROWSKA

Tajemnica Janki

Córka generała
Józefa Dowbora-Muśnickiego
została zamordowana w Katyniu.

tach. Kiedy jej młodszy brat Olgierd, oficer 3 Pułku Lotniczego w Poznaniu, zabrał ją na pokaz na lotnisko Ławica, zakochała się w lataniu i samolotach.

Wstąpiła do Aeroklubu Poznańskiego, gdzie skończyła kurs szybowcowy i uzyskała licencję pilota sportowego. Przeszła też szkolenie samolotowe. Dzięki temu została przyjęta do Wyższej Szkoły Pilotażu na Ławicy i w 1936 roku otrzymała dyplom pilota motorowego. Fascynowało ją także spadochroniarstwo. W wieku 22 lat skoczyła na spadochronie z wysokości 5000 m. Była pierwszą Europejką, która tego dokonała.

Przygotowywała się też do obrony kraju. Podczas kursów radiotelegrafii we Lwowie i w Dęblinie zdobyła uprawnienia do obsługi nowoczesnych aparatów Hughes'a, służących do przekazywania informacji za pomocą linii telegraficznych. Odbyła także kurs obserwatorów lotniczych w dęblińskiej Szkole Orląt.



Janina
w kombinezonie
lotniczym,
ze spadochronem,
przed samolotem.
Lotnisko Ławica,
Poznań 1936 rok.

MUZEUM POWSTAŃCÓW
WIELKOPOLSKICH W ŁUSOWIE

Dzięki lotnictwu poznała przyszłego męża – oficera rezerwy i instruktora szybownictwa Mieczysława Lewandowskiego. Młodzi spotkali się w 1936 roku na pokazach szybowcowych w Tęgorzku koło Nowego Sącza. Pobrali się krótko przed wybuchem II wojny, 10 czerwca 1939 roku.

POCIĄG NA WSCHÓD

Nie wiadomo, czy po ataku III Rzeszy na Polskę Janina sama zgłosiła się do lotnictwa, czy została zmobilizowana. Na pewno jednak 3 września wraz z grupą kolegów z aeroklubu wyruszyła pociągiem towarowym w stronę Warszawy, aby dotrzeć do ewakuowanych na wschód oddziałów 3 Bazy Lotniczej z Ławicy.

Mąż nie zdążył się z nią pożegnać – w poznańskim mieszkaniu zjawił się kilka minut po wyjściu żony, a kiedy dotarł

KIEDY BRAT ZABRAŁ JĄ NA POKAZY NA LOTNISKO ŁAWICA, ZAKOCHAŁA SIĘ W LATANIU I SAMOLOTACH

na dworzec, jej pociąg właśnie odjeżdżał. Mieczysław prze-
dostał się do Anglii, gdzie służył w polskich dywizjonach,
walcząc w bitwie o Anglię. Po wojnie pozostał na wyspie.

Pociąg Janiny dojechał tylko do Nekli, dalej torowisko było
zbombardowane. Po drodze jej grupa spotkała żołnierzy z Ław-
icy. Dowodzący nimi kpt. pil. Józef Sidor pozwolił przyłączyć
się cywilom. Razem dotarli do Lublina i szli dalej na wschód.

Po ataku Armii Czerwonej na Polskę 17 września oficer
zdecydował, że część żołnierzy przebieje się w kierunku grani-
cy rumuńskiej, a reszta do granicy węgierskiej. Ci pierwsi się
uratowali i walczyli potem w Wielkiej Brytanii. Janka
z kpt. Sidorem poszła w drugą stronę. 22 września w rejonie
Husiatynia ich oddział został otoczony przez Armię Czerwo-
ną – dostali się do sowieckiej niewoli.

STRZAŁ W LESIE

Janina najpierw trafiła do obozu w Ostaszkwie, skąd prze-
niesiono ją do Kozielska. W czasie przesłuchań obawiała się,
że jeśli Sowietci dowiedzą się, że jest córką znienawidzonego
przez nich generała, zabiją ją natychmiast. Podała więc tylko
nazwisko męża i fałszywe imię ojca – Marian.

„Jest tu w obozie lotniczka. Dzielna kobieta. Już czwarty
miesiąc znosi z nami wszelkie trudy i niewygody niewoli”, za-
pisał 7 lutego 1940 roku w pamiętniku jeden z jeńców. Infor-
mację o pobycie Janiny w Kozielsku przekazał jej bliskim
w styczniu 1941 roku Rafał Bniński, przyjaciel rodziny, który
cudem wydostał się z niewoli. Według jego relacji, kobieta
miała osobne pomieszczenie i uczestniczyła w tajnym życiu re-
ligijnym obozu.

O Janinie wspomina też ocalały z Kozielska kpt. lek. Wa-
claw Mucho w książce „Zbrodnia Katyńska w świetle ocala-
łych dokumentów”. „W Kozielsku spotkałem Janinę Lewan-
dowską. Ubrana była w mundur polskich wojsk lotniczych”,
pisał. Nie wiadomo, czy stopień podporucznika pilota nadano
jej jeszcze we wrześniu 1939 roku, czy dopiero w którymś
z obozów, rozkazem najstarszego z oficerów.

Wywózki z Kozielska rozpoczęły się 3 kwietnia 1940 roku.
Janina figurowała na liście wywozowej 0401 pod pozycją 53.
Jej transport wyruszył do stacji Gniazdowo 20 kwietnia. Tam
jeńcy wsiedli do ciężarówek i pojechali w stronę odległego
o kilka kilometrów lasu. Janina została zamordowana strza-
łem w tył głowy najprawdopodobniej 22 kwietnia 1940 roku,
w swoje 32 urodziny.

ZAGINIONA CZASZKA

W 1943 roku, po ekshumacji ciał polskich oficerów, nadzo-
rujący pracę niemiecki antropolog prof. Gerhard Buhtz, kie-
rownik Zakładu Medycyny Sądowej na Uniwersytecie Wro-
cławskim, zabrał ze sobą siedem czaszek pomordowanych
osób, wśród nich Janiny. Dwa lata później czaszki trafiły do
rąk prof. Bolesława Popielskiego, kierownika Zakładu Medy-
cyny Sądowej we Wrocławiu, który ukrywał je przed UB
i NKWD. Tuż przed śmiercią w 1997 roku zdradził tajemnicę
współpracownikom, ale dopiero w 2003 roku jego następcy
ujawnili istnienie czaszek i rozpoczęli nad nimi badania.

Udało się zidentyfikować tylko jedną, kobiecą. Podejrzewa-
no, że należała do Janiny Lewandowskiej. Przeprowadzenie
badań DNA było jednak niemożliwe. Żeby pozyskać materiał
genetyczny do porównania, trzeba było bowiem otworzyć
trumny z ciałami jej rodziny. Dlatego do identyfikacji użyto
komputerowej metody tak zwanej superprojekcji. Za pomocą
projektorów rzutowano zdjęcie Janiny na czaszkę kobiety zna-
lezioną w Katyniu. Dzięki tej metodzie w 2005 roku naukowcy
z Uniwersytetu Wrocławskiego i tamtejszego Zakładu Medy-
cyny Sądowej potwierdzili tożsamość polskiej pilotki.

Szczątki Janiny pochowano z honorami wojskowymi 4 listo-
pada 2005 roku w grobowcu Muśnickich na cmentarzu w Luso-
wie. Zrekonstruowana kopia czaszki została przekazana do Mu-
zeum Powstańców Wielkopolskich imienia Generała Józefa Do-
wborza-Muśnickiego, gdzie są przechowywane także pamiątki
po córce generała. W 2007 roku minister obrony Bogdan Klich
pośmiertnie nadał Janinie Lewandowskiej stopień porucznika.

TESTAMENT GENERAŁA

„Moje dzieci winny pamiętać, że są Polakami, że pochodzą
ze starej rodziny szlacheckiej o pięciowiekowej nieskazitelnej
przeszłości i że ojciec ich dołożył wszelkich swych możliwo-
ści dla wskrzeszenia Polski w jej byłej chwale i potęgze. Ma
zatem prawo żądać od swego potomstwa, by nazwiska nasze-
go niczym nie splamiło”, napisał w swoim testamentie zmar-
ły w 1937 roku gen. Dowbor-Muśnicki.

Synowie nie sprostali tym wymaganiom. Najstarszy, Gedy-
min, chciał zostać naukowcem. Szybko jednak porzucił studia
i skupił się na grze w pokera. Kiedy ojciec przestał finanso-
wać jego pobyt za granicą, panowie zerwali na zawsze stosun-
ki. Olgierd natomiast świetnie się zapowiadał jako wojskowy
lotnik. Niestety zakochał się nieszczęśliwie w żonie oficera.
Na jednym z dancinów upił się i zbyt obcesowo poprosił ją
do tańca. Skarcony przez jej towarzysza przeprosił, wyszedł
z sali i popełnił samobójstwo strzałem w głowę.

Testament ojca wypełniły córki. Janina zginęła w Katyniu,
a jej młodsza siostra Agnieszka w maju 1940 roku wstąpiła
w Warszawie do konspiracyjnej Organizacji Wojskowej „Wil-
ki”. Aresztowana przez Niemców była więziona na Pawiaku.
Została rozstrzelana w Palmirach 21 czerwca 1940 roku, dwa
miesiące po zamordowaniu Janiny. Miała wtedy 20 lat. ■

ERKAEM NA PARAPECIE

Z Juliuszem Kuleszą

o radościach i trudach opisywania wojny
rozmawia Andrzej Fąfara.

Można żyć wojną prawie 70 lat po jej zakończeniu?
Można. Odwiedził mnie niedawno kolega z czasów okupacji. Był u mnie pierwszy raz. Wszedł, rozejrzał się i powiedział: „Masz bardzo piękne mieszkanie”. A ja na to: „Co w nim pięknego? Zwykle dwa pokoje z kuchnią”. Kolega odparł: „W tym oknie można by ustawić erkaem i miało by się pod kontrolą całą ulicę”.

Co Pan robił w czasie okupacji?

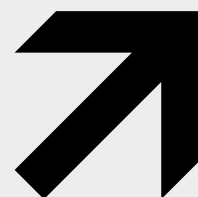
W dniu rozpoczęcia wojny byłem za młody, żeby walczyć. Miałem zaledwie 11 lat. Ale w powstaniu warszawskim już mogłem wziąć udział. Mieszkaliśmy z rodzicami na terenie Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, która znajdowała się w tym samym miejscu co dziś, czyli na Nowym Mieście. Gdy wybuchło powstanie, zgłosiłem się do drużyny „Roma” [nazwa od pseudonimu dowódcy – przyp. A.F.], która uczestniczyła w obronie wytwórni. Po kapitulacji trafiłem do obozu w Pruszkowie, skąd uciekłem.

Czy powstanie miało sens? Jak Pan widział tę kwestię wtedy, jako nastolatek, i jak Pan patrzy na to teraz?

Napisałem wiele książek o powstaniu. To jest chyba najlepsza odpowiedź na pańskie pytanie. Przysłuchuję się powracającym wciąż dyskusjom na ten temat i odnoszę wrażenie, że obie strony nie biorą pod uwagę jednej kwestii. Tego mianowicie, że dziś wiemy, co się wydarzyło po wybuchu powstania. Wiemy o wielkiej tragedii mieszkańców i miasta, o przerażającej liczbie ofiar. Dowódcy przecież nie byli jasnowidzami. Ktoś powie, że skutki powstania powinni przewidzieć. Nie przewidzieli. Tocząca się dyskusja jest jałowa, bo argumenty wciąż się powtarzają i nie pojawia się nic nowego. Dlatego ja w tym nie uczestniczę, nie wdaję się w politykę. Interesuje mnie wyłącznie przebieg powstania. Na tym polu wciąż można znaleźć nowe szczegóły.

Zaraz po wojnie, kiedy akowców nazywano zapłutymi karłami reakcji, powstanie nie było chyba dobrym tematem do publikacji?

Pierwsza moja książka wyszła dopiero w 1979 roku. Nosiła tytuł „Z Tasiemką na czołgi”. Tasiemka pisana wielką literą, bo taki pseudonim miał jeden z bohaterów. To były, mówiąc najogólniej, moje wspomnienia z powstania. Podparłem je solidną faktografią,



*W dniu
rozpoczęcia
wojny byłem
za młody, żeby
walczyć. Miałem
zaledwie 11 lat*

wojny
i pokoje

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI



NUMER 4 | KWIECIEŃ 2015 | POLSKA ZBROJNA

107

dbałością o szczegóły. Prawdę powiedziawszy, na tej pierwszej książce chciałem poprzestać. Miałem swój zawód, ukończyłem Akademię Sztuk Pięknych, dyplom robiłem u Tadeusza Kulisiewicza. Pracowałem jako projektant grafiki książkowej. Ale ten mój debiut okazał się na tyle udany, że znajomi zaczęli mnie namawiać, żebym znów coś napisał. Nie trzeba było mnie specjalnie prosić, bo rozsmakowałem się w tej robocie. Spodobało mi się zbieranie materiałów, rozmowy z ludźmi. Szybko więc zaczęły powstawać następne książki.

Dwie z nich o piłce nożnej.

Ścisłej mówiąc, o piłce nożnej w czasie okupacji [„Podziemny futbol” i „Zakazane gole”]. Miałem sporo informacji na ten temat, gdyż sam grałem w piłkę podczas wojny. Po wojnie zresztą też, ale krótko. Występowałem na lewym skrzydle albo lewej pomocy, bo jestem lewonożny. Grałem w jednej z żoliborskich drużyn. Animatorem piłkarstwa na Żoliborzu był starszy ode mnie o pięć lat kolega, Olgierd Budrewicz, uczestnik powstania, a po wojnie znany dziennikarz.

Mnie zafascynowała Pańska książka o oddziale 993/W, który zajmował się wykonywaniem wyroków na zdrajcach i Niemcach, „Przeciw konfidentom”. Czytałem ją jak powieść sensacyjną. To byłby znakomity scenariusz na film.

Cieężko byłoby taki film nakręcić. Mało kto z tego legendarnego oddziału żyje. Tylko cztery osoby.

Ale ja mam na myśli nie film dokumentalny, ale fabularny. W pańskiej książce jest sporo scen bardzo efektownych, pełnych dramaturgii. Takich jak ta opowiadająca o tragicznym końcu byłego boksera Józefa Fabisiaka.

Nie wymyśliłem tego, naprawdę tak było. Fabisiak pewnego dnia przynosił broń. Szedł ulicą Chmielną w Warszawie, kiedy rozwiązało się mu sznurowadło. Schylił się i wtedy z hukiem wypadł mu jeden z pistoletów, które miał poupychane w kieszeniach. Na Chmielnej był zawsze duży ruch, więc zdarzenie dostrzegło sporo osób, wśród nich uzbrojeni Niemcy, którzy akurat znajdowali się w pobliżu. Fabisiak zaczął uciekać, ale pechowo wpadł na podwórko, przez które nie było przejścia. Wbiegł na klatkę schodową i tam został osaczony przez Niemców. Bronił się jeszcze granatami, ale w końcu zginął. Przez głupi przypadek – rozwiązane sznurowadło.

Bohaterowie książki o 993/W chcieli z Panem rozmawiać? Nie obawiali się złej sławy wykonawców wyroków?

Złej sławy? O tym w ogóle nie może być mowy. Oni byli bohaterami, podejmowali się zadań o najwyższym stopniu ryzyka. Każda akcja była następstwem wyroków wojskowych i cywilnych sądów specjalnych. Nie było tu żadnej dowolności, żadnych samosądów. W 1992 roku, kiedy zacząłem zbierać materiały do książki, żyło jeszcze około

20 żołnierzy oddziału 993/W. Nikt mi nie odmówił spotkania. Miałem też to szczęście, że mogłem skorzystać z pisemnych wspomnień niektórych członków 993/W. Na przykład autorstwa jednego z braci Bąków.

To moi ulubieni bohaterowie, zwłaszcza ten o pseudonimie „Doktur”.

Braci Bąków było czterech. „Doktur” miał na imię Leon. Nieprawidłową pisownię swojego pseudonimu wyjaśniał w zabawny sposób: „Bo doktor leczy ludzi, a ja wręcz przeciwnie”. Bracia Bąkowie byli nadzwyczaj dzielni i waleczni, brali udział w licznych akcjach, uczestniczyli w powstaniu. Trzej zostali odznaczeni Virtuti Militari.

Wspomniał Pan na wstępie o koledze, który chciał ustawić erkaem w oknie Pańskiego mieszkania. Często spotykacie się w gronie dawnych powstańców?

W miarę możliwości. Jest nas coraz mniej, nie wszyscy czują się tak dobrze, żeby uczestniczyć w życiu towarzyskim. Organizacje kombatanckie wykorzystują mnie od czasu do czasu jako ostatnią instancję w sprawach wątpliwych. Wtedy, gdy nie mają pewności, czy ktoś rzeczywiście był w danym oddziale albo uczestniczył w powstaniu. Przysyłają do mnie tych ludzi i proszą, żebym ich sprawdził.

Jak Pan to robi?

Rozmawiam z nimi, zadaję im różne szczegółowe pytania. Zachowuję się jak śledczy, ale w wielu wypadkach to moje śledztwo niczego nie przesądza. Ja też bardzo często mam wątpliwości. Zdarza się jednak, że mogę z czystym sumieniem świadczyć na korzyść delikwenta. Albo przeciwnie. Zgłosiła się raz kobieta, która twierdziła, że była łączniczką przy komendzie obrony Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Czyli tam, gdzie ja walczyłem. Zadałem jej proste pytanie: czy dowódca, major „Pełka”, chodził w polskim czy w niemieckim mundurze? Odparła, że w polskim. Tymczasem major używał wyłącznie cywilnego garnituru. Innym razem przysłał do mnie człowiek, który twierdził, że był w kompanii „Osy”, stanowiącej część załogi PWPW. Nikt z tego oddziału go nie pamiętał. Gdy go zobaczyłem, od razu wydało mi się, że go kiedyś widziałem, bo miał bardzo charakterystyczny profil. Tylko gdzie? I w pewnym momencie przypomniałem sobie. To był chłopak, który rozpłakał się w chwili, kiedy rozpoczęło się bombardowanie. Mogłem więc ze stuprocentową pewnością potwierdzić, że był w kompanii „Osy”. O płaczu oczywiście nie wspominałem.

Są jeszcze jakieś białe plamy w historii powstania warszawskiego. Coś, co jeszcze nie zostało opisane?

Niektóre oddziały nie mają jeszcze swojej monografii. Chyba zgrupowanie „Żmija” nie ma, „Żagłowiec” też nie.

Będzie pan o tym pisał?

Mnie chodzi po głowie wywiad rzeka z samym sobą. To byłby taki alfabet całej mojej działalności. ■

WIZYTÓWKA

JULIUSZ KULESZA

Z zawodu grafik, z zamiłowania pisarz i historyk. Żołnierz Armii Krajowej. Autor 16 książek na temat okupacji, głównie powstania warszawskiego. Za udział w powstaniu odznaczony między innymi Krzyżem Walecznych. Porucznik Wojska Polskiego (od 2002 roku).

ARTUR BARTKIEWICZ

Jak rozpetano wojnę?

Kradzież drewnianego wiadra, splądrowanie piekarni, a nawet... zastrzelenie świni. Historia uczy, że potrzeba naprawdę niewiele, by doprowadzić do konfliktu zbrojnego.

Kiedy 7 stycznia 2015 roku dwóch islamistów wdarło się do redakcji francuskiego tygodnika „Charlie Hebdo”, by zabić dziewięciu pracowników redakcji za to, że ta w przeszłości przedrukowała karykatury Mahometa i wielokrotnie wyśmiewała islamskich fundamentalistów, wiele osób było zszokowanych, że ludzie mogą zabijać się z tak błahego – pozornie – powodu jak satyryczne obrazki. Okazuje się jednak, że w minionych latach lokalne społeczności, a nawet całe narody, znajdowały znacznie mniej poważne powody do tego, by rozpetać wojnę.

IGRZYSKA ŚMIERCI

W 532 roku n.e. Konstantynopol, stolica cesarstwa bizantyjskiego, stał się areną krwawych rozruchów, w których wyniku duża część miasta zamieniła się w gruzy (zniszczona została m.in. bazylika Hagia Sophia), a liczba ofiar sięgnęła prawdopodobnie nawet 30 tys. A wszystko zaczęło się od... wyścigu rydwanów.

W Bizancjum, podobnie jak wcześniej w cesarstwie rzymskim, istniały tzw. stronnictwa cyrkowe – odpowiednik dzisiejszych grup kibiców, z tą różnicą, że ich aktywność nie ograniczała się do wspierania ulubionych zawodników, ale obejmowała również angażowanie się w politykę (do tego stopnia, że poszczególne grupy próbowały nawet wpływać na wybór cesarza). Przedstawiciele każdego stronnictwa nosili takie same barwy jak zawodnicy, którym kibicowali. W 532 roku istotną siłą, z którą musiał liczyć się ówczesny cesarz Justynian, były dwa tego typu ugrupowania: Zieloni i Niebiescy. Sam cesarz kibicował tym drugim.

10 stycznia 532 roku dwóch przedstawicieli czołowych stronnictw, podejrzanych o udział w morderstwie (za co groziła im śmierć), uciekło z więzienia i znalazło azyl w kościele. Zarówno Zieloni, jak i Niebiescy domagali się ich ułaskawienia, ale Justynian nie zamierzał ustępować – polecił schwytać zbiegów i ich stracić. Jednocześnie ogłosił, że 13 stycznia odbędzie się kolejny wyścig rydwanów. Jak się okazało, nie była to najlepsza decyzja władcy.

Kiedy zwolennicy obu zespołów dotarli na hipodrom, zaczęli głośno obrażać cesarza, który obserwował wyścigi z łoża w swoim pałacu (budynek znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie hipodromu). Po jednym z wyścigów zebrany tłum zaczął skandować zgodnie „Nika” (dosł. „zwyciężaj” bądź „naprzód”), po czym sympatycy Niebieskich i Zielonych rozpo-

częli szturm na pałac Justyniana połączony z plądrowaniem miasta.

Obleżenie pałacu trwało pięć dni, a Niebieskich i Zielonych zaczęli wspierać niechętni Justynianowi senatorowie. Doszło nawet do tego, że zbuntowane stronnictwa ogłosiły wybór nowego cesarza – Hypatiusza. Justynian był już nawet skłonny abdykować i uciekać z miasta, ale powstrzymała go przed tym żona. Teodora oświadczyła, że ten, kto raz włożył koronę, nie może przetrwać jej straty. Dodała też, że nie ma zamiaru dożyć dnia, w którym nie będą jej oddawane honory jako cesarzowej. Justynian przeszedł zatem do kontrataku. Udało mu się przekupić przedstawicieli stronnictwa Niebieskich (cesarz przypominał im, że sam był ich zwolennikiem, podczas gdy Hypatiusz, jego ewentualny następca, jest znany ze wspierania Zielonych), a ci, w czasie koronacji, nagle opuścili hipodrom. Ich miejsce zajęły cesarskie wojska, które dokonały rzezi Zielonych. Sytuacja została opanowana.

DREWNIANE WIADRO

W XIV wieku północne Włochy, podzielone na wiele księstw, państw-miast i innych niewielkich bytów państwowych, były areną walki między stronnictwami gibelinów i gwelfów. Pierwsi byli zwolennikami podporządkowania się Włoch Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu Narodu Niemieckiego, a drudzy wspierali papieństwo w walce z cesarzem niemieckim. W tym sporze aktywnie uczestniczyły dwa państwa-miasta: Modena (gibelini) i Bolonia (gwelfowie). W pierwszych dekadach XIV wieku napięcie między sąsiadami rosło – jedna i druga strona regularnie urządzała najazdy na terytorium przeciwnika.

Czara goryczy przełata się jednak dopiero w 1325 roku, kiedy grupa żołnierzy z Modeny wdarła się do Bolonii i zdołała ukraść... drewniane wiadro, którym nabierano wodę ze studni, znajdującej się w centrum miasta. Oburzeni mieszkańcy Bolonii zażądali zwrotu przedmiotu kradzieży, a kiedy władze Modeny odmówiły, 32 tys. uzbrojonych bolończyków ruszyło na Modenę.

Wojnę rozpoczęła z powodu skradzionego wiadra rozstrzygnięta bitwa pod Zappolino, w której bolońska armia starła się ze znacznie mniej liczną (ok. 7 tys. żołnierzy), ale – jak się okazało – bardziej skuteczną armią Modeny. Choć straty obu stron były podobne (ok. 2 tys. żołnierzy), armii Modeny udało się zmusić bolończyków do odwrotu. Zwycięzcy zatrzymali wia-



dro, które do dziś może podziwiać każdy, kto odwiedzi katedrę. Plotka głosi, że żołnierze z Modeny zabrali jeszcze jedno – tym razem ze studni znajdującej się tuż za murami Bolonii – jako wojenne trofeum, ale jego losy są nieznanne.

UCHO JENKINSA

Początek XVIII wieku był czasem ostrej rywalizacji hiszpańsko-brytyjskiej, której areną były wody Nowego Świata. Imperium Brytyjskie starało się uzyskać dostęp do ogromnego rynku, jakim były hiszpańskie kolonie w Ameryce Południowej i na mocy traktatu z Utrechtu z 1713 roku udało im się uzyskać na trzydzieści lat tzw. asiento, czyli uprawnienie do monopolistycznego handlu niewolnikami z koloniami w Ameryce Południowej. Ponadto Wielka Brytania mogła sprzedawać na południowoamerykańskim rynku 500 t towarów rocznie. Jednak w 1729 roku, po trzyletniej wojnie między oboma krajami, hiszpańska marynarka wojenna uzyskała prawo do kontrolowania brytyjskich statków handlowych w celu sprawdzenia, czy porozumienie z 1713 roku nie jest łamane.

W 1731 roku, korzystając ze wspomnianego prawa, kapitan Julio León Fandiño, dowodzący hiszpańskim okrętem patrolowym „La Isabela”, zatrzymał brytyjski bryg „Rebecca”. Po przeprowadzeniu kontroli na pokładzie jednostki handlowej Fandiño oskarżył jej kapitana Roberta Jenkina o przemyt i... obciął mu ucho. Kazał też Jenkinsowi, żeby ten przekazał brytyjskiemu królowi, że i on może stracić ucho, jeśli Brytyjczycy nadal będą przemycać towary do hiszpańskich kolonii. Początkowo nic nie zapowiadało tego, że ktokolwiek w Wielkiej Bry-

BOŁOŃCZYCY
ZAŻĄDALI
ZWROTU **WIADRA**,
A KIEDY WŁADZE
MODENY
ODMÓWIŁY,
32 TYS.
ZBROJNYCH
RUSZYŁO
DO WALKI



tanii zainteresuje się uchem kapitana Jenkinsa. Kiedy jednak po siedmiu latach konflikt brytyjsko-hiszpański zaczął narastać, ktoś przypomniał sobie o Fandiño. Jenkins został wezwany do brytyjskiego parlamentu, by złożyć relację ze spotkania z kapitanem. Po wysłuchaniu całej historii członkowie Izby Gmin uznali, że sposób, w jaki Brytyjczyk został potraktowany, stanowi obrazę dla całego narodu i jest wystarczającym powodem do tego, by wypowiedzieć Hiszpanii wojnę. Ta rzeczywiście wybuchła w 1739 roku i przeszła do historii jako wojna o ucho Jenkinsa. W wyniku trwającego siedem lat konfliktu zostało zabitych bądź rannych 20 tys. Brytyjczyków i niemal 10 tys. Hiszpanów.

CENA ZA CIASTKA

W 1828 roku w Meksyku doszło do zamachu stanu, w którego wyniku ówczesny prezydent Guadalupe Victoria został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska. W walkach podczas puczu w stolicy Meksyku została spalona między innymi cukiernia należąca do niejakiego Remontela, z pochodzenia Francuza. Podobnie jak inni cudzoziemcy, którzy ponieśli straty w wyniku zamieszek, zaczął on domagać się odszkodowania od nowych władz meksykańskich, ale te nie zamierzały za nic płacić. Zwrócił się więc

z prośbą o pomoc do króla Francji – Ludwika Filipa I. Francja postanowiła, że nie zostawi cukiernika w potrzebie i zażądała od Meksyku wypłacenia mu odszkodowania w wysokości 600 tys. pesos. Była to dość wygórowana suma (przeciętna dziówka robotnika w Meksyku wynosiła wówczas 1 peso). Prezydent Meksyku odrzucił przedstawione mu przez francuskiego dyplomata ultimatum. Efekt? Francja wysłała przeciwko Meksykowi flotę, która rozpoczęła blokadę portu Veracruz, a Meksyk wypowiedział wojnę Francuzom.

W czasie trwającego trzy miesiące konfliktu doszło do kilku potyczek między meksykańskim wojskiem a Francuzami. Zginęło wówczas ośmiu żołnierzy francuskich i 95 meksykańskich. W mediacje między zwaśnionymi stronami włączyła się Wielka Brytania, która doprowadziła do zawarcia porozumienia. Na jego mocy Remontel otrzymał odszkodowanie.

ŚWIŃSKI PRETEKST

W 1859 roku Stany Zjednoczone i Wielka Brytania znalazły się na krawędzi wojny z powodu... świni. Przyczyną konfliktu był niejasny zapis w traktacie oregonskim, wyznaczającym granicę między Stanami Zjednoczonymi a brytyjską kolonią w Ameryce Północnej (dzisiejsza Kanada), który nie pozwalał na sprecyzowanie, do kogo na-

Konflikt brytyjsko-hiszpański wybuchł w 1739 roku i przeszedł do historii jako wojna o ucho Jenkinsa.



W 1859 ROKU STANY ZJEDNOCZONE I WIELKA BRYTANIA ZNALAZŁY SIĘ NA KRAWĘDZI WOJNY Z POWODU... ŚWINI

leży niewielka wyspa San Juan. W efekcie zaczęli się na niej osiedlać Amerykanie, a jednocześnie brytyjska Kompania Zatok Hudsona postanowiła ulokować w tym miejscu swoje magazyny, używając wyspy jako punktu przeładunkowego.

Pewnego dnia Lyman Cutlar, jeden z amerykańskich osadników, zauważył, że w jego ogrodzie buszuje świnia. Wściekły farmer postanowił zastrzelić zwierzę. Tyle że należało ono do Kompanii, która natychmiast zgłosiła sprawę lokalnym władzom brytyjskim. Te, przekonane, że San Juan znajduje się pod ich jurysdykcją, zaczęły grozić Cutlarowi aresztowaniem. Rozłościło to amerykańskich mieszkańców wyspy, którzy z kolei zwrócili się do lokalnej administracji amerykańskiej z prośbą o ochronę obywatela. W efekcie na San Juan wylądowała kompania piechoty amerykańskiej, przeciwko której Brytyjczycy wysłali trzy okręty wojenne. Na szczęście rozsądkiem wykazał się komandor brytyjskiej floty na Pacyfiku, adm. Robert Baynes, który podkreślił, że nie pozwoli, by dwa wielkie narody rozpoczęły wojnę z powodu kłótni o świnie.

Kiedy wieść o kryzysie dotarła do Waszyngtonu, prezydent USA James Buchanan doprowadził do negocjacji. W efekcie jedyną ofiarą tej sytuacji pozostała świnia. USA i Wielka Brytania rozpoczęły wspólną okupację wyspy. Ostatecznie, na mocy międzynarodowego arbitrażu, San Juan została przyznana Stanom Zjednoczonym.

ŚCINANIE MASZTU

Rozsądki zabrakło uczestnikom tzw. wojny o maszt flagowy, która wybuchła w 1845 roku na terenie dzisiejszej Nowej Zelandii. Przyczyną konfliktu było wciągnięcie przez brytyjskich osadników flagi Wielkiej Brytanii na maszt w osadzie Kororareki. Brytyjczycy osiedlali się w tamtym czasie w późniejszej Nowej Zelandii na mocy traktatu Waitangi. Rzecz w tym, że zamieszkujący wyspę Maorysi interpretowali jego zapisy nieco inaczej niż przedstawiciele Imperium Brytyjskiego. Według nich, dokument gwarantował, że ziemia należąca do autochtonów pozostanie ich własnością, a oni sami zachowają niezależność. Tymczasem Brytyjczycy ten sam dokument traktowali jak zielone światło dla kolonizacji.

To właśnie dlatego koloniści brytyjscy z osady Kororareki postanowili, że na maszcie flagowym, podarowanym im przez maoryskiego wodza Hone Heke, powinien łopotać Union Jack. Hone Heke potraktował to jako obrażę i nadużywanie gościnności, więc z grupą wojowników wkroczył do osady i ściął maszt. Na wieść o tym przybył tam gubernator Nowej Zelandii Robert FitzRoy wraz ze 170 żołnierzami – postavili nowy maszt i wciągnęli na niego flagę Wielkiej Brytanii. Kiedy jednak

brytyjscy żołnierze opuścili osadę, Maorysi ścieli maszt po raz drugi.

W tym momencie konflikt zaczął się zaostrzać. Do Kororareki znów przybyli brytyjscy żołnierze, którzy postavili nowy maszt, ale i ten został ścięty przez Hone Hekego i jego wojowników. Brytyjczycy nie dawali za wygraną i postavili kolejny maszt, tym razem okuty żelazem, którego pilnowali całą dobę. Obecność żołnierzy brytyjskich nie powstrzymała jednak Maorysów przed kolejną próbą usunięcia masztu. 11 marca 1845 roku wojownicy Hone Hekego zabili obrońców masztu i ścięli go po raz czwarty. Maorysi zaatakowali też samą osadę, którą niemal doszczętnie spalili. Koloniści, osłaniany przez lokalny garnizon, zostali ewakuowani.

Spór o maszt, zakończony zniszczeniem Kororareki, zapoczątkował trwającą dziewięć miesięcy wojnę między Brytyjczykami a Maorysami. W wyniku konfliktu śmierć poniosło 82 Brytyjczyków i 100 Maorysów. Ostatecznie Hone Heke osiągnął swój cel – Brytyjczycy zgodzili się na ustępstwa i nie postavili masztu po raz piąty.

SERBSKA WIEPRZOWINA

Jak wiadomo, bezpośrednią przyczyną wybuchu I wojny światowej był zamach na arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie. Mało kto wie jednak o tym, że konflikt mógł wybuchnąć już pięć lat wcześniej, a wszystko przez... serbską wieprzowinę.

Na początku XX wieku jednym z głównych towarów eksportowanych przez Serbię była wieprzowina, która w większości trafiała do Austrii, traktującej Królestwo Serbii jako państwo satelickie. Serbom taka sytuacja nie do końca odpowiadała. Zaczęli szukać innych rynków zbytu, zwłaszcza w krajach, z którymi monarchia Habsburgów nie żyła najlepiej. W efekcie coraz więcej wieprzowiny z Bałkanów trafiało do Francji i Belgii. To z kolei nie spodobało się cesarstwu, które w 1906 roku wprowadziło całkowite embargo na serbską wieprzowinę, żeby doprowadzić do załamania tamtejszej gospodarki.

Serbowie znaleźli jednak obrońców we Francuzach i Rosjanach, którzy pomogli małemu królestwu zneutralizować skutki blokady handlowej. Zaangażowanie się Rosji w całą sprawę doprowadziło do gwałtownej eskalacji konfliktu. Austro-Węgry zaczęły grozić wojną i dopiero mediacja ze strony Cesarstwa Niemieckiego załagodziła spór. W 1908 roku Austro-Węgry znów zaczęły importować wieprzowinę z Serbii.

Skoro historia jest nauczycielką życia, to warto podsumować lekcję, jaką dają nam wszystkie opisane konflikty. Jak się okazuje, nie ma powodu błędnego na tyle, by nie mógł się on stać pretekstem do chwycenia za broń. ■

KS ZIELONO-CZARNI
ODDZIAŁ SPECJALNY ŻANDARMERII WOJSKOWEJ W MIŃSKU MAZOWIECKIM
ORAZ STOWARZYSZENIE ŻANDARM
ZAPRASZAJĄ NA

BIEG PAMIĘCI

POLEGŁYCH ŻOŁNIERZY ŻANDARMERII WOJSKOWEJ

im. sierż. Marcina Pastusiaka
i kpr. Grzegorza Bukowskiego



10-LECIE ODDZIAŁU SPECJALNEGO
ŻANDARMERII WOJSKOWEJ

TEREN ODDZIAŁU SPECJALNEGO
ŻANDARMERII WOJSKOWEJ
W MIŃSKU MAZOWIECKIM
PRZY UL. WARSZAWSKIEJ 267

24.04
GODZ. 11.30

PATRONAT HONOROWY SEKRETARZA STANU W MINISTERSTWIE OBRONY NARODOWEJ



Polska Zbrojna

Tygodnik LOKALNA

stacja minsk

DZWOŃ

SZCZEGÓŁOWE INFORMACJE NA WWW.KSZIELONOCZARNI.PL

ANNA DĄBROWSKA

Jasny dzień Wilna

Pod wodzą Marszałka przybyli szwoleżerowie,
by dać miastu wolność.

Uroczystość była jednym wielkim aktem żywiołowej wdzięczności wszystkich wileńian za ořeźny wspaniały czyn 30łnierza polskiego, który oswobodził ziemię wileńską z niewoli”, pisano w „Polsce Zbrojna” 22 kwietnia 1929 roku o obchodach dziesiątej rocznicy wyzwolenia Wilna z rąk Armii Czerwonej.

ŚMIAŁY ATAK

Gazeta przypominała historię tamtych walk. Jak pisano, pod koniec 1918 roku

bolszewicy natarli na ziemię litewskie. Zdobyli wiele miast, między innymi Wilno, w którym szybko wprowadzono proletariacką dyktaturę. „Zacęły się prześladowania i nękania Polaków, inteligencji, arystokracji i ziemian”.

W połowie lutego 1919 roku wojska polskie ruszyły do kontruderzenia i starły się w boju z siłami bolszewickimi. 19 kwietnia nasze oddziały dotarły pod Wilno. Walki o miasto toczyła jazda płk. Władysława Beliny-Prażmowskiego, bili się piechurzy gen. Edwarda Rydza-

-Śmigłego. „Atak na miasto był tak pełen brawury, że jeszcze tego samego dnia nasze wojska wkroczyły do Wilna witane owacyjnie przez udręczonych rodaków”.

Przygotowania do obchodów dziesięciolecia tych wydarzeń zaczęto już kilka tygodni wcześniej, a 16 kwietnia do Warszawy przybył wojewoda wileński Władysław Raczkiewicz. Podczas pobytu w stolicy został przyjęty przez marszałka Józefa Piłsudskiego, którego zaprosił, w imieniu komitetu obchodów, na uroczystości do Wilna.

PITAWAL

Pomysłowy kwatremistrz

Kreatywna księgowość
doprowadziła majora
za kratki.

Wojskowy Sąd Okręgowy w Grudziądzu na sesji wyjazdowej w Toruniu rozpatrywał sprawę kwatermistrza Szkoły Artylerii mjr. An-

drzeja Wiatrowskiego oraz oficera rachunkowego por. Piotra Rydzewskiego oskarżonych o szereg nadużyć popełnionych na szkodę skarbu państwa”, donosiła „Polska Zbrojna” 14 maja 1927 roku.

Obaj oficerowie służyli w wojskowej szkole. O ile jednak major był tam kwatermistrem od niepamiętnych czasów, o tyle porucznika przydzielono mu do pomocy niedawno.

Starszy oficer w życiu kierował się żelazną zasadą. Jeśli można na czymś zarobić, to nie wolno przepuścić takiej

okazji, nawet gdyby wiązało się to ze złamaniem prawa. Jak się potem okazało, już od kilku lat korzystał ze swojego stanowiska kwatermistrza, aby powiększyć swoją pensję oficerską.

Dodatkowe możliwości nielegalnego zarobku pojawiły się, kiedy major został wybrany skarbnikiem w spółdzielni wojskowej, do której należał. Od tego czasu przelewał część środków z kasy szkoły do spółdzielni, potem fałszował faktury, dokumenty i zestawienia finansowe, zarówno jednostki, jak i spółdzielni.

„Marszałek wyraził żal, że nie może w dniu tym być wśród wilnian”. Zakomunikował też wojewodzie, że polecił reprezentowanie siebie na uroczystościach gen. dyw. Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu, inspektorowi armii.

POSPIESZNY Z WARSZAWY

Wojewoda zaprosił na obchody także wiele innych osobistości, które brały czynny udział w walkach o Wilno, w tym ministra reform rolnych prof. Witolda Staniewicza, a także ministra pracy i opieki społecznej płk. Aleksandra Prystora. Zgodę na przybycie wyrazili również szef sztabu głównego gen. dyw. Tadeusz Piskor, gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, dowódca 2 Dywizji Kawalerii, oraz płk rez. Władysław Belina-Prażmowski.

W przeddzień uroczystości w Wilnie odbyła się akademie poselska, a salę do ostatniego miejsca wypełnili obywatele. Zebrani uczcili – powstając – pamięć poległych obrońców Wilna. Wieczorem w mieście zorganizowano capstrzyk wszystkich orkiestr wojskowych. „Wilno wygląda pięknie, domy udekorowano flagami, a gmachy publiczne, państwowe, samorządowe i wojskowe oraz Górę Zamkową wspaniale oświetlono”.

W tym samym czasie wyjechał do Grodna specjalny delegat wojewody wileńskiego na spotkanie warszawskiego pociągu, którym do miasta przybywali na uroczystości ministrowie, generalicja, obrońcy Wilna i delegacje pułków.

Następnego ranka, po przybyciu pociągu na wileński dworzec, zgotowano dostojnym gościom owacyjne powitanie. Jak wyliczano w gazecie, na dworcu oczekiwali na nich inspektor armii Stefan Dąb-Biernacki, zastępca dowódcy Okręgu Korpusu III gen. Henryk Krok-

-Paskowski, wojewoda, prezydent miasta Józef Folejowski i deputacje pułków.

„Zastępca marszałka, gen. Rydz-Śmigły, przeszedł przed frontem kompanii honorowej 6 Pułku Piechoty Legionów i zastępów młodzieży szkolnej oraz kolejarzy. Małeńkie dzieci ofiarowały gościom piękne wiązanki kwiatów, a publiczność wznosiła gromkie okrzyki na cześć Marszałka Piłsudskiego i przybyłych dostojników”, relacjonowano.

POD ZNAKIEM ORŁA

Oficjalne uroczystości rozpoczęły się w kaplicy nad Ostrą Bramą przed cudownym obrazem Matki Boskiej. Uroczyste nabożeństwo celebrował metropolita wileński bp Romuald Jałbrzykowski. „Wygłosił on przepiękne kazanie, w czasie którego stwierdził, że ziemia wileńska przechodziła przez długie lata wiele dotkliwych tortur. Jednak dzień 19 kwietnia 1919 roku był tym najjaśniejszym w dziejach miasta, gdy pod wodzą Marszałka, pod znakiem Orła Białego przybyli szwoleżerowie polscy, by dać prawdziwą wolność Wilnu”.

Po mszy na przyległych ulicach ustawiono kilkutyśne oddziały wszystkich rodzajów broni, które wystąpiły w defiladzie na placu przed kościołem Świętego Kazimierza. Po żołnierzach szli szeregami kolejarze, członkowie przysposobienia wojskowego, korporacje akademickie i straż ogniowa.

„Przemówienie podczas popołudniowej akademii gen. Rydz-Śmigły poświęcił historycznym wspomnieniom z czasu wyprawy wileńskiej, podkreślając jej niezwykłą śmiałość oraz doniosłe znaczenie”, informowała „Polska Zbrojna”. Wieczorem w kasynie oficerskim wydano raut dla uczestników obchodów. ■



POLSKA ZBROJNA
10 CZERWCA
1933 ROKU

PUŁKOWNIK CEZARY GNIADECKI, OFICER SZTABU

Obecne uzbrojenie piechoty pozwala jej na prowadzenie walki na polu bitwy przeciwko stałym organom ogniowym piechoty nieprzyjacielskiej. Niestety stan techniczny armii jest daleko niedoskonały i pozostawia piechotę bez poważniejszej obrony przeciwko dwóm najniebezpieczniejszym przeciwnikom, jakimi są czołgi i samoloty. Ta kwestia wymaga natychmiastowej zmiany i rozwiązania.

Ogłoszenia retro:

OD 100 ZŁ.
Buty z cholewami
NAJNOWSZE FASONY ORAZ
WSZELKIE OBUWIE POLECA
po cenach zniżonych
E. NIEDZINSKI
Warszawa, Jerozolimska 14
Tel. 615-46.
Konto P.K.O. 25.616

Na co były mu jednak pieniądze w kasie spółdzielni? „Ano pożyczal je różnym szemranym przedsiębiorcom i brał od nich za to lichwiarski procent”, tłumaczył dziennikarz wojskowej gazety. Interes się kręcił, nikt nie odkrył kreatywnej księgowości majora, a on sam zarobił na futro dla żony i inne zbytki.

Niestety na początku roku dano mu do pomocy porucznika, uznawszy, że zajęty na dwóch posadach oficer ma zbyt wiele pracy dla jednej osoby. Porucznik okazał się bardzo oddany swojemu zwierzchnikowi, ale za to niezbyt bystry.

Major po jakimś czasie wtajemniczył go w część swoich machinacji i w zamian za jego udział i pomoc wypłacał Rydzewskiemu dodatkowe dochody ze swojego zysku.

Porucznik nie był jednak tak zręczny w finansowych zawłościach. Kiedy wiosną w Oficerskiej Szkole Artylerii w Toruniu pojawiła się kontrola, odkryła nieprawidłowości w księgach. Obaj oficerowie stanęli przed sądem.

„Po dwóch tygodniach trwania rozprawy sąd pod przewodnictwem ppłk. Henryka Bałuka uznał majora

winnym tego, że jako kwatermistrz wydał polecenie swemu podwładnemu, by składał gotówkę do Spółdzielni Wojskowej, że złożył fałszywy raport, że kazał sporządzić fałszywy bilans, że pożyczal pieniądze i pobierał od kwot wysokie prowizje na własną korzyść, za co został skazany na rok więzienia”.

Porucznik został uznany winnym przywłaszczenia sobie 8 tys. zł, za co skazano go na cztery miesiące za kratami. Obu oficerów ukarano też wydaleniem z armii. ■

Za autora pierwszego projektu latającej maszyny podobnej do śmigłowca uchodzi Leonardo da Vinci, renesansowy artysta, uczony i wynalazca. Jednak próbę zbudowania śmigłowca podjął dopiero w XIX wieku George Cayley, brytyjski inżynier i pionier lotnictwa. Wówczas znany był tylko silnik parowy i maszyna tego konstruktora nie mogła oderwać się od ziemi. Statki powietrzne, które były zdolne to zrobić, opracował na początku XX wieku Francuz Paul Cornu. Pierwszy lot odbył się w 1907 roku. W czasie I wojny światowej nad śmigłowcem pracowali Węgrzy. Pilot armii austro-węgierskiej por. Stefan Petrőczy von Petrőcz zaproponował wiropłaty jako następców balonów obserwacyjnych. Prace nad nimi podjęli Theodore von Kármán i Wilhelm Žurovec. Powstały dwa prototypy. W dwudziestoleciu między-

TADEUSZ WRÓBEL

WAŻKI DO BOJU

Pierwszy raz śmigłowce zostały użyte podczas walk w Europie i na Dalekim Wschodzie pod koniec II wojny światowej.

wojennym pojawiło się mnóstwo projektów wiroplątów, między innymi wiatrakowce, wyposażone w wirnik nośny oraz śmigło ciągnące lub pchające. Nie brakowało też wiroszybowców, czyli wiatrakowców bez napędu. Niemniej jednak pierwsze udane konstrukcje śmigłowców, które weszły do produkcji, powstały dopiero w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku.

POMYSŁ SIKORSKIEGO

Do skonstruowania śmigłowca przystąpił w USA rosyjski emigrant i konstruktor lotniczy Igor Sikorski. Prototyp jednoosobowej, jednosilnikowej maszyny VS-300 zbudowała firma Vought-Sikorsky Aircraft Division. Konstruktor wyposażył maszynę w dwa wirniki: pojedynczy nośny i ogonowy. Rozwiązanie to jest nazywane układem Sikorskiego lub klasycznym.

Pierwszy raz maszyna wzbiła się
do lotu 3 sierpnia 1940 roku.

Fa 223 Drache



Pierwszy raz śmigłowiec VS-300, pilotowany przez samego konstruktora, wzniósł się w powietrze 14 września 1939 roku w Stratford w stanie Connecticut. Lot na uwięzi trwał zaledwie kilka sekund. Swoobodny miał miejsce dopiero 13 maja 1940 roku.

Konstrukcja Sikorskiego trafiła na dobry czas dla nowatorskich rozwiązań. W Europie trwała już wojna i tylko kwestią czasu było przystąpienie do niej Stanów Zjednoczonych. Śmigłowcem zainteresowało się lotnictwo amerykańskich wojsk lądowych. Na zlecenie wojska Igor Sikorski zaprojektował VS-316, który otrzymał wojskowe oznaczenie XR-4. W odróżnieniu od VS-300 był maszyną dwuosobową z zamkniętą kabiną, silnikiem R-500-3 o mocy 165 KM i wirnikiem głównym o średnicy 10,97 m.

Pierwszy raz śmigłowiec ten wzniósł się w powietrze 13 stycznia 1942 roku. Później XR-4 wykonał lot o długości 1225 km między Bridgeport w Connecticut a Wright Field w Ohio. Na pokonanie tego dystansu potrzebował 16 godz. i 10 min. XR-4 wzniósł się 3700 m nad ziemię i osiągnął prędkość 140 km/h. Co ważne, podczas 100 godz. lotów nie odnotowano większych usterek. 30 maja 1942 roku XR-4 został zaakceptowany przez US Army Air Forces (USAAF). 5 stycznia 1943 roku armia zamówiła następne 30 prototypów. Pierwsze trzy, YR-4A, zostały wyposażone w silnik większej mocy R-501-1 (180 KM) i wydłużone łopaty głównego wirnika, którego średnica zwiększyła się do 11,58 m. Potem powstało 27 przedprodukcyjnych YR-4B, między innymi z powiększonymi zbiornikami paliwa i kabiną. Trafiły one do Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych oraz amerykańskiej marynarki wojennej, straży przybrzeżnej i brytyjskich Królewskich Sił Powietrznych (Royal Air Force). Pierwsze seryjne śmigłowce R-4B z silnikiem o mocy 200 KM, których zamówiono 100 sztuk, otrzymały wojskowe oznaczenie R-4 (fabryczne S-47). Rozdzielono je pomiędzy USAAF (35), US Navy (20) i RAF (45).

MISJA W DŻUNGLI

Armia Stanów Zjednoczonych wysłała swe śmigłowce na teatr działań Birma-Chiny-Indie. 21 marca 1944 roku w Indiach rozbił się jeden YR-4B. Pilot nie przeżył. Był pierwszym członkiem załogi amerykańskiego śmigłowca, który zginął w strefie działań wojennych.

Maszyny Sikorskiego przydzielono do utworzonej 29 marca 1944 roku 1 Air Commando Group, jednostki wspierającej rajdy wojsk alianckich w głąb kontrolowanej przez Japończyków Birmy. Niebawem miała miejsce pierwsza misja ratunkowa z udziałem „wałek” Sikorskiego. 21 kwietnia 1944 roku japoński ostrzał uszkodził lekki samolot obserwacyjny Stinson L-1 Vigilant z czterema osobami na pokładzie – amerykańskim pilotem i trzema rannymi żołnierzami brytyjskimi. Pilot musiał lądować. Gdy maszyna Stinson L-5 Sentinel odnalazła rozbitków 25 km od miasta Mawlu w Birmie, 160 km za liniami wroga, okazało się, że w terenie porośniętym dżunglą nie ma miejsca, by wylądować inny samolot, dotarcie zaś z pomocą w rejon wypadku drogą lądową wymagało wielu dni. Wcześniej aliancy wojskowi mogli zostać schwytani przez Japończyków lub umrzeć w wyniku zakażeń ran. Zdecydowano się wysłać na ratunek YR-4B (jedyne wówczas sprawny), który w tym czasie był w Indiach, daleko od terenu działań wojennych. Pilotowany przez por. Cartera Harmana śmigłowiec dotarł na kontrolowane przez aliantów lądowisko o kryptonimie „Aberdeen”, w głębi Birmy, dopiero rankiem 25 kwietnia. Pilot przystąpił do akcji ratowniczej. Ze względu na małą pojemność i zasięg YR-4 przewoził on odnalezionych wojskowych pojedynczo z polany w dżungli na piaszczysty teren nad brzegiem rzeki, gdzie oczekiwał na nich samolot łącznikowy. Napiecie urosło, gdy podczas ostatniego lotu, po pilota L-1, Harman dostrzegł zbliżających się do polany ludzi z bronią. Dopiero po powrocie do bazy dowiedział się, że nie byli oni Japończykami, lecz idącymi z pomocą Chinditami.

R-4 wykorzystywano również na Pacyfiku do przewozu części zamiennych do uszkodzonych samolotów USAAF między ich pływającymi składami. W maju 1944 roku na po-



➤ Fa 223E

Masa startowa – **4315 kg**
 Długość – **12,25 m**
 Wysokość – **4,36 m**
 Średnica wirnika nośnego (rozpiętość) – **2x12 m (24,5 m)**
 Moc silnika – **1000 KM**
 Pułap operacyjny – **4875 m**
 Zasięg – **437 km**

➤ FI 282 V21

Masa startowa – **1000 kg**
 Długość – **6,66 m**
 Wysokość – **2,2 m**
 Średnica wirnika nośnego – **2x11,96 m**
 Moc silnika – **160 KM**
 Prędkość maksymalna – **150 km/h**
 Pułap operacyjny – **3300 m**
 Zasięg – **170 km**

➤ R-4

Masa startowa – **1142 kg**
 Długość – **14,7 m**
 Wysokość – **3,8 m**
 Średnica wirnika nośnego – **11,6 m**
 Moc silnika – **200 KM**
 Prędkość maksymalna – **132 km/h**
 Prędkość przelotowa – **105 km/h**
 Pułap operacyjny – **2340 m**
 Zasięg – **370 km**

**PIERWSZE UDANE KONSTRUKCJE
 ŚMIGŁOWCÓW, KTÓRE WESZŁY
 DO PRODUKCJI, POWSTAŁY
 DOPIERO W DRUGIEJ POŁOWIE LAT
 TRZYDZIESTYCH XX WIEKU**

kładzie każdego z sześciu takich okrętów były dwa śmigłowce. Przeprowadzano też nimi ewakuacje medyczne i inne misje ratunkowe.

ŚMIGŁOWCE FÜHRERA

W okresie międzywojennym liczne projekty wiroplatów powstały w Niemczech. Niektóre z tych konstrukcji zostały użyte podczas II wojny światowej. Jedną z nich był śmigłowiec Flettner FI 282 Kolibri. Skonstruował go Antony Flettner, który zastosował ząbatające się wirniki. Był to układ krzyżowy, inaczej: Flettnera. Po jego zastosowaniu zbędny okazał się wirnik ogonowy. FI 282 to zmodyfikowana wersja śmigłowca FI 265, który zaprezentowano w lipcu 1940 roku (prace nad nim przetrwały po wyprodukowaniu sześciu egzemplarzy). Maszyna miała metalową konstrukcję, a jako napęd zastosowano siedmiocylindrowy silnik tłokowy Bramo Sh 14A. FI 282 powstał w wersjach jedno- i dwumiejscowej.

Niezwykle ciekawą konstrukcją był dwumiejscowy Focke-Achgelis Fa 223 Drache, którego pierwszy lot odbył się 3 sierpnia 1940 roku. Konstruktor, prof. Heinrich Focke, zastosował układ z dwoma wirnikami nośnymi umieszczonymi na kratownicowych ramionach po bokach kadłuba. Napędzał je dziewięciocylindrowy silnik tłokowy BMW Bramo 323D-2. Tak jak FI 282, Fa 223 nie miał wirnika ogonowego. W porównaniu z innymi ówczesnymi konstrukcjami był gigantyczny. Ze względu na zastosowany układ wirników całkowita rozpiętość wynosiła 24,5 m. Masa startowa Fa 223 przekraczała 4 t (w tym tona ładunku). Co więcej, mógł się on wzniesić powyżej

4800 m. Był to pierwszy śmigłowiec z silnym uzbrojeniem – karabinem maszynowym MG 15 kalibru 7,92 mm. Pod kadłubem można było podwiesić dwie bomby lotnicze o masie 250 kg lub głębinowe. FI 282 mógł mieć dwie 5-kilogramowe bomby. Podczas testów pierwszy prototyp Fa 223 osiągnął kilka rekordowych wyników. Maksymalna prędkość wyniosła 182 km/h, a prędkość wznoszenia – 523 m/min. Fa 223 osiągnął pułap 7100 m.

Największym użytkownikiem śmigłowców w III Rzeszy była Luftwaffe, w której funkcjonowała wyposażona w nie 40 Eskadra Transportowa (Transportstaffel 40). Dysponowała ona maszynami FI 282 i Fa 223. Sformowano też klucze śmigłowców obserwacyjnych i współpracy z artylerią, które operowały na froncie wschodnim. Śmigłowcami zainteresowała się Kriegsmarine (marynarka wojenna). Rozważano wyposażenie w nie okrętów nawodnych i podwodnych. 14 października 1942 roku utworzono jednostkę lotnictwa pokładowego Bordfliegerstaffel 3/196.

Dowódcy niemieccy bardziej docenili możliwości bojowe śmigłowców. W produkujących je firmach zostały złożone zamówienia na setki maszyn. Plany te pokrzyżowały alianckie naloty, niszczące niemieckie zakłady lotnicze. W efekcie Luftwaffe i Kriegsmarine otrzymały tylko kilkadziesiąt śmigłowców. Amerykanie natomiast, choć nie mieli takich ograniczeń, wyprodukowali w czasie II wojny zaledwie 133 R-4 (wraz z prototypami). Niemniej jednak kontynuowali prace nad nowymi konstrukcjami. Dokładnie też przebadali zdobyczne maszyny niemieckie. ■



WŁODZIMIERZ
KALETA

Kariera utonęła w basenie

Emerytowany major K. do dziś twierdzi, że był jednym z pierwszych oficerów, którzy odeszli z wojska zgodnie z nowymi przepisami, wprowadzonymi u progu XXI wieku. Pozwalają one żołnierzowi zawodowemu w każdym czasie wypowiedzieć stosunek służbowy i odejść z zawodowej służby bez podawania przyczyny.

Major był dobrym dowódcą. Miał awansować. Pewnie jego kariera zawodowa rzeczywiście poszybowałaby dynamicznie w górę, gdyby powinności dowódcy nie musiał łączyć z obowiązkami gospodarza. W tamtym czasie dowódcę równie skrupulatnie rozliczano za przestrzeliny w tarczach, jak i za dziury w dachu. Major odpowiadał za utrzymanie i funkcjonowanie basenu.

Z wykonaniem tego zadania poradziłby sobie śpiewająco, gdyby – tak jak to powinno być – dostawał na to pieniądze. Mógł oczywiście machnąć ręką na ten obiekt, a w razie kontroli pokazać inspektorom plik próśb o fundusze na jego remont, które wysyłał „górze” przy zupełnej jej bierności. Gdyby jednak tak postąpił, mógł być pewien, że przyłgnię do niego etykieta oficera niezaradnego, dla którego niewielkie nawet trudności stanowią przeszkody nie do pokonania i który zbiera kwity na usprawiedliwienie swojego braku dbałości o powierzone mienie.

Miałby awans z głowy. Niszczący basen w końcu trzeba byłoby zamknąć, a wtedy dowódca również zostałby rozliczony. W każdym przypadku – po karierze. Zdecydował, że będzie zaradny. Ominął nieżyłociwe przepisy, skrupulatnie określając cel, na które dane środki mogły być wykorzystane, pożonglował chudym budżetem i basen odnowił. Ten zaś przynosił zyski, bo na fali przemian w kraju wojsko wyszło do cywilów z obiektami sportowymi.

Wszyscy byli zadowoleni. Do czasu. Pewnego dnia do jednostki przyjechała ważna kontrola z Warszawy. Inspektorzy stwierdzili, że dowódca część funduszy przeznaczonych na modernizację techniczną sił zbrojnych zużył na potrzeby basenu. Nie pomogły tłumaczenia, że dzięki temu obiekt ten dobrze służy społeczności i przynosi zyski. Major dostał po głowie za wykorzystanie środków niezgodnie z przeznaczeniem.

Marzenia o dalszej karierze musiał odstawić na bok. Podwładni żartowali, że kariera dowódcy utonęła w basenie. Dlatego zdecydował się odejść ze służby. Akurat weszły nowe przepisy, które to ułatwiały. Wypowiedział stosunek służbowy, dodając, że nie widzi dla siebie miejsca w armii, w której dowódców rozlicza się za wszystko, nawet wówczas, kiedy nie mają możliwości wykonania zadań, bez wsparcia przełożonych niewykonalnych.

Jego wypowiedzenia nie przyjęto. „Góra” nakazała zmienić uzasadnienie. Początkowo nie chciał. Przepychanki z przełożonymi trochę trwały, ale to już zupełnie inna opowieść. ■

MAJOR DOSTAŁ PO GŁOWIE
ZA WYKORZYSTANIE
ŚRODKÓW NIEZGODNIE
Z PRZEZNACZENIEM



PŁEK W ST. SPOCZ. WŁODZIMIERZ KALETA
SŁUŻYŁ W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI
DESANTOWEJ.



| WSPOMINAMY |

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

PAMIĘĆ WCIAŻ ŻYWA

To były wielkie osobowości. Odeszli, ale nie zostawili po sobie pustki. Zostały po nich idee, wartości i kierunkowskazy dla kolejnych pokoleń.

ROBERT SIEMASZKO / DPI MON

Czas zatrzymał się pięć lat temu, 10 kwietnia 2010 roku. Spokojny sobotni poranek przerwały doniesienia medialne o katastrofie lotniczej. Kilka minut przed godz. 9.00 samolot Tu-154M rozbił się w okolicach smoleńskiego lotniska. Na pokładzie było 96 osób, między innymi prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński z żoną Marią, ostatni prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski, parlamentarzyści i przedstawiciele duchowieństwa. Wśród ofiar katastrofy lotniczej byli także najwyżsi rangą oficerowie Wojska Polskiego – dowódcy wszystkich rodzajów sił zbrojnych, szef Sztabu Generalnego WP i byli ministrowie obrony.

TESTAMENT WŁODKA

Zmarły tragicznie dowódca wojsk specjalnych już za życia był ikoną specjalsów. „Pracujemy według reguł, których Pan nas nauczył. Wiemy, czego chciał Pan dla naszych wojsk. Będziemy tego dziedzictwa strzec jak najdroższego skarbu. Nasza służba będzie świadectwem Pana dzieła, trudu i poświęcenia dla Ojczyzny”, deklarowali w dniu pogrzebu generała jego ówcześni współpracownicy.

Gen. bryg. Jerzy Gut, dowódca Centrum Operacji Specjalnych, przypomina, że w 2007 roku, gdy powstało Dowództwo Wojsk Specjalnych, zrodziła się też inicjatywa, by Polska uzyskała status państwa ramowego. Miało powstać dowództwo zdolne do planowania i dowodzenia operacjami specjalnymi w układzie sojuszniczym. „To była młoda struktura, brakowało nam wiedzy i doświadczenia. Mieliśmy jednak wyjątkowego dowódcę, gen. Włodzimierza Potasińskiego, który miał wizję i pomysł na nowy rodzaj sił zbrojnych”, przyznaje dowódca Centrum.

Jak zaznacza gen. Gut, choć na sukces polskich wojsk specjalnych pracowało wielu dowódców i żołnierzy, wypełniali oni spuściznę ideową Włodzimierza Potasińskiego. „Każdy briefing operacyjny zaczynamy wspomnieniem o nim. Wszystkim odwiedzającym naszą siedzibę mówimy o człowieku, który przedstawił nowoczesną i spójną wizję wojsk specjalnych. Potrafił przekonywać do swoich idei, zjednywać ludzi. Był niepokorny, gotowy do walki o idee. Włodek wyprzedził swoją

epokę. Jego optymistyczne plany wydawały się na początku niepoprawne i mało realne, a jednak się udało”, dodaje gen. Gut.

Pod koniec 2013 roku marzenie „Potasa” się spełniło. Podczas ćwiczeń „Cobra '13” Dowództwo Wojsk Specjalnych zdało najważniejszy egzamin. Osiągnęło gotowość do planowania i dowodzenia operacjami specjalnymi NATO. W ten sposób Polska dołączyła do grona kilku państw mających takie uprawnienia. „Kiedy pod koniec ćwiczeń usłyszałem od zespołu oceniającego, że spełniliśmy wszystkie wymagania, powiedziałem w duchu Włódkowi: »Twoje marzenia właśnie się spełniły«”, przyznaje gen. Jerzy Gut.

Jak jeszcze wspominają dowódcę podwładni? Gen. Potasiński od roku jest patronem Jednostki Wojskowej Formoza. „Był wielkim człowiekiem, miał otwarty umysł, szybko się uczył i był prawdziwym wojownikiem. Bardzo wierzył w Formozę, ale wszystkie swoje jednostki traktował jednakowo”, mówi kmdr Dariusz Wichniarek, były dowódca Formozy. „Dzięki jego decyzjom zdynamizowaliśmy swój rozwój i trzykrotnie zwiększyliśmy stan etatowy. Dla nas, formoziaków, bardzo ważne było to, że doskonale rozumiał specyfikę działań na morzu. Dzięki jego rozkazom jednostka jest dzisiaj zdolna do wykonywania morskich działań specjalnych na najwyższym światowym poziomie”.

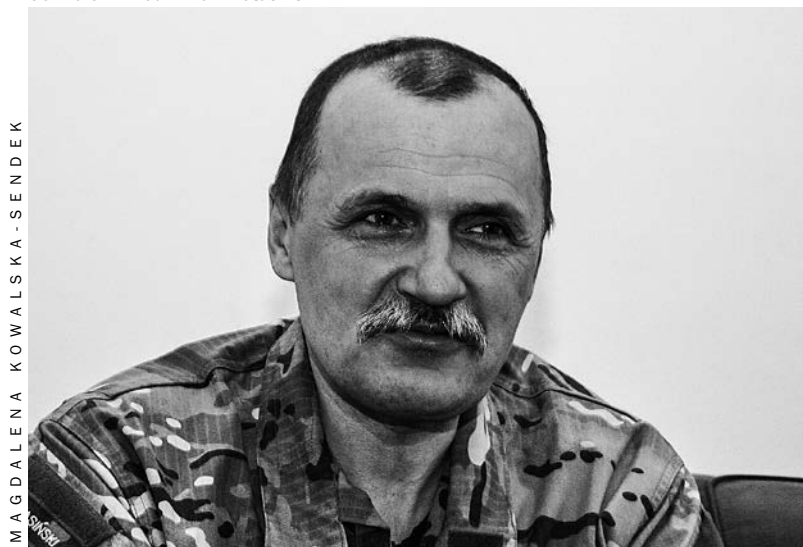
Dla uczczenia pamięci gen. Potasińskiego byli żołnierze Formozy postanowili także zorganizować triathlon. W sześciodniowej wyprawie przez całą Polskę mają wziąć udział wszystkie jednostki specjalne. Komandosi pokonają wpław Zatokę Gdańską, później na rowerach dotrą do Zakopanego i zdobędą Rysy.

Z myślą o byłym dowódcy wojsk specjalnych są organizowane trzy imprezy sportowe: Bieg Morskiego Komandosa, Bieg Przełajowy o Nóż Komandosa i krakowski Memoriał im. gen. broni Włodzimierza Potasińskiego. Bieg o Nóż Komandosa, organizowany przez Wojskowy Klub Biegowy Meta z Lublińca, odbywa się od 19 lat, ale od 2010 roku nosi imię gen. broni Włodzimierza Potasińskiego. „Pamięć lubianego i cenionego dowódcy można czcić w różny sposób, szczególnie gdy odchodzi on tak nagle. W naszym wypadku duże znaczenie miało to, że generał rok przed tragedią wystartował w biegu. Zapewniał wówczas, że nie jest to jego ostatni raz”,

CZAS ZATRZYMAŁ SIĘ 10 KWIETNIA 2010 ROKU.

SOBOTNI PORANEK PRZERWAŁY DONIESIENIA MEDIALNE O KATASTROFIE LOTNICZEJ

Gen. broni Włodzimierz Potasiński



MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK

opowiada st. chor. szt. Zbigniew Rosiński, organizator imprezy. „Z czasem staliśmy się wielką, biegającą w mundurach rodziną generała. Wdowa po nim, pani Marta, jest także jedną z uczestniczek biegu. Każdy dostaje na zakończenie medal z wizerunkiem byłego dowódcy wojsk specjalnych”, dodaje.

Memoriał im. gen. broni Włodzimierza Potasińskiego odbywa się od trzech lat. „Generał był aktywnym, bardzo wysportowanym człowiekiem. Właśnie dlatego w duchu sportowej rywalizacji chcieliśmy uczcić jego pamięć”, mówi Zbigniew Pulit, prezes Wojskowego Stowarzyszenia „Kultura–Turystyka–Obronność”, które jest współorganizatorem imprezy. Sportowcy rywalizują w strzelaniu, pływaniu na dystansie 200 m, biorą też udział w biegu przełajowym na 5 km. W tym roku imprezie będzie towarzyszyć wystawa fotograficzna poświęcona gen. Potasińskiemu.

O tym wielkim żołnierzu przypominają także licznie odsłonięte tablice pamiątkowe, kamienie pamięci i obeliski.

BUK WOJNY

Gen. broni Tadeusz Buk był dowódcą wojsk lądowych, kawalerzystą, pierwszym zwierzchnikiem odrodzonego w Polsce 7 Pułku Ułanów Lubelskich. Jego ówczesni przełożeni i podwładni zgodnie mówią o nim jako urodzonym liderze, żołnierzu z krwi i kości. Doczekał się przydomka „Buk Wojny”. Sam często żartował ze swojego nazwiska. Fascynował się historią. Formując 7 Pułk Ułanów Lubelskich 25 Dywizji Kawalerii Powietrznej, z pietyzmem kultywował tradycje kawalerskie. To właśnie kawaleria powietrzna była jego wielkim wojskowym natchnieniem.

Najcenniejsze, co zostało po gen. broni Tadeuszu Buku, to jego słowa. Wryły się w pamięci przyjaciół – oficerów i generałów, z którymi prowadził wielogodzinne debaty towarzyskie na temat reformowania i naprawiania sił zbrojnych. Jako dowódca wojsk lądowych część swoich wizji wprowadzał w życie. Wiele pomysłów odkładał na nieodległą przyszłość.

Niektóre projekty gen. Buka cały czas są w pamięci jego przyjaciół. Tak jest między innymi ze sprawami dotyczącymi korpusu podoficerskiego. W udzielonym pięć lat temu wywiadzie generał z wielką otwartością mówił o konieczności dokonania radykalnych zmian w funkcjonowaniu tego korpusu, w wynagradzaniu i dowartościowywaniu podoficerów.

By uczcić gen. Buka, już 15 sierpnia 2010 roku w dowództwie misji szkoleniowej NATO w Afganistanie odsłonięto tablicę pamiątkową, a 10 listopada 2010 roku w Mójczy, wiosce kieleckiej, gdzie w 1960 roku przyszedł na świat, nadano jego imię szkole podstawowej. Jest też patronem Laboratorium Zautomatyzowanych Systemów Wspomagania Dowodzenia Akademii Obrony Narodowej. Rok po katastrofie odsłonięto dwie tablice pamiątkowe poświęcone gen. Bukowi: w VI Liceum Ogólnokształcącym w Kielcach i na terenie warszawskiej Cytadeli, ówczesnej siedziby Dowództwa Wojsk Lądowych.

W pierwszą rocznicę śmierci generała odbyło się jeszcze jedno ważne wydarzenie. Tuż przy moście na rzece Pilica w Spale odsłonięto tablicę pamiątkową, a sam most nazwano jego imieniem. Z tego miejsca 10 kwietnia 2011 roku wystartowała pierwsza sztafeta poświęcona pamięci gen. Buka. Blisko ➔

Gen. broni Tadeusz Buk



Gen. Franciszek Gągor



SYLWIA GUZOWSKA
JAROSŁAW WĘGNIĘWSKI

500-kilometrowa trasa biegu kończyła się metą w 34 Brygadzie Kawalerii Pancernej w Żaganach – w miejscu, gdzie jako podporucznik rozpoczynał swoją służbę. Pomysłodawcą odbywającej się rokrocznie imprezy jest chor. Daniel Sienkiewicz z 34 Brygady Kawalerii Pancernej, a organizacją zajmują się żagańska brygada i Stowarzyszenie „Rodzina Wojskowa”.

15 kwietnia 2011 roku, gdy sztafeta dobiegła końca, przed siedzibą jednostki odsłonięto odlany z brązu pomnik generała. „Był oficerem kompletnym, charyzmatycznym dowódcą, diamentem wśród generałów”, mówił o swoim mentorze i przyjacielu gen. dyw. Mirosław Różański. W jego gabinecie portret Tadeusza Buka zajmuje godne miejsce.

Wspomnieniem dowódcy jest także wydana w 2013 roku książka „Sen o szabli, czyli jak Buk kawalerię tworzył”, autorstwa mjr. Sławomira Miszczuka. To zbiór fotografii, wspomnień przyjaciół, generałów: Ireneusza Bartniaka, Marka Sokołowskiego, Mirosława Różańskiego, Jana Kempary. Książkę tworzą także zapiski, w większości zamieszczane w Biuletynie Informacyjnym Koła Żołnierzy 7 Pułku Ułanów Lubelskich „Lanca”.

DYPLOMATA Z CHARYZMA

„Armia nie miała lepszego od gen. Gągora planisty strategicznego. Był świetnym analitykiem, doskonałym dowódcą i dyplomata. Gdy zabierał głos na posiedzeniu Komitetu Wojskowego NATO w Brukseli, zapadała kompletna cisza. Słuchano go uważnie i liczono się z jego zdaniem”, tak o gen. Franciszku Gągorze mówią jego znajomi.

O tragicznej śmierci generała przypomina wiele budowli i miejsc. Kolejne pokolenia oficerów Sztabu Generalnego WP będą odbywać odprawy w sali jego imienia. W Ossowie, w miejscu bohaterskich walk Polaków z bolszewikami w czasie wojny w 1920 roku, stanęło popiersie generała. Postawiono je nieopodal brązowego krzyża w Panteonie Bohaterów, wśród dębów pamięci symbolizujących 96 ofiar katastrofy smoleńskiej. W Nowym Sączu imieniem generała nazwano rondo.

„Był to wybitny żołnierz, który może stanowić wzór dla młodych adeptów sztuki wojskowej”, mówił w 2011 roku rektor-komendant Wojskowej Akademii Technicznej gen. bryg. prof. Zygmunt Mierczyk. Senat uczelni podjął wówczas uchwałę o upamiętnieniu gen. Gągora tablicą pamiątkową i obeliskiem.

Jednym z ważnych świadectw pamięci o generale jest szkoła podstawowa oraz gimnazjum w Koniuszowej, gdzie się urodził i uczył. Rok po katastrofie placówka przyjęła jego imię. Urządziła też w swojej siedzibie izbę pamięci poświęconą życiu i dokonaniom generała. Organizuje także Rajd im. gen. Franciszka Gągora.

Poświęcone mu tablice pamiątkowe odsłonięto w afgańskim ministerstwie obrony i Sztabie Generalnym Wojska Polskiego. Imię byłego szefa Sztabu Generalnego otrzymał też szlak turystyczny biegnący z Nowego Sącza, przez Koniuszową, do Ptaszkowej.

ZAWOŁANY DOWÓDCA

Wizyta w Katyniu miała być jego ostatnią podróżą służbową, bo w maju, po 41 latach w mundurze, miał odejść z armii. „Nie

W HOŁDZIE OFIAROM

TRAGICZNIE ZMARŁYCH W KATASTROFIE SMOLEŃSKIEJ
UPAMIĘTNIA, ZARÓWNO W POLSCE, JAK I ZA GRANICĄ, KILKASET
MIEJSC. CZĘŚĆ Z NICH ZOSTAŁA POŚWIĘCONA WSZYSTKIM
OFIAROM, NIEKTÓRE ZAŚ MAJĄ CHARAKTER INDYWIDUALNY

Gen. pilot Andrzej Błasik

Adm. floty Andrzej Karweta

SYLWIA GUZOWSKA
TOMASZ GOS

Od 2010 roku na gmachu Ministerstwa Obrony Narodowej widnieje tablica upamiętniająca około 30 ofiar związanych z wojskiem. O wszystkich, którzy zginęli w katastrofie, przypominają między innymi: 96 dębów pamięci posadzonych na Cmentarzu Poległych w Bitwie Warszawskiej w Ossowie, tablica w przedsionku krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów na Wawelu w Krakowie oraz zlokalizowany na wojskowych Powązkach w Warszawie pomnik ofiar.

Pamięć gen. pilota Andrzeja Błasika, najmłodszego w historii dowódcy sił powietrznych, uhonorowano tablicą w bazie wojskowej w Ramstein; tam też posadzono dęby. Tablicę upamiętniającą gen. Błasika odsłonięto też przed salą tra-

dykcji Dowództwa Sił Powietrznych, w Dęblinie i w Łodzi. Generał otrzymał pośmiertnie tytuły honorowego obywatela Dęblina oraz zasłużonego dla powiatu poddębickiego. Jego imieniem nazwano ronda w Wartkowicach i Gostkowie. W Ossowie odsłonięto popiersie generała, powstał też pomnik lotników ziemi wartkowskiej, dedykowany również zmarłemu dowódcy.

Pamięć adm. floty Andrzeja Karwety uczcili marynarze oraz mieszkańcy Gdyni. Jego imieniem nazwano park w Gdyni-Oksywiu, a poświęcona mu pamiątkowa tablica w kształcie rózgi wiatrów znalazła swoje miejsce w Ogólnopolskiej Alei Zasłużonych Ludzi Morza w Rewie. Adm. Karweta został także patronem 13 Dywi-

zjonu Trałowców i Małej Galerii w Klubie MW w Gdyni.

Gen. bryg. Wojciechowi Lubińskiemu, lekarzowi prezydenckiemu, poświęcono tablicę pamiątkową w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie.

O stewardesie Justynie Moniuszko pamięta między innymi Politechnika Warszawska. Od 2010 roku najlepszym studentom Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa jest przyznawane stypendium naukowe jej imienia.

Funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu co roku w koszulkach z napisem „Motocykliści w hołdzie kolegom. Smoleńsk 2010” wyruszają na wyprawę motocyklową do Smoleńska. ■

„takie to miało być pożegnanie”, mówili na pogrzebie rodzina i przyjaciele gen. Bronisława Kwiatkowskiego, dowódcy operacyjnego sił zbrojnych. Zapamiętano go jako wielkiego człowieka, który wychowywał, doradzał, opiekował się podwładnymi i nikogo nie pozwolił skrzywdzić. Nade wszystko szanował ludzi. Cenił ich pracowitość i pomysłowość. Twierdził, że dowódca powinien być mądry wiedzą swoich podwładnych.

By uczcić jego pamięć, rok po katastrofie w Dowództwie Operacyjnym Sił Zbrojnych odsłonięto popiersie generała i nadano jego imię sali konferencyjnej. Kilka miesięcy później

Szkoła Podstawowa w Mazurach na Podkarpaciu przyjęła imię gen. Bronisława Kwiatkowskiego

Tablicą pamiątkową uhonorowano go w siedzibie Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, kościele garnizonowym w Krakowie, Ministerstwie Obrony Narodowej, celestacie Bractwa Kurkowego w Krakowie. Generał otrzymał tytuły: honorowego obywatela Kolbuszowej i Sieprawia, a także przyjaciela ziemi skalskiej.

Wdowa po nim, Krystyna Kwiatkowska, w 2012 roku przekazała do jasnogórskiego sanktuarium między innymi zniszczo- ➔

Gen. Bronisław Kwiatkowski



Gen. dyw. Kazimierz Gilarski



ny w katastrofie smoleńskiej mundur, a także beret generała, szablę i flagę państwową, w którą była owinięta trumna w trakcie ceremonii pogrzebowej.

MISTRZ CEREMONIAŁU

Gen. dyw. Kazimierz Gilarski całe zawodowe życie związał z Warszawą. W stolicy obejmował pierwsze stanowiska służbowe, by w 2006 roku zostać dowódcą Garnizonu Warszawa. Uczestniczył w setkach wojskowych, państwowych i patriotyczno-religijnych uroczystości w kraju i za granicą, wiele z nich organizował. Współtworzył nowy ceremoniał wojskowy. Zależało mu na przywróceniu wielu tradycji reprezentacyjnych – Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego czy rogatywek dla kompanii reprezentacyjnej. Z jego inicjatywy 19 kwietnia jest świętem Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Podwładni i przyjaciele pamiętają o gen. dyw. Kazimierzu Gilarskim. Przypomina o nim sala szkoleniowa w DGW, której w 2011 roku nadano imię zmarłego generała, oraz tablica z jego wizerunkiem. Jak mówił podczas otwarcia sali dowódca garnizonu gen. bryg. Wiesław Grudziński, jest ona wyrazem hołdu składanego nieodżałowanemu dowódcy, który prowadził tutaj odprawy i spotykał się z żołnierzami. „Dowództwo było drugim domem mojego męża, domem, któremu był oddany bez reszty. Cieszę się, że powstało tu miejsce, które będzie przypominać jego postać”, mówiła Maria Gilarska.

Generała upamiętniono także w miastach, z którymi był szczególnie związany. Jednym z nich była Warszawa. Jesienią 2010 roku Rada Warszawy wyróżniła generała pośmiertnie ty-

tułem zasłużonego dla miasta Warszawy. Na Bemowie, gdzie generał mieszkał z rodziną, w 2010 roku ufundowano dwie poświęcone mu tablice pamiątkowe. Były dowódca Garnizonu Warszawa został też honorowym obywatelem Radzimina.

Wyrazem pamięci o gen. dyw. Kazimierzu Gilarskim są także zawody sportowe w dyscyplinach, którymi się pasjonował. „Od maja 2011 roku co dwa lata odbywa się turniej w podnoszeniu ciężarów o Puchar im. gen. Gilarskiego”, mówi rzecznik prasowy DGW ppłk Joanna Klejszmit-Bodziuch.

Ze względu na miłość byłego dowódcy garnizonu do koni i dyscyplin jeździeckich, od czerwca 2011 roku jest organizowany Memoriał im. gen. dyw. Kazimierza Gilarskiego. Impreza odbywa się w ramach ogólnopolskich zawodów jeździeckich w skokach przez przeszkody. Zawody poprzedza msza w intencji patrona oraz złożenie kwiatów na jego grobie na warszawskich Powązkach.

Przyjaciele, koledzy i podwładni gen. Gilarskiego pracowali też nad utworzeniem upamiętniającej go strony internetowej, jako część projektu Muzeum Historii Polski. Wcześniej, bo jesienią 2011 roku, rodzina uruchomiła stronę internetową poświęconą jego pamięci.

Gen. Gilarskiego uhonorowano także tablicami pamięci w Wojskowym Ośrodku Szkoleniowym w Mragowie i nadano jego imię odrestaurowanej tam sali konferencyjnej. W rodzinnej miejscowości Rudłowice odsłonięto tablicę pamiątkową, a w Zespole Szkół w Rożwienicy otwarto poświęconą mu izbę pamięci. ■

WSPÓŁPRACOWNICY: PB, AD, PG, WK, TW

Wirtualny skansen

Powstają modele 3D wraków
z dna Zatoki Gdańskiej.

Zespół z Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku opracuje w ciągu dwóch lat **fotogrametryczne modele 3D** dziesięciu drewnianych wraków spoczywających na dnie Zatoki Gdańskiej. Z tysięcy zdjęć zrobionych z różnej perspektywy komputer złoży szczegółowy model przestrzenny. Badacze chcą w ten sposób udokumentować między innymi galeon „Solen”, który brał udział w bitwie pod Oliwą.

Eksponaty będzie można oglądać na internetowej stronie placówki jako część wirtualnego skansenu wraków. Projekt współfinansuje Ministerstwo

Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Archeolodzy z Gdańska w ostatnich dwóch latach wykonali modele 3D trzech wraków i w przyszłości planują dołączyć do nich kolejne drewniane jednostki historyczne spoczywające na dnie Zatoki Gdańskiej.

Jak podaje muzeum, grupa nurków i archeologów, którymi kieruje Tomasz Bednarz, została nominowana do nagrody Travelery wydawnictwa National Geographic w kategorii „naukowe odkrycie roku” za opracowanie tej nowatorskiej metody podwodnego dokumentowania wraków. A D ■



MICHAŁ JASIULEWICZ / MSZ

Dar dla muzeum

Ordery legionisty wróciły do kraju.

Zbiór 26 odznaczeń płk. Władysława Beliny-Prażmowskiego trafił do Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku dzięki pomocy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. „Pomysł sprowadzenia do Polski orderów to nie tylko praktyczna pomoc, lecz także podkreślenie wartości, za które pułkownik został odznaczony”, mówił, odbierając dar, dyrektor Muzeum Krzysztof Jaraczewski.

Belina-Prażmowski był w 1914 roku dowódcą pierwszego oddziału kawalerii legionowej, potem stał na czele 1 Brygady Kawalerii.

Odnaczenia podarowała mieszkająca w Toronto Amelia Belina-Prażmowska. Są wśród nich krzyż Virtuti Militari ze wstęgą, Krzyż Walecznych oraz odznaka 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. A D ■

PRZEKAŻ 1% PODATKU

TWÓJ DAR NIC NIE KOSZTUJE
– A MI ŻYCIE RATUJE

Szanowni Państwo !

Serdecznie dziękuję wszystkim tym, którzy przekazali mi odpis 1% z podatku za rok 2013. Przekazane środki finansowe umożliwiły mi zakup leku i skuteczną walkę z chorobą nowotworową.

Obecnie kontynuuję przyjmowanie trzeciej chemii, której nie refunduje NFZ, tym samym ponoszę pełne koszty zakupu leku. Z uwagi na to, że dalsza kuracja antynowotworowa wymaga znacznych nakładów finansowych, uprzejmie proszę

● o przekazanie 1% podatku za rok 2014 na rzecz Fundacji „Wygrajmy Zdrowie” im. prof. Grzegorza Madeja w Warszawie, wpisując w PIT:

nr KRS: **0000242845**

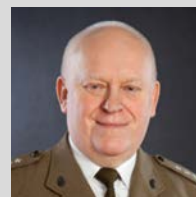
cel szczegółowy 1%:
**na leczenie onkologiczne
Bogdana Niewitowskiego**

● bądź dokonanie nawet najdrobniejszej wpłaty (darowizny) na rzecz

Fundacji „Wygrajmy Zdrowie”
ul. Piękna 28/34 lok. 53
00 – 547 Warszawa

nr subkonta: 40 1240 6410 1111
0010 4995 0536,
z dopiskiem (tytułem) – na
leczenie onkologiczne Bogdana
Niewitowskiego.

Pozdrawiam i z góry serdecznie
dziękuję za wsparcie.



z wyrazami szacunku
Bogdan Niewitowski
pułkownik rezerwy WP

PIOTR JASZCZUK / CENTRUM WETERANA



Uznanie dla weterana

Nagrodą „Anody” został wyróżniony uczestnik misji w Kambodży.



Zbigniew Danielak, który w polskim kontyngencie na misji Organizacji Narodów Zjednoczonych w Kambodży pełnił funkcję tłumacza, został laureatem IV edycji Nagrody imienia Jana Rodowicza „Anody”. Wyróżniono go w kategorii „wyjątkowy czyn” za uratowanie pięcioosobowej załogi płonącego śmigłowca. Kapituła doceniła też jego udział w ryzykownej akcji uwolnienia polskiego sanitariusza uprowadzonego przez Wietnamczyków. Koledzy ze służby mówią o **Zbigniewie Danielaku**.

że zawsze jest gotowy do poniesienia ryzyka i gdyby się mu zdarzyła podobna sytuacja, postąpiłby tak samo.

Ustanowiona przez Muzeum Powstania Warszawskiego nagroda jest przyznawana osobom wyróżniającym się zaangażowaniem w działaniach na rzecz innych oraz postawą stanowiącą przykład dla młodego pokolenia. Honorowane są nią osoby kierujące się w życiu ideałami i wartościami charakterystycznymi dla powstańców warszawskich. A D



W kabinie z R2D2

Robot jak z „Gwiezdných wojen” pomaga lotnikom z USA.

Mieszcząca się w bazie Holloman w Nowym Meksyku 96 Grupa Testowa amerykańskich sił powietrznych, zajmująca się sprawdzaniem nowego sprzętu, skonstruowała robota przypominającego maszynę znaną z „Gwiezdných wojen”. Jak tłumaczą na stronie US Air Force konstruktorzy, potrzebna im była montowana w samolotach platforma do testów nowych technologii GPS.

Wyposażenie elektroniczne ulokowano w robocie RCP, który z wyglądu przypomina słynnego R2D2 z kosmicznej sagi. Robot zajął miejsce drugiego pilota w kabinie 56-letniego samolotu T-38 Talon. „Musieliśmy go tak umieścić, aby nie miał wpływu na lot i pozwalał na bezpieczne katapultowanie”, tłumaczą konstruktorzy. RCP można w przyszłości używać także do badania innego sprzętu lotniczego. A D

A. ZAKRZEWSKI



Pamiątki po Marszałku

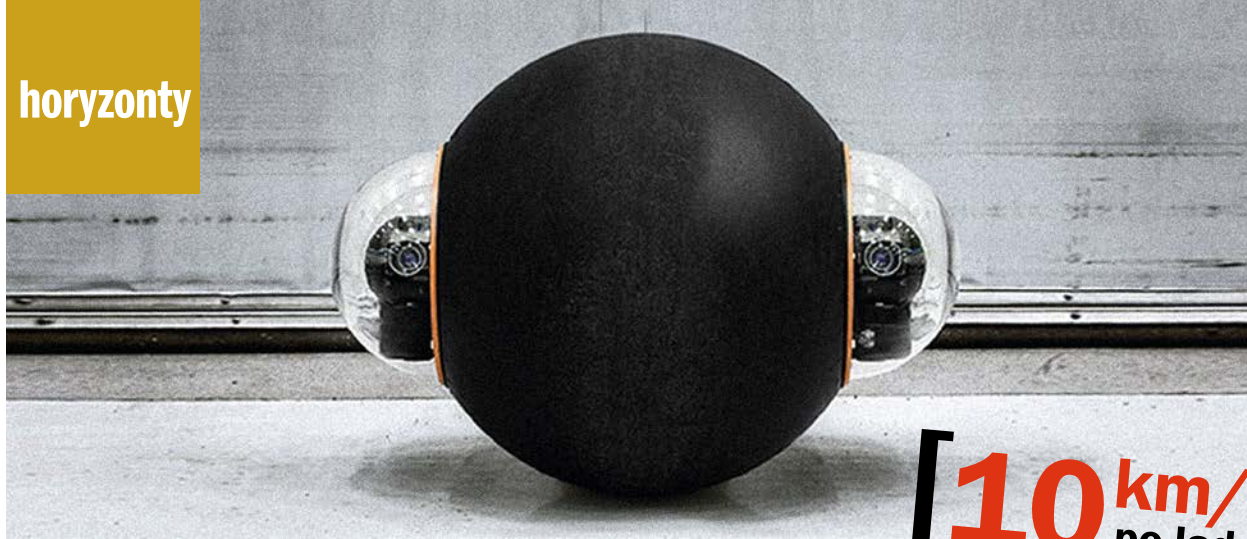
Meble Józefa Piłsudskiego wróciły do Sulejówka.

Latем 1947 roku władze komunistyczne wywiozły z dworku Milusin w Sulejówku, domu marszałka Józefa Piłsudskiego, meble, obrazy, księgozbiór oraz inne przedmioty. Ich los był nieznan przez niemal 70 lat. Dopiero w maju 2014 roku pracownicy Muzeum Józefa Piłsudskiego, dzięki współpracy z resortem obrony, odnaleźli część przedmiotów w pałacu w Helenowie, będącym obecnie ośrodkiem reprezentacyjnym MON.

Minister Tomasz Siemoniak zdecydował przekazać przedmioty Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego. Jak mówił podczas uroczystości, Marszałek jest dla

Polaków postacią niezwykle ważną i dlatego tak wielką wagę przykładamy do kulturowania pamięci o nim.

Do Muzeum wróciły stół, krzesła i komody kupione w 1923 roku z funduszy Komitetu Daru Żołnierza oraz kilka obrazów, w tym dwa pejzaże autorstwa Ignacego Pinkasa. Wybudowany w 1923 roku dworek Milusin był darem Komitetu Żołnierza Polskiego dla Piłsudskiego. Marszałek mieszkał tam z rodziną do 1926 roku. W okresie PRL-u urządzono w budynku przedszkole, a w 2000 roku dworek odzyskała Fundacja Rodziny Józefa Piłsudskiego. E K



**[10 km/h
po lądzie]**

Bojowa kula

Marines mają nowe urządzenie do rekonesansu na polu bitwy.

Amerykański korpus marines testuje nową maszynę służącą do rekonesansu na polu walki, a w przyszłości może też do działań bojowych. Guard-Bot to robot w kształcie kuli, który umie pływać, a także poruszać się po drogach, piasku czy śniegu. Może więc

na przykład podpłynąć do brzegu i wyjść na ląd, przygotowując desant żołnierzy.

Jak podaje producent, firma Guard-Bot Inc., maszyna porusza się z prędkością około 10 km/h po lądzie i dwukrotnie wolniej w wodzie. Kula potrafi

pokonać wzniesienie o nachyleniu do 30 stopni, a jej baterie wystarczają na osiem godzin pracy. Na razie robot jest zdalnie sterowany, ale naukowcy obiecują, że w przyszłości będzie w pełni automatyczny i sam dotrze do wskazanego miejsca. A D ■

Nie dla monumentu

Pomnik braterstwa broni nie wróci na Pragę.

Stołeczni radni zdecydowali, że pomnik Polsko-Radzieckiego Braterstwa Broni, potocznie zwany pomnikiem czterech śpiących, nie powróci na plac Wileński na stołecznej Pradze. Obelisk, odsłonięty 18 listopada 1945 roku, zniknął z tego miejsca w 2011 roku. Został zdemontowany w związku z rozpoczęciem budowy II linii metra i poddany konserwacji. Władze Warszawy zapowiadały wówczas, że po zakończeniu inwestycji wróci on w pobliże dawnej lokalizacji. Teraz jednak radni zmienili poprzednią uchwałę, tłumacząc to między innymi obecną sytuacją polityczną.

Przeciwko ponownemu instalowaniu pomnika na Pradze protestowali okoliczni mieszkańcy i środowiska kombatanckie, dla których jest on symbolem komunistycznej propagandy. Jak mówiła ostatnio dziennikarzom prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, monument mógłby trafić do Muzeum Komunizmu lub Muzeum Historii Polski. A D ■



Magiczna pigułka

Amerykańska armia wydaje miliony dolarów na viagrę.

Jak podaje portal Freebeacon.com., tylko w 2014 roku na zakup medykamentów pomagających w zaburzeniach erekcji wśród żołnierzy armia Stanów Zjednoczonych wydała 84 mln dolarów, z czego blisko połowę tej kwoty przeznaczono na viagrę. Jak poinformował portal, armia USA funduje ją żołnierzom od 1998 roku.

Pentagon potwierdził, że od 2011 roku wydał na walkę z zaburzeniami erekcji u wojskowych blisko 300 mln dolarów, tłumacząc, że te problemy zdrowotne w dużej części mogą być skutkiem traumatycznych przeżyć podczas wojen czy misji. Według badań, liczba żołnierzy dotkniętych tego typu przypadkościami rośnie, a większość z nich stanowią właśnie weterani. Zakup viagry jest więc formą medycznego ich wsparcia. A D ■



Na basenie w podwarszawskich Żąbkach rozpoczynają się nietypowe zajęcia – wyścig pływackich sztafet połączony z wykonywaniem pompek czy nurkowaniem przez obręcz. A do tego wszystkiego z pozoru bezsensowna zabawa z dziesięciolitrowymi baniakami napełnionymi wodą. Jakby tego było mało, zespoły zmagające się w tych konkurencjach cały czas są polewane strumieniami wody pod ciśnieniem. Uczestnicy tej zabawy też trochę z różnych światów: mężczyźni i kobiety, 18-latkowie i dojrzały ludzie, muskularni i tacy przeciętnej budowy. I choć na pierwszy rzut oka nie sprawiają wrażenia grupy twardzieli, to pod wieloma względami są wyjątkowi. Nie każdy bowiem da się namówić na całkowite zanurzenie w lodowatej wodzie (+2°C), by po chwili wybiec z budynku (-2°C) i uprawiać gimnastykę na świeżym powietrzu.

Prowadzący zajęcia mjr rez. Jacek Kowalik, były oficer GROM-u, i „Drago”, były operator i szkoleniowiec Navy SEAL, zapewnia jednak, że „działania morskie” prowadzone w formule legendarnego „hell week” – piekielnego tygodnia, stanowiącego najtrudniejszym etap selekcji do Navy SEAL – są pod pełną kontrolą. Ich celem jest przekonanie uczestników szkolenia, że to, co wydaje się im niemożliwe, jest dostępne dla niemalże każdego, a nadto bezpieczne, ale muszą mieć silną motywację i zachować spokój.

CZTERDZIEŚCI GODZIN AKCJI

Wodno-zimowy akcent to jednak zaledwie początek ósmej edycji seminarium poświęconego pamięci płk. Leszka Drewniaka, współzałożyciela jednostki GROM, znakomitego



PIOTR BERNABIUK

Spuścizna po Diable

Leszek Drewniak należał do wojowników twardych i niezłomnych. „Diabłem” okazywał się jedynie na macie. W codziennym życiu był człowiekiem ciepłym i przyjacielskim.

szkoleniowca i twórcy systemu GROM Combat. Tegorocznym tematem przewodnim szkolenia były działania przeciwydywersyjne, uzupełnione takimi atrakcjami, jak walka z użyciem noża i przedmiotów codziennego użytku. Cała impreza to blisko 40 godzin akcji, z nielicznymi, ale niezwykle cennymi przerwami, przeznaczonymi na wspomnienia byłych SEAL'sów i żołnierzy GROM-u o służbie, tak aby uczestnicy seminarium poznali dokonania legendarnego „Diabła”.

A o Leszku Drewniaku z pewnością najwięcej i najciekawiej mogą opowiedzieć Bartosz Gagucki i Jacek Kowalik, inicjatorzy i organizatorzy kolejnych seminariów poświęconych temu żołnierzowi, jego przyjaciele, początkowo uczniowie, a później przez lata partnerzy w tworzeniu systemu szkoleniowego. Dziś wspólnie szefują Grupie Reagowa-

nia Antykryzysowego, prowadzącej usługi doradczo-szkoleniowe dla służb mundurowych i agencji rządowych dotyczące działania w strefach wysokiego ryzyka, w rejonach konfliktów i klęsk żywiołowych.

Mjr Jacek Kowalik pierwszy kontakt z Leszkiem Drewniakiem wspomina jako przeżycie dość drastyczne: „Był pierwszą osobą, z którą się zetknąłem, kiedy rozpoczynałem szkolenie w jednostce GROM. Na zajęciach nikt nie chciał się z Lechem boksować, bo ludzie znali siłę jego uderzenia. Dopiero co przyszedłem, byłem dobrze przygotowany do walki, więc dałem się skusić. I koledzy patrzyli, jak on mnie pierze. A ja nie wiedziałem, o co chodzi. Przecież to był starszy gość, a ja taki kozak w szczycie formy! Tymczasem ilekroć dostałem »strzał«, to lądowałem na ziemi”.



PIOTR BERNABIAK

PLK LESZEK DREWNIAK „DIABEŁ”

Absolwent warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Był członkiem założycielem Polskiego Związku Karate, a także kierownikiem wyszkolenia związku i trenerem kadry narodowej (1981–1991) w tej dyscyplinie. W karate shōtōkan osiągnął stopień mistrzowski VII dan, w dżiudō zaś IV dan.

Uczestniczył w tworzeniu jednostki specjalnej GROM, w której był następnie szefem wyszkolenia. Opracował system szkolenia przygotowujący operatorów jednostki do walki w kontakcie, znany obecnie jako GROM Combat. Po odejściu ze służby prezesował Fundacji Byłych Żołnierzy Jednostek Specjalnych GROM.

Wkrótce jednak odwaga adepta zaprocentowała, bo zaczął trenować z mistrzem: „Leszek potrafił połączyć wiedzę i umiejętności w sportach walki gromadzone latami, przede wszystkim w karate shōtōkan, ze szkoleniem żołnierzy i funkcjonariuszy BOR-u. W latach dziewięćdziesiątych cały swój dorobek wykorzystał do szkolenia operatorów naszej jednostki”.

FILOZOFIA WALKI

Leszek Drewniak, utytułowany sensei z VII dan karate shōtōkan, trener kadry w tej dyscyplinie, proponował karate w zupełnie nowym wydaniu. „Nawet Japończycy przyjeżdżający na staże patrzyli z niedowierzaniem, że Europejczyk ma tak nowatorskie podejście do tego systemu. Dopieszczali tę sztukę przez setki lat i mieli do niej, co naturalne, tradycyjne podejście. A my ich dzieło traktowaliśmy jako tworzywo”, wspomina Kowalik. „Byliśmy inaczej zbudowani, inaczej przygotowani fizycznie, musieliśmy więc ćwiczenia dobierać do swoich możliwości i potrzeb. Leszek nigdy nie prowadził treningu według schematu, lecz dostosowywał do konkretnego zawodnika i sytuacji. W ten sposób powstawały podwaliny naszego systemu”.

Najwięcej ćwiczyli wspólnie podczas pierwszej misji GROM-u na Haiti w 1994 roku. Czas wolny od spraw służbowych wypełniali treningiem. Rozważali wówczas, jakie elementy połączyć, żeby powstał skuteczny system walki bezpośredniej dla żołnierzy w pełnym uzbrojeniu i z wyposażeniem.

Z tego czasu Jacek Kowalik zachował kolejne wspomnienie: „Dowódca, żeby zaimponować Amerykanom, kazał przygotować pokaz walki wręcz. Przez tydzień ćwiczyliśmy układy według szczegółowego scenariusza. A w trakcie popisu dostałem od Leszka »strzał«, którego nie było w fabule spektaklu. Drewniak tak mi to później wytłumaczył: »Tak jakoś wyszło, zobaczyłem, jak się ruszyłeś i zareagowałem spontanicznie«. Nie mówię o tym przez przypadek. Taka reakcja wynikała z jego filozofii, zgodnie z którą, nawet jak coś zostało zaplanowane, to dana sytuacja mogła niespodziewanie zmienić scenariusz. Odmienił również mój sposób myślenia o sztukach walki. Pokazał, że inne zasady obowiązują w czasie rywalizacji sportowej, a inne, kiedy walczymy o życie”.

Po powrocie do kraju zaczęli systematyzować haitański dorobek. Zastanawiali się również, jak poprowadzić w jednym kierunku tych, którzy przychodzili do jednostki. A byli to nie tylko ludzie mający doświadczenie w różnych sportach walki, lecz także lekkoatleci, biegacze, pływacy, zawodnicy gier zespołowych. „Stanęło na tym, że najpierw wprowadzaliśmy ćwiczenia ogólnorozwojowe oparte na grach zespołowych, pływaniu, bieganiu, a następnie, gdy wyposażyliśmy operatora w broń i pełen ekwipunek bojowy, z tego treningu powstawało niezwykle sprawne działanie taktyczne. I to się nam udało”.

SPOTKANIE Z GODZILLĄ

W czasie seminarium jednak niewiele jest czasu na takie wspomnienia, bo organizatorzy postawili na akcję. Kolejny ➔



Bodziec do działania

Uroczystość zakończenia VIII Seminarium DREWNIĄK przygotowane w Muzeum Powstania Warszawskiego. Wśród honorowych gości znalazły się Dominika Bandurska, córka gen. Sławomira Petelickiego, i Małgorzata Marczevska, córka płk. Leszka Drewniaka. W atmosferze skupienia i refleksji wręczono certyfikaty wszystkim uczestnikom zajęć. Dla wielu z nich zakończenie tej edycji seminarium jest zarazem początkiem czegoś nowego w życiu.

trening, z Tomaszem Drwalem „Godzillą”, budzi nie mniejsze emocje niż szkolenie z komandosami. Ten człowiek jest bowiem legendą mieszanych sztuk walki, czyli MMA. Oczywiście na seminarium nie ma mowy o żadnej konfrontacji, wystarczy zestaw ćwiczeń w parterze, wychodzenie z gardy, kilka podstawowych technik zaprezentowanych przez zawodnika i instruktora, który w sztukach mieszanych połączył kilka dyscyplin: karate, kick-boxing i brazylijskie dziu-dzitsu.

Współpraca z mistrzami różnych dziedzin walki znakomicie wpływa na tworzenie systemu GROM Combat. Bartosz Gagucki i Jacek Kowalik, kontynuując dzieło Leszka Drewniaka, od lat korzystają ze wsparcia autorytetów, między innymi Andrzeja Gmitruka w boksie, Andrzeja Suprona w zapasach, a obecnie także Tomka Drwala. „Pojawiali się na treningach GROM-u, podobnie jak dziś u nas, w GRAC-u [Grupa Reagowania Antykryzysowego sp. z o.o.]”, mówi Jacek Kowalik. „Wspaniali wielcy ludzie. W szkoleniu, które z czasem ułożyło się w system, nie rozstrzygałymi, że coś jest najlepsze – karate, dzudo, zapasy, dziu-dzitsu, boks albo krav maga. Zbieraliśmy wszechstronne doświadczenia i po pewnym czasie zaczęliśmy z nich wyodrębniać potrzebne elementy, łączyć je w całość. Znakomitą podstawą były możliwości fizyczne żołnierzy, bo przecież do jednostki trafiali ludzie wysportowani, sprawni, silni”.

Współpraca z najlepszymi ma w GRAC-u również szerzy wymiar. Po wielu misjach i kontaktach zagranicznych z sojusznikami żołnierze GROM-u czują się członkami międzynarodowej społeczności sił specjalnych. Mjr Kowalik nie bez powodu na tegoroczny staż zaprosił starych przyjaciół z Navy SEAL: „Wielokrotnie uczestniczyliśmy we wspólnych operacjach. Powstała między nami silna więź, wręcz braterstwo broni. Z »Drago« pracowałem w Iraku, byłem tam dowódcą zespołu, w którym znajdowali się także Amerykanie. Teraz, gdy oni również zakończyli służbę, realizujemy wspólnie projekty w Polsce, w USA, na całym świecie”.

PRACA U PODSTAW

Dla organizatorów szkolenia nie mniej ważna od uczczenia pamięci płk. Leszka Drewniaka jest satysfakcja uczestników. Seminarium z założenia nie jest selekcją, eliminującą bezwzględnie najsłabszych. W tej imprezie ważne jest, by

wszyscy przeszli kolejne etapy od początku do końca, do chwili uroczystego wręczenia certyfikatów.

W 2015 roku ciekawość przynęcała tu nawet Włochów – zespół złożony z byłych żołnierzy, wcześniej szkolących się z firmą GRAC. Wystartowali również uczniowie. Grupa bowiem od trzech lat opiekuje się szkołami z Wrocławia, Ostrowa Wielkopolskiego i Opatowa. Jackowi Kowalikowi szczególnie bliscy są uczniowie klas mundurowych Zespołu Szkół nr 1 w Opatowie, z którymi przyjeżdża Edyta Gwoździak, koleżanka majora jeszcze z harcerstwa, i Marek Frejlich. Za pierwszym razem dwójka opiekunów pokonała cały szlak przygotowany na seminarium razem z uczniami, a w tym roku młodzież z „mundurówki”, między innymi

Angelika Zięba, Małgorzata Urbańska, Patryk Kargul, Piotr Nowak, Damian Walek, musiała sobie radzić sama.

Oficer GROM-u pracę z uczniami uważa za dobrą inwestycję. Jeździ nawet do Opatowa, żeby prowadzić dla nich zajęcia: „Uczą się historii, patriotyzmu i działania w terenie. Trzeba ich wspierać, bo skoro w tak młodym wieku związali się z mundurem, to niech wiedzą, na czym polega służba wojskowa, w dodatku w jednostkach elitarnych”.

Oczkiem w głowie mjr. Kowalika są również podchorążowie Wojskowej Akademii Technicznej: „Budzą nasz szacunek, bo

w tygodniu mają mnóstwo zajęć, a w weekend szkolą się w systemie GROM Combat. To jest też element naszej idei, żeby ich poprowadzić, ukształtować, bo stanowią niezwykle wartościowy materiał, jeśli chodzi o służbę wojskową”. Seminarium jest dla podchorążych znakomitą doświadczeniem i wspaniałą przygodą. Należą oni do uczelnianej organizacji „Woda, Ląd, Powietrze”, więc stanowią swego rodzaju elitę, nieustannie poszukującą nowych wyzwań. Przechodzili już szkolenie górskie, posmakowali skoków spadochronowych, ukończyli kurs ratownictwa pola walki i wykorzystują każdą okazję, by szkolić się w strzelaniu i we wszystkich „kolorach” taktyki.

St. szer. pchor. Karol Boguszewski mówi otwarcie: „Jesteśmy obciążeni na uczelni, ale chcemy się szkolić i rozwijać zainteresowania, które ułatwią nam trafienie do wybranej jednostki”. St. szer. pchor. Mateusz Krzemiński i st. szer. pchor. Łukasz Ilczuk również są zdania, że na obecnym etapie należy wszystkiego spróbować, a następnie wybrać swoją drogę. ■

DLA WIELU UCZESTNIKÓW ZAKOŃCZENIE ÓSMEJ EDYCJI SEMINARIUM JEST ZARAZEM POCZĄTKIEM CZEGOŚ NOWEGO W ŻYCIU

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Charytatywna wiosna

Piłkarze wspierają środowisko weteranów.



Legia Warszawa 18 kwietnia 2015 roku zmierzy się z Zawiszą Bydgoszcz, a część dochodu ze sprzedanych biletów może trafić na konto Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju oraz Stowarzyszenia Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość”.

SPOŁECZNE WSPARCIE

„Akcję, aby wspomóc kilka organizacji, nazwaliśmy Charytatywną Wiosną Legii Warszawa. Zachęcamy kibiców do przychodzenia na stadion, bo dzięki temu wybrane fundacje i stowarzyszenia dostaną od nas wsparcie finansowe”, mówi Jakub Szumielewicz, wiceprezes zarządu Legii Warszawa.

Podczas rundy wiosennej na stadionie przy ulicy Łazienkowskiej w Warszawie zostanie rozegranych pięć meczów, każdy na rzecz innego partnera charytatywnego. O tym, jaka kwota zostanie przekazana danej organizacji, zdecyduje frekwencja. Jeśli bilety na mecz kupi 20 tys. kibiców, z każdej sprzedanej wejściówki Legia Warszawa przekaże złotówkę. Gdy na mecz przyjedzie 25 tys. widzów, organizacja dostanie dwa złote z każdego biletu, przy 29 tys. sprzedanych biletów suma ta wzrośnie do 5 zł.

Niestety, pierwszy mecz nie przyciągnął tłumów. Aby rozpropagować Charytatywną Wiosnę, Legia i Centrum Weterana nagrały więc film promujący spotkanie tej drużyny z Zawiszą Bydgoszcz. Wystąpiło w nim dwóch piłkarzy oraz trzech weteranów poszkodowanych. Film trafi na stronę internetową Legii oraz jej Facebooka i Twittera, a także na Facebooka i Twittera Centrum Weterana.

„Przyjdź 18 kwietnia na mecz z Zawiszą”, zachęca piłkarz Michał Kucharczyk, który pochodzi z wojskowej rodziny. „Razem wspieramy weteranów”, apeluje napastnik Legii Marek Saganowski. Poszkodowani weterani wyjaśniają z kolei, dlaczego to wsparcie jest takie ważne.

„Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju wspiera rannych żołnierzy: dofinansowuje rehabilitację oraz wsparcie psychologiczne”, mówi st. kpr. Krzysztof Polusik z 2 Mazowieckiego Pułku Saperów, kierow-

ca-saper, który w Afganistanie, w wyniku ostrzału kolumny pojazdów, stracił prawą nogę.

Kpr. Tomasz Roźniatowski z Dowództwa Operacyjnego RSZ – podczas IX zmiany PKW transporter opancerzony wywrócony wybuchem miny pułapki zmiażdżył mu rękę – dodaje: „Stowarzyszenie przekazuje pieniądze na leczenie, niezbędny sprzęt rehabilitacyjny lub protezy utraconych na misji kończyn”.

CIĄG DALSZY

Każda z organizacji określiła, na co przeznaczy zebrane pieniądze. „Chcielibyśmy wesprzeć warsztaty psychologiczne, które organizujemy dla rodzin poległych żołnierzy. W tym roku planujemy dwie takie imprezy: w czerwcu w Giżycku i w sierpniu niedaleko Kołobrzegu”, mówi Monika Nosek, przewodnicząca Stowarzyszenia Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość”.

Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju wyznaczyło trzy cele, zależnie od tego, jaka suma wpłynie na ich konto. „Jeśli będzie ona niewielka, pieniądze przeznaczymy na dofinansowanie turnusu rehabilitacyjnego w Mrągowie”, mówi Tomasz Kloc, prezes zarządu głównego Stowarzyszenia. „Gdy na mecz przyjdzie więcej kibiców, pieniądze wydamy na zakup rowerów dla weteranów poszkodowanych”. Rower dla osoby, która straciła nogi, kosztuje nawet 20 tys. zł, rowery dla weteranów mających problemy z kręgosłupem, wyposażone dodatkowo w napęd elektryczny, to wydatek kilku tysięcy złotych. Trzeci cel, który wyznaczyło Stowarzyszenie, to wariant optymistyczny, zakładający, że 18 kwietnia stadion Legii niemal do ostatniego miejsca wypełnią kibice. Wtedy, jak mówi Tomasz Kloc, „włączymy się w akcję społeczną promującą szacunek dla weteranów”.

„Dziękujemy Legii Warszawa za wsparcie weteranów oraz rodzin poległych żołnierzy”, mówi w spocie ppłk Leszek Stępień, dyrektor Centrum Weterana Działań poza Granicami Państwa.



„Razem wspieramy weteranów”, apeluje napastnik Legii Marek Saganowski.

Partnerzy Charytatywnej Wiosny Legii: UNICEF, Muzeum Powstania Warszawskiego oraz stowarzyszenia powstańcze, Powiślańska Fundacja Społeczna, Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju oraz Stowarzyszenie Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość”, Stowarzyszenie Kibiców Legii Warszawa.

KATARZYNA ANNA GRONEK, JOANNA ŁATACZ

Czytelnika portret własny

Zdecydowana większość żołnierzy zawodowych czyta miesięcznik „Polska Zbrojna”, a ponad połowa odwiedza stronę dziennika internetowego polska-zbrojna.pl.

We wrześniu i w październiku 2014 roku Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej (WCEO) przeprowadziło badanie opinii wśród 653 żołnierzy zawodowych i 649 żołnierzy Narodowych Sił Rezerwowych w 24 jednostkach wojskowych oraz instytucjach Ministerstwa Obrony Narodowej na terenie całego kraju. Jego tematem była ocena przekazu informacji prasowych dotyczących wojska. Próba badawcza żołnierzy zawodowych była reprezentatywna pod względem rodzajów sił zbrojnych oraz struktury organizacyjnej MON. Przedstawiamy najważniejsze, naszym zdaniem, wyniki badań, z których dowiadujemy się, kto czyta „Polską Zbrojną” i jakich informacji w niej szuka oraz jak popularny jest portal polska-zbrojna.pl.

Zdecydowana większość żołnierzy zawodowych (81%) częściej lub rzadziej czyta miesięcznik „Polska Zbrojna”, a ponad połowa (60%) odwiedza stronę dziennika internetowego polska-zbrojna.pl. Oba media cieszą się też dość dużą popularnością wśród żołnierzy Narodowych Sił Rezerwowych. Niemal połowa z nich to czytelnicy miesięcznika oraz portalu (odpowiednio po 47%). Ogólnie jednak w stosunku do 2012 roku liczba żołnierzy zawodowych, którzy czytają

miesięcznik, nieco zmalała (różnica dziewięciu punktów procentowych), ale nadal czyta ją większość z nich (co piąty regularnie). Spadek czytelnictwa prasy wojskowej pozostaje jednak zgodny z tendencjami na rynku cywilnym. Z raportu „Diagnoza społecznych zachowań czytelniczych w obrębie prasy drukowanej i cyfrowej. Nowe platformy dostępu do treści. Transformacja prasy”, opracowanego w roku 2013 przez Millward Brown na zlecenie Izby Wydawców Prasy, wynika bowiem, że poziom czytelnictwa prasy papierowej zmniejsza się z roku na rok. Zdaniem większości Polaków stałoby się jednak bardzo źle, gdyby prasa drukowana zniknęła w ogóle. Jednym z jej atutów jest wygoda lektury.

CO KTO LUBI?

Jaką wersję miesięcznika, papierową czy elektroniczną, wybierają żołnierze, którzy go czytają? Według badania WCEO, papierowa wersja „Polski Zbrojnej” jest bardzo popularna wśród żołnierzy zawodowych. Sięga po nią 90% czytelników z tej grupy. Znacznie rzadziej korzystają oni z formy elektronicznej pisma (11%). Nieco inaczej sytuacja przedstawia się, jeśli chodzi o żołnierzy NSR-u, którzy zadeklarowali czytanie miesięcznika. Co prawda, ponad połowa z nich (66%) się-

ga po wersję papierową gazety, ale po e-wydanie co trzeci (33%). Opisana różnica może wynikać stąd, że żołnierze zawodowi mają łatwiejszy dostęp do tradycyjnego wydania miesięcznika niż żołnierze NSR-u.

Badani z obu grup wyrażają na ogół pozytywne opinie na temat „Polski Zbrojnej”. 72% żołnierzy zawodowych i 76% NSR-owców uważa, że pismo przedstawia tematy aktualne w wojsku. Większość ankietowanych twierdzi, że poruszane kwestie są ważne dla sił zbrojnych. Opinię tę podziela 63% żołnierzy zawodowych i 70% żołnierzy NSR-u. Potrzebne informacje służbowe znajduje w magazynie około 2/5 respondentów deklarujących, że czyta pismo. Ważne jest zatem, aby w „Polsce Zbrojnej” zamieszczać więcej praktycznych informacji, które byłyby przydatne dla żołnierzy w ich codziennej służbie. Obie grupy badanych najbardziej interesują informacje o świadczeniach socjalno-bytowych. Ponadto żołnierze zawodowi są przede wszystkim zainteresowani

sprawami związanymi z funkcjonowaniem ich jednostki lub instytucji wojskowej oraz z przedsięwzięciami planowanymi w wojsku.

Osoby odwiedzające portal są w podobnym stopniu zainteresowane poszczególnymi informacjami na temat wojska, co czytelnicy miesięcznika. Wyjątek stanowią wiadomości o działaniach kierownictwa MON. Korzystający ze strony internetowej nieco częściej interesują się tym zagadnieniem niż czytelnicy pisma. Internet jest zresztą podstawowym medium, z którego większość badanych czerpie informacje o sytuacji w Siłach Zbrojnych RP. Zaglądają do niego w zasadzie codziennie. Prasa wojskowa stanowi natomiast podstawowe źródło informacji o wojsku dla co piątego żołnierza zawodowego i co dziewiątego żołnierza NSR-u.

Jakie działy cieszą się największą popularnością w środowisku wojskowym? Jak wynika z badania, najczęściej czytany przez ankietowanych działem jest „Armia”. Tak twierdzi 84% żołnierzy zawodowych i 81% żołnierzy NSR-u. Pierwsza z omawianych grup zagląda też dość często do „Niezbędnika” (41%), który jest mniej popularny wśród osób pełniących służbę w NSR (23%). W obu grupach popularnością cieszą się zaś takie działy, jak „Arsenał” oraz „Wojny i pokoje” – czyta je niemal co trzeci respondent. Teksty zamieszczane w dziale „Strategie” interesują co piątego żołnierza zawodowego i niemal co czwartego żołnierza NSR-u. Do najrzadziej czytanych działów należą „Horyzonty” (sięga po nie co szósty ankietowany) i „Peryskop” (popularny wśród 10% badanych). Należy dodać, że zdaniem co trzeciego respondenta, „Peryskop” nie wnosi istotnych informacji. Tylko znikomy odsetek uczestników badania z obu grup (po 5%) uznał, że należałoby mu poświęcić więcej miejsca. Pytając o przyczynę takich opinii, które zresztą wymagałyby oddzielnych badań, warto wziąć pod uwagę to, że „Peryskop” najczęściej nie dotyczy bezpośrednio problemów codzienności żołnierzy i ich służby, lecz skupia się na sprawach ogólniejszych, stąd prawdopodobnie jego mniejsza popularność wśród czytelników. Żołnierze zawodowi chcieliby przede wszystkim, żeby rozszerzyć działy „Armia” i „Niezbędnik”. Oczekuje tego niemal 2/5 z nich. Więcej tekstów w pierwszym z wymienionych działów powinno być zamieszczanych również zdaniem 44% żołnierzy NSR-u.

Popularność poszczególnych działów lub jej brak wynika, jak można przypuszczać, z zainteresowań środowiska wojskowego. I tak, dział „Armia” dotyczy aktualnych wydarzeń w wojsku, sytuacji żołnierzy i ich codziennej służby. „Niezbędnik” zawiera porady prawne i informacje praktyczne dla żołnierzy. Miłośnicy uzbrojenia, sprzętu wojskowego i roz-



PRASA WOJSKOWA STANOWI PODSTAWOWE ŹRÓDŁO INFORMACJI O WOJSKU DLA CO PIĄTEGO ŻOŁNIERZA ZAWODOWEGO





Sprostanie potrzebom informacyjnym wszystkich grup odbiorców nie jest łatwe, ponieważ tematy, które ich interesują, różnią się od siebie.

wiązań technicznych znajdują wiele ciekawych wiadomości w dziale „Arsenal”.

KTO CZYTA „POLSKĄ ZBROJNĄ”?

Na podstawie badania można też określić, kim są czytelnicy „Polskiej Zbrojnej”. Wśród żołnierzy zawodowych są to najczęściej osoby w wieku 26–35 lat (58%). Co czwarty badany mieści się w przedziale wiekowym 36–45 lat. Staż służby co trzeciego respondenta, który czyta miesięcznik, wynosi od sześciu do dziesięciu lat (36%). Co czwarty służy w wojsku do pięciu lat, a niemal 2/5 czytelników pełni służbę powyżej dziesięciu lat (39%). Osobami najczęściej sięgającymi po magazyn są szeregowi zawodowi (44%) i podoficerowie (32%). Grono czytelników rzadziej tworzą oficerowie młodszy (17%), a najrzadziej – oficerowie starszy (7%). Ponad połowa (54%) pełni służbę w jednostkach lub instytucjach wojskowych położonych na terenie mniejszych miejscowości (na wsi lub w miastach liczących do 100 tys. mieszkańców). Nieco rzadziej czytają „Polską Zbrojną” żołnierze zawodowi służący w większych miastach (46%).

Jak już wspomniano, ponad połowa żołnierzy zawodowych (60%) oraz 47% żołnierzy NSR-u korzysta ze strony internetowej polska-zbrojna.pl. Regularnie, czyli przynajmniej raz w tygodniu lub częściej, robi to niemal co piąty służący zawodowo (18%) oraz 16% żołnierzy NSR-u. Okazjonalnie (dwa razy w miesiącu lub rzadziej) odwiedzają ją 44% żołnierzy zawodowych oraz co trzeci pełniący służbę w NSR (33%). Warto podkreślić, że w porównaniu do danych z roku 2013 popularność dziennika internetowego wśród żołnierzy zawodowych nieco wzrosła (o pięć punktów procentowych).

Ponad połowa korzystających ze strony polska-zbrojna.pl (52% żołnierzy zawodowych oraz 54% pełniących służbę w NSR) znajduje tu potrzebne dla siebie informacje. Czasami odnajduje je 42% pełniących służbę zawodowo i 41% żołnierzy NSR-u. Tylko nieliczni badani twierdzą, że takich informacji w ogóle nie ma na stronie dziennika internetowego. Warto zauważyć, że sprostanie potrzebom informacyjnym tych grup nie jest łatwe, ponieważ tematy, które je interesują,

różnią się od siebie. Teksty zamieszczane w dzienniku internetowym powinny uwzględniać dziedziny zainteresowań zarówno jednych, jak i drugich. Jak wynika z ostatniego badania, żołnierze zawodowi częściej niż w roku 2013 deklarują, że na stronie polska-zbrojna.pl odnajdują potrzebne dla siebie wiadomości (różnica 14 punktów procentowych). Pokazuje to, w jaki sposób portal zmienił się przez ten czas, dążąc do tego, żeby sprostać oczekiwaniom swoich czytelników. Trzeba mieć nadzieję, że ten trend będzie się utrzymywał.

Podobnie jak w wypadku miesięcznika, najpopularniejszym działem jest „Armia”. Czyta go 58% żołnierzy zawodowych i 63% służących w NSR, którzy zadeklarowali korzystanie z portalu. Dużą popularnością cieszy się również dział „Misje” (odpowiednio 41% oraz 44%). Około 1/3 żołnierzy zawodowych, którzy odwiedzają portal, czyta działy: „Sprzęt”, „Prawo” oraz „Z jednostek”. W grupie służących w NSR taki wynik osiągnęły „Świat” i „Poligon”. W porównaniu do deklaracji żołnierzy zawodowych z roku 2013, nastąpił wzrost czytelnictwa większości działów dziennika internetowego polska-zbrojna.pl. Dotyczy to przede wszystkim „Armii” (różnica 14 punktów procentowych). Wyjątek stanowi zmniejszenie zainteresowania działami: „Sprzęt”, „Prawo”, „Materiały wideo”,

„Świat” i „Społeczność”.

Jakie tematy powinny być poruszane na resortowych portalach internetowych? Zdaniem żołnierzy, którzy pełnią służbę zawodowo, powinny one zawierać informacje dotyczące ich służby i sytuacji społeczno-zawodowej. Respondentów z tej grupy interesują też kwestie prawne (np. zmiany w ustawach czy sposobie interpretacji przepisów), wiadomości o przyszłości polskiego wojska i żołnierzy, sprawy kadrowe, szkoleniowe, socjalne i finansowe. Żołnierze NSR-u na resortowych portalach poszukują przede wszystkim informacji na temat wolnych stanowisk i naboru do wojska. ■

AUTORKI BADANIA I JEGO PODSUMOWANIA
SĄ SPECJALISTAMI WOJSKOWEGO BIURA BADAŃ
SPOŁECZNYCH WOJSKOWEGO CENTRUM
EDUKACJI OBYWATELSKIEJ.

ZDANIEM ŻOŁNIERZY, NA RESORTOWYCH PORTALACH INTERNETOWYCH POWINNY PRZEWAŻAĆ INFORMACJE DOTYCZĄCE ICH SŁUŻBY I SYTUACJI SPOŁECZNO- ZAWODOWEJ



NOC MUZEÓW W CENTRUM WETERANA

www.centrum-weterana.mon.gov.pl

00-909 Warszawa, ul. Puławska 6a

facebook.com/CentrumWeterana tel. 261-842-082



16/17 maja w ramach Nocy Muzeów Centrum Weterana Działań Poza Granicami Państwa po raz pierwszy zaprasza do nocnego zwiedzania. Odwiedzający będą mogli m.in. zapoznać się z historią działań Wojska Polskiego poza granicami kraju, oddać hołd poległym, a także obejrzeć pamiątki zgromadzone w Sali Tradycji. Goście będą mieli również szansę zapoznać się ze strukturą i zadaniami nowej instytucji.

16 maja 2015 (sobota) g. 19:00 (do godz. 1.00 w nocy)
Centrum Weterana Działań Poza Granicami Państwa, ul. Puławska 6a

WSTĘP WOLNY

Zwiedzanie odbywać się będzie w 30 osobowych grupach pod opieką pracowników Centrum Weterana.

Spotkanie będzie także okazją do bezpośredniej rozmowy z Weteranami.

ANNA DĄBROWSKA

Katyńskie nekropolie

Na czterech cmentarzach
pochowano ponad 18 tys.
pomordowanych
Polaków.

Szef NKWD Ławrientij Beria 2 marca 1940 roku skierował do Józefa Stalina tajne pismo. Stwierdzał w nim, że większość polskich jeńców i więźniów to zatwardziali, nierokujący wrogowie władzy sowieckiej. Wnioskował o zastosowanie wobec nich, bez przedstawiania zarzutów, najwyższego wymiaru kary – rozstrzelania.

TRANSPORTY ŚMIERCI

Dokument dotyczył ponad 14,7 tys. polskich jeńców oraz 11 tys. cywilnych obywateli, stanowiących elitę międzywojennej Polski. Po 17 września 1939 roku znaleźli się oni w niewoli sowieckiej i zostali umieszczeni w trzech obozach specjalnych oraz więzieniach NKWD na terenach sowieckiej Ukrainy i Białorusi.

Po podpisaniu przez Stalina pisma, Biuro Polityczne Komitetu Centralnego WKP(b) Związku Sowieckiego podjęło 5 marca 1940 roku decyzję o wymordowaniu Polaków. 3 kwietnia rozpoczęto likwidację obozu w Kozielsku, a dwa dni później w Starobielsku i Ostaszkowie. W kolejnych tygodniach jeńcy byli wywożeni grupami do miejsc kaźni, gdzie funkcjonariusze NKWD zabijali ich strzałem w tył głowy.

Oficerów transportowano z Kozielska pociągami do stacji Gniezdowo, a następnie samochodami do uroczyska Kozie Góry w Lesie Katyńskim. Do 12 maja zamordowano tam 4421 jeńców. Polaków przywiezionych ze Starobielska zabijano nocą w piwnicach siedziby NKWD w Charkowie.



Zastrzelono tam ponad 3,8 tys. wojskowych i 500 cywilów. Przeszło 6,3 tys. jeńców z obozu w Ostaszkowie, głównie policjantów i funkcjonariuszy Korpusu Ochrony Pogranicza, wożono kolejną do Kalinina (obecnie Twer), gdzie zabijano ich w podziemiach budynku NKWD. Likwidacja trwała do 19 maja.

Tej samej wiosny 3435 polskich obywateli przetrzymywanych na terenach zachodniej Ukrainy przewieziono do Kijowa i rozstrzelano w tamtejszych więzieniach. Na Białorusi zamordowano około 3870 Polaków, których groby dotąd nie zostały znalezione. W sumie zginęło blisko 22 tys. Polaków, w tym 14,7 tys. jeńców. Zabito oficerów, policjantów, funkcjonariuszy Straży Granicznej i Służby Więziennej, naukowców, lekarzy, inżynierów, duchownych i ziemian.

LEŚNE GROBY

Zamordowanych zakopywano w leśnych dołach. W Katyniu pogrzebano ich na miejscu w ośmiu masowych grobach. Z Charkowa zwłoki przewożono na teren podmiejskiego parku leśnego w Piatichatkach. Zabitych w Kalininie zakopano w 23 masowych grobach na należącym do NKWD terenie leśnym koło wsi Miednoje. Ciała ofiar rozstrzelanych w kijowskich więzieniach transportowano z kolei ciężarówkami albo tramwajami pod miasto nieopodal wioski Bykownia.

W 1943 roku Niemcy odkryli miejsce ukrycia zwłok w Lesie Katyńskim. Pierwszy cmentarz powstał tam po zakończe-

NA WSZYSTKICH CMENTARZACH CENTRALNYM PUNKTEM JEST BRAMA PAMIĘCI Z NAZWISKAMI SPOCZYWAJĄ- CYCH TAM OFIAR

niu niemieckich ekshumacji. Władze ZSRR uchylały się jednak od odpowiedzialności za zbrodnię, twierdząc, że dokonała jej III Rzesza. W 1978 roku w Katyniu sowieci wybudowali obelisk z napisem: „Ofiarom faszyzmu – oficerom polskim rozstrzelanym przez hitlerowców w 1941 roku”.

Także w Bykowni w latach siedemdziesiątych przeprowadzono prace ekshumacyjne, a znalezione szczątki po- grzebano we wspólnej mogile. „Tutaj pochowano 6320 so- wieckich żołnierzy, partyzantów, działaczy podziemia, osób cywilnych, zakatowanych przez faszystowskich oku- pantów w latach 1941–1945”, głosił napis na pomniku.



Porozumienie o budowie pierwszych cmentarzy katyńskich strona polska i rosyjska podpisały w 1995 roku.

KRZYSZTOF KOWALCZYK (2)

Dopiero w 1990 roku władze radzieckie oficjalnie przyznały, że zamordowanie Polaków było jedną z ciężkich zbrodni stalinizmu. Pierwsze prace ekshumacyjne, sondażowe i topograficzne na terenach zbiorowych mogił ruszyły rok później. Badania trwały do połowy lat dziewięćdziesiątych, a prowadzili je polscy archeolodzy, antropolodzy i specjaliści medycyny sądowej pod kierunkiem pracowników Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

W Katyniu odnaleziono między innymi szczątki generałów Bronisława Bohatyrewicza i Mieczysława Smorawińskiego. W Miednoje zlokalizowano masowe groby polskich policjantów z obozu w Ostaszkowie. W Charkowie w 15 wielkich grobach odkryto szczątki ponad 4,3 tys. Polaków, a w 60 mniejszych około 2,8 tys. mieszkańców Charkowa i okolic. Były to ofiary stalinowskiego terroru zamordowane w latach 1937–1938.

TYSIĄCE OFIAR

Strona polska i rosyjska podpisały 25 marca 1995 roku dokument o budowie polskich cmentarzy wojennych w Katyniu i Miednoje. Kamienie węgielne wmurował tam w czerwcu tegoż roku prezydent Lech Wałęsa. W Charkowie z kolei akt erekcyjny wbudowali 27 czerwca 1998 roku prezydenci Polski i Ukrainy Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma.

ROPWiM rozpisała konkurs na projekt zagospodarowania cmentarzy, który wygrała koncepcja zespołu kierowanego przez rzeźbiarza Zdzisława Podkasa z Państwowej Wyższej →

Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku i Andrzeja Sołygę z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Współpracowali z nimi architekci Wiesław i Jacek Synakiewiczowie.

Rozpoczęte wiosną 1999 roku prace budowlane trwały około roku. Wykonywały je polskie firmy ze środków przekazanych przez nasz rząd i Rodziny Katyńskie z całej Polski. Cmentarz w Charkowie otwarto i poświęcono 17 czerwca 2000 roku, w Katyniu – 28 lipca, a w Miednoje – 2 września.

W Bykowni poszukiwania polskich ofiar rozpoczęto w 2001 roku. Po odnalezieniu tam szczątków potwierdzono, że ofiarami byli Polacy. Możliwość wybudowania polskiego cmentarza wojennego pojawiła się w drugiej połowie 2010 roku dzięki przychylniej postawie nowych władz Ukrainy.

Konkurs na projekt architektoniczny wygrał zespół autorów z firm Air Projekt oraz Moderau Art. Ich propozycja nawiązywała do koncepcji zmarłego w 2006 roku Zdzisława Pidka. Kamień węgielny wmurowali w Bykowni jesienią 2011 roku prezydenci Bronisław Komorowski i Wiktor Janukowycz. Obaj politycy uczestniczyli też rok później w otwarciu cmentarza.

DZWON PAMIĘCI

Na cmentarzu w Katyniu, obejmującym obszar 1,4 ha, znajduje się sześć grobów zbiorowych oznaczonych dużymi krzyżami i dwa indywidualne generałów Bohaterewicza i Smorawińskiego. „Doły śmierci”, do których wrzucono ciała ofiar, zaznaczono żeliwnymi płytami. Na terenie nekropolii w Miednoje zlokalizowano 25 zbiorowych mogił. Na każdej ustawiono 8-metrowy krzyż, a ich obrysy zaznaczono nakładającymi się żeliwnymi płytami.

Mogiły na Cmentarzu Ofiar Totalitaryzmu w Charkowie uformowano w kurhany pokryte czarną bazaltową kostką z wyrastającymi z niej żeliwnymi krzyżami rzymskokatolickimi i prawosławnymi. Obok polskiego cmentarza znajduje się nekropolia obywateli Ukrainy. Podobnie rozwiązano kwestię Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni. Jest on częścią Memoriału Ofiar Totalitaryzmu Sowieckiego, na którym pochowano szczątki pomordowanych w latach trzydziestych XX wieku. Liczbę spoczywających tam osób, wśród których największą grupę stanowią Ukraińcy, szacuje się na 100–120 tys.

Na wszystkich polskich cmentarzach centralnym punktem jest brama pamięci. Tworzy ją ściana z nazwiskami spoczywających tam ofiar, krzyż i stojący przed ścianą ołtarz, przy którym są odprawiane nabożeństwa różnych obrządków. Na terenie nekropolii umieszczono też symbole religii, które wyznawali pomordowani obywatele wielowyznaniowej II Rzeczypospolitej – chrześcijaństwa, prawosławia, islamu i judaizmu, oraz płaskorzeźby przedstawiające Krzyż Kampanii Wrześniowej i krzyż Virtuti Militari.

Zamordowanym poświęcono także indywidualne imienne epitafia z danymi osobowymi. Rzędy pojedynczych tabliczek zawierają imię i nazwisko ofiary, jej stopień wojskowy, datę i miejsce urodzenia, przydział służbowy, zawód lub funkcję. O zbrodni, której nie ukryła ziemia, przypomina też stłumiony dźwięk zawieszonych w podziemnych niszach dzwonów pamięci. ■

Smuga cienia

Ku pamięci gen. bryg. pil. Jerzego Rakowskiego

Odszedł od nas po ciężkiej chorobie. Urodził się 12 lutego 1932 roku. Od wczesnych lat młodości marzył o lotnictwie i karierze pilota. Spełnił te pragnienia w 1950 roku, wstępując do Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Po jej ukończeniu w stopniu podporucznika realizował swoje ambicje w pułkach lotniczych Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Tam zdobywał kolejne szlify oficerskie ukoronowane stopniem generała brygady.

Systematycznie doskonalił swoje umiejętności pilotowania samolotów, a po uzyskaniu uprawnień instruktorskich przekazywał je młodym adeptom lotnictwa.

W swojej lotniczej drodze dowodził kluczem, eskadrą, pułkiem i 2 Korpusem Obrony Powietrznej Kraju w Bydgoszczy. Ci, którzy mieli szczęście spotkać gen. Jerzego Rakowskiego, wiedzą dobrze, że była to osobowość nieprzeciętna. Choć wiele wymagał od ludzi – jeszcze więcej od siebie – to do końca życia był im niezwykle przychylny.

Osiągnął wiele sukcesów, za które został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i wieloma medalami resortowymi. Pragnął, by polski pilot był postrzegany jako obrońca ojczystego nieba, a biało-czerwona szachownica zajmowała czołowe, należne jej miejsce w światowym lotnictwie.

Żegnamy Cię, Drogi Panie Generale
– pozostaniesz na zawsze w naszej pamięci.

Koledzy ze Stowarzyszenia Seniorów
Lotnictwa Wojskowego RP

Naszemu Koledze
ppłk. Zbigniewowi Dębskiemu

wyrazy szczerego współczucia
i głębokiego żalu z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanka i koledzy
z Oddziału Jednostek Centralnego Podporządkowania
Zarządu Organizacji i Uzupełnień – P1.

Panu ppłk. Januszowi Pieniążkowi

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Teściowej

składają kadra i pracownicy wojska
Rejonowego Zarządu Infrastruktury w Zielonej Górze.

POŻEGNANIA

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o przedwczesnej śmierci naszej koleżanki

**kmr por. w st. spocz. dr n. med.
Małgorzaty Żychlińskiej,**

byłej adiunkt Wydziału Dowodzenia i Operacji
Morskich Akademii Marynarki Wojennej.

Wyrazy szczerego współczucia
dla pogrążonych w żalu

Męża i Dzieci

składają członkinie Rady ds. Kobiet w SZRP.

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy,
że 10.02.2015 roku zmarł

prof. dr hab. Władysław Górski

(22.01.1917 r. – 10 .02. 2015 r.).

Płk w st. spocz., Honorowy Żołnierz 12 Szczecińskiej
Dywizji Zmechanizowanej oraz ojciec chrzestny
sztabu 3 Pułku Przeciwlotniczego
im. płk. dypl. Włodzimierza Juliusza Ludwiga.
Odszedł od nas żołnierz i oficer Samodzielnej Brygady
Strzelców Karpackich w latach 1941–1946.
Szanowany naukowiec, wybitny specjalista prawa
transportowego, doktor honoris causa Uniwersytetu
Szczecińskiego.

Szlachetny człowiek, pełen skromności i pogody ducha,
obdarzony humorem i dystansem wobec własnej osoby
oraz wielkiej życzliwości dla środowiska wojskowego.

Odnaczony wieloma medalami wojskowymi
i cywilnymi, zarówno polskimi, jak i zagranicznymi.

Rodzinie i Najbliższym

wyrazy najgłębszego współczucia składają
żołnierze 3 Pułku Przeciwlotniczego
im. płk. dypl. Włodzimierza Juliusza Ludwiga.

Panu mjr. Pawłowi Myczkowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Taty

składają dowódca oraz koleżanki i koledzy
z dowództwa 9 Brygady Wsparcia Dowodzenia
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią im się płaci”.
Wisława Szymborska

**Panu st. chor. sztab.
Stanisławowi Szymańskiemu**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Taty

składają dowódca oraz koleżanki i koledzy
z dowództwa 9 Brygady Wsparcia Dowodzenia
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

**Panu pułkownikowi
Tomaszowi Łańcuckiemu**

najszczerze wyrazy żalu i współczucia
w trudnych chwilach po śmierci

Mamy

składają żołnierze oraz pracownicy byłej Delegatury
Departamentu Kontroli w Krakowie.

**Panu ppłk. Czesławowi Goleniowi
oraz Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają rektor-komendant, senat oraz społeczność
Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych imienia
Generała Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu.

**Panu pułkownikowi
Tomaszowi Łańcuckiemu**

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli w Bydgoszczy.

| POŻEGNANIA |

Wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje

Panu bosm.
Arkadiuszowi Jabłonowskiemu
z powodu śmierci

Babci
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
wojska Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Pani Irenie Bocian
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Męża
ze słowami otuchy dla całej
Rodziny
w obliczu bolesnej straty
składają dyrekcja, żołnierze i pracownicy
Departamentu Wychowania i Promocji Obronności
MON.

Kochani
Mario i Ryszardzie Olszewscy.

Wiadomość o śmierci
Waszego Syna
jest dla nas wszystkich dramatyczna,
niesprawiedliwa i po prostu niepojęta.

W tych trudnych chwilach jesteśmy z Wami
w Waszym bólu i cierpieniu.

Bogdan i Małgorzata, Wojtek i Barbara, Adam i Grażyna.

Panu prokuratorowi
pułkownikowi Waldemarowi Dubasowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia
i szczere kondolencje
z powodu śmierci

Ojca
składają naczelny prokurator wojskowy, prokuratorzy
i urzędnicy Naczelnej Prokuratury Wojskowej.

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy,
że 19 lutego 2015 roku odszedł od nas nagle

mł. chor. Andrzej Adamczyk
z Jednostki Wojskowej Komandosów.

Rodzinie i Bliskim
składamy wyrazy najszczerzego współczucia.
Żegnamy wspaniałego żołnierza i życzliwego ludziom
Człowieka.

Dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
oraz żołnierze i pracownicy wojska Dowództwa
Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych

Gen. Ryszardowi Olszewskiemu
najszczerze wyrazy żalu i współczucia
w trudnych chwilach po śmierci

Syna
składają kierownictwo, kadra i pracownicy cywilni
Departamentu Kadr MON.

Panu pułkownikowi
Tomaszowi Łańcuckiemu
wyrazy głębokiego żalu
i szczerzego współczucia z powodu śmierci

Mamy
składają żołnierze oraz pracownicy
Departamentu Kontroli Ministerstwa Obrony Narodowej.

Panu st. chor. Marcinowi Wołowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
i najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Matki
składają koleżanka i koledzy
z Placówki Żandarmerii Wojskowej w Morągu.

Panu ppłk. dypl. Jarosławowi Niemcowi
wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere kondolencje z powodu śmierci

Teścia
składa szef Zarządu
Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych
Inspektoratu Wojsk Lądowych Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

|POŻEGNANIA|

Z wielkim żalem żegnamy
płk. mgr. inż. Tadeusza Lecha
wieloletniego szefa służby zakwaterowania
i budownictwa
Śląskiego Okręgu Wojskowego.

Koleżanki i koledzy z Koła Związku Żołnierzy WP
„Budowlani” we Wrocławiu

Pograżeni w głębokim żalu i smutku żegnamy
naszego Kolegę
st. sierż. Rafała Pawelca.

Łączymy się w ból
z Rodziną
i przekazujemy słowa otuchy.

Komendant, żołnierze oraz pracownicy wojska
Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Krakowie

Panu ppłk. Tomaszowi Ciechackiemu,

Drogiemu Koledze,
wyrazy największego współczucia
i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Żony

składają zastępcy szefa WSzW
oraz szefowie wydziałów operacyjnych
wojewódzkich sztabów wojskowych.

Panu pułkownikowi Piotrowi Górskiemu

wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy
Oddziału Logistycznych Systemów Informatycznych
i Indeksacji IWspSZ.

Płk. Markowi Truskiewiczowi

najszczerze wyrazy żalu i współczucia
w trudnych chwilach po śmierci

Ojca

składają kierownictwo, kadra i pracownicy cywilni
Departamentu Kadr MON.

Panu ppłk. Krzysztofowi Idec

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Szwagra

składają żołnierze i pracownicy
25 Wojskowego Oddziału Gospodarczego.

Panu mjr. Mirosławowi Wolskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Kielcach.

Pani Joannie Usnarskiej

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają kadra kierowniczą, oficerowie i pracownicy
Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON.

Komendantowi Oddziału Specjalnego
Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim

Panu płk. Tomaszowi Szoplikowi

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Oddziału Specjalnego ŻW w Warszawie.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia

Panu Dariuszowi Kapicy

oraz Jego Rodzinie

z powodu śmierci

Ojca

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpowodziowej.

| POŻEGNANIA |

Z nieskrywanym smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci

st. sierż. Rafała Pawelca,
żołnierza Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Krakowie.

W obliczu tej tragedii i niepowetowanej straty
łączymy się w bólu

z Rodziną i Najbliższymi.

Komendant główny, żołnierze i pracownicy wojska
Żandarmerii Wojskowej

Panu ppłk. dypl.
Jarosławowi Niemcowi

oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego, szczerego współczucia
i żalu z powodu śmierci

Teścia

składają żołnierze i pracownicy wojska
Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych
Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani Beacie Ligowskiej

oraz Jej Najbliższym
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy
JW 2286 w Opolu.

Panu kapitanowi
Arturowi Kosmaczewskiemu,
szefowi Delegatury Opole
Wojskowej Komendy Transportu Katowice,

oraz Jego Rodzinie
najszczerze wyrazy współczucia,
z powodu śmierci

Teścia

składają komendant, żołnierze i pracownicy wojska
Wojskowej Komendy Transportu Katowice.

Panu ppłk. Jackowi Gacowi

wyrazy współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa
oraz jednostek wojskowych DGW.

Wyrazy głębokiego współczucia

Panu gen. broni w st. sp. pil. dr. hab.

Ryszardowi Olszewskiemu,

prof. Akademii Obrony Narodowej,

i Jego Rodzinie

z powodu śmierci

syna Marcina

składają kierownictwo, kadra, pracownicy i studenci
Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego AON.

Panu mjr. Grzegorzowi Nowakowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Gdyni.

Pani Małgorzacie Hesse,

pełnomocnikowi ds. ochrony informacji niejawnych,

oraz Jej Rodzinie

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, kadra i pracownicy 2 Rejonu
Wsparcia Teleinformatycznego Sił Powietrznych.

Panu Andrzejowi Węglińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

**BOHDAN
TOMASZEWSKI**
(1921–2015)

ANDRZEJ FAŁARA

Zmierzch nad Wimbledonem

Ostatnimi czasy wypowiadał się nie tylko o sporcie. Na łamach „Polski Zbrojnej” mówił kilka miesięcy temu o tradycjach patriotycznych.

Wydawało się, że jest nieśmiertelny. Inni przechodzili na emeryturę, umierali, a on trwał. Wciąż był sprawozdawcą tenisowym w telewizji Polsat, wciąż zabierał głos w Polskim Radiu w ważnych dla sportu sprawach. Dziennikarze starsi i młodszy ustawiali się do niego w kolejce po wywiad. Był jak Kolos Rodyjski – punkt odniesienia dla żeglarzy w starożytnej Grecji.

CENIŁ PROSTE ZASADY

Od młodości fascynował go sport i to mu pozostało do ostatnich dni. Grał nieźle w tenisa, zdobył nawet mistrzostwo Polski juniorów w deblu. Ale najprawdziwszy talent wykazał dopiero wtedy, gdy z mikrofonem w ręku przyszło mu opowiadać o sportowej rywalizacji. W jego radiowych opowieściach, czy to ze stadionów lekkoatletycznych, czy tras kolarskich, czy ukochanych tenisowych kortów, sport stawał się czymś lepszym, niż był w rzeczywistości. Bohaterowie jego sprawozdań odnosili zwycięstwa w czystej walce, a porażki przyjmowali z godnością.

To prawda, Bohdan Tomaszewski idealizował sport. Czynił to jednak świadomie. Chciał w ten sposób podnieść tę najpopularniejszą na świecie rozrywkę na wyższy poziom. Chciał poniekąd wymusić na uczestnikach sportowej rywalizacji te szlachetne zachowania, jakie im przypisywał.

Ostatnimi czasy wypowiadał się nie tylko o sporcie. Na łamach „Polski Zbrojnej” mówił kilka miesięcy temu o tradycjach patriotycznych. „Wpajano nam je obok prostych zasad,

takich jak: nie garb się, jedz ładnie, szanuj starszych. Może dzięki temu traktowaliśmy to jako coś naturalnego. Rodzice przekazywali nam wiedzę historyczną, ale prawdę powiedział, nie musieli tego robić, bo my dowiadaliśmy się wszystkiego z książek”, opowiadał, gdy siedzieliśmy przy kawie w jego mieszkaniu na Dzikiej w Warszawie.

MAŁY NA WOJNIE

Już na początku wojny został zaprzysiężony jako członek Związku Walki Zbrojnej, który potem przekształcił się w Armię Krajową. Nosił pseudonim „Mały”. Działał w grupie tenisistów razem z braćmi Ignacym i Ksawerym Tłoczyńskimi, Czesławem Spychałą oraz Jerzym Gottschalkiem. Przenosili broń i ulotki. Wszyscy wzięli udział w powstaniu warszawskim.

Obchody 70. rocznicy powstania oglądał już tylko w telewizji. Nie czuł się na tyle dobrze, by pójść na plac Piłsudskiego. Nam, patrzącym na niego z boku, wydawał się nieśmiertelny, ale on sam coraz częściej wspominał o kresie, o ostatniej prostej. W rozmowie z dziennikarzem telewizyjnym Włodzimierzem Szaranowiczem stwierdził, że jedyną rzeczą, z którą nie może się pogodzić, jest przemijanie: „Nie mogę w to uwierzyć. Uważam, że to nieprawda. Nie dlatego, że czuję się taki kozak. Mnie bardzo wiele rzeczy dolega”.

Mówił, że radzenie sobie ze starością kojarzy mu się ze sportem: „Jak zrobić, żeby przegrać nieupokorzonym? Żeby trzymać fason”. To był jego Wimbledon i ostatnia piłka na korcie centralnym. ■



ZAMKI

Rezydencja na wyspie

To jedna z najpiękniejszych gotycko-renesansowych budowli magnackich.

W 2013 roku w Szydłowiec rozpoczął się wielki remont tamtejszego zamku. Renowacji poddano wieżę, mur kurtynowy, loggię, kaplicę i most. Dziedziniec zyskał nową nawierzchnię, a sama warownia nową elewację. Wymieniono okna, dachy, odrestaurowano kasetonowe sufity i fragmenty malowideł ściennych. Prace kosztowały

ponad 8,7 mln zł, z czego dużą część dofinansowała Unia Europejska. Był to pierwszy od lat sześćdziesiątych XX wieku tak duży remont budowli liczącej już ponad 500 lat.

Wzniósł ją w drugiej połowie XV wieku marszałek dworu Stanisław Szydłowiecki. W rozlewisku rzeki Korzeniówki, gdzie wcześniej istniał drewniano-

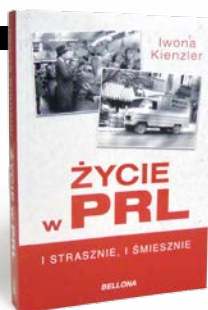
-ziemny gród warowny, chroniący przeprawy na rzece, wybudował murewany zamek. Składał się on z budynku mieszkalnego i kwadratowej wieży bramnej połączonych murami. Stał na sztucznej wyspie otoczonej fosą, wśród bagien i mokradeł.

Na początku kolejnego stulecia syn Stanisława – Mikołaj, kasztelan radomski

KSIĄŻKA

Czasy słusznie minione?

Smutny, ale dobitnie ukazujący realia Polski lat osiemdziesiątych i kryzysu zaopatrzeniowego w kraju w tamtym okresie dowcip brzmiał: „Jaki podpis znajdzie się pod pomnikiem Matki Polki? Pani tu nie



wywołuje nostalgię?

Iwona Kienzler, w książce „Życie w PRL. I straszne, i śmieszne” w prz zabawny i jednocześnie wyczerpujący sposób przedstawia życie i realia Pol-

stała...”. Czy Polska Ludowa była krajem niemalże tak surrealistycznym, jak w komediach Barei i przez 45 lat synonimem zniewolenia sowieckiego, czy miała swoją magię, która dziś u wielu ludzi

skiej Rzeczypospolitej Ludowej. Autorka porusza niemalże każdy aspekt życia codziennego „obywateli” państwa. Nie zabraknie historii o popularnych papierosach Ekstra Mocne – uzależnieniu dla prawdziwych twardzieli, legend o polskiej wódce, której używali aborygeńscy szamani, czy opowieści o krawatach bikiniarzy, narażonych na pobicie przez młodzieżówki ZMP. To fascynująca podróż przez wszystkie dekady PRL-u. Ta książka powinna być lekturą obowiązkową dla maturzy-

➔ Vademecum

Szydłowiec leży w południowej części województwa mazowieckiego, 27 km od Radomia. Dojechać można tutaj pociągiem lub autobusem z większości miast, w tym Warszawy, Krakowa czy Białegostoku. Muzeum jest otwarte w tygodniu w godzinach 9.00–16.00, w weekendy od 1 kwietnia do 30 września w godzinach 10.00–17.00, a od 1 października do 31 marca od 9.00 do 16.00. W poniedziałki jest nieczynne. Bilet kosztuje 8 zł. W zamku warto zobaczyć pozostałości dawnej świetności – pomieszczenia z drewnianym belkowym stropem, fragment malowideł renesansowych czy polichromowane kasetony. Na razie jednak, w związku z przygotowaniami ekspozycji, muzeum jest nieczynne do odwołania. W Szydłowcu można zanocować w miejscowym hotelu, zająć dzie albo szkolnym schronisku.

i podskarbi koronny, przebudował gotycką budowlę na rezydencję renesansową, pozbawiając ją jednocześnie funkcji obronnych. Powstało skrzydło wschodnie, założono zwierzyniec i ogrody, a wnętrza wyposażono w kamienne portale, polichromowane stropy i ozdobne posadzki.

W 1532 roku Elżbieta Szydłowiecka wniosła zamek w wianie Mikołajowi Radziwiłłowi, marszałkowi wielkiemu litewskiemu. Jego potomkowie – Mikołaj Krzysztof i Albrycht Władysław – dokonali na początku XVII wieku kolejnych modernizacji, przebudowując całość w stylu barokowym. Wzniesiono skrzy-

dło zachodnie i założenie zamknięto od południa murem. Wybudowano też zewnętrzną loggię, jedną z pierwszych takich konstrukcji w Polsce. W podwyższonej wieży bramnej urządzono kaplicę, a w narożnikach budynku powstały dwa tarasy widokowe.

Po bezpotomnej śmierci Macieja Radziwiłła majątek kupiła w 1802 roku Anna z Zamoyskich Sapieżyńska. Kontynuowała zarządzanie wnętrzem w stylu klasycystycznym. Dziś jednym z piękniejszych miejsc jest jej zielony pokój, w którym zachowały się zdobienia na ścianach i malowidła. 6 i 7 lipca 1809 roku w Szydłowcu kwaterowało polskie wojsko, a dowodzący nim książę Józef Poniatowski zatrzymał się na zamku.

Dwadzieścia lat później budowała wraz z przylegającymi dobrami została sprzedana władzom Królestwa Polskiego. Zamek wydzierżawiono Maurycemu Engermanowi, który urządził tu skład piwa. W drugiej połowie XIX wieku warownia została opuszczona i popadła w ruinę. W 1915 roku zdjęto z niej część dachówek, aby pokryć nimi kościół parafialny. Z powodu nieuszczerbego dachu zawaliło się sklepienie i zniszczeniu uległy posadzki.

Pierwsze prace remontowe w zamku zaczęto prowadzić w latach pięćdziesiątych XX wieku. Teraz zakończyły się kolejne i trwają przygotowania do otwarcia nowych wystaw w mieszczącym się tu od 1975 roku Muzeum Instrumentów Ludowych. Zgromadzono w nim ponad 2 tys. eksponatów. W zabytkowych murach będą też ulokowane Szydłowieckie Centrum Kultury i Sportu, Pracownia Historii Szydłowca oraz sale konferencyjne, wystawiennicze i szkoleniowe. ■

ANNA DĄBROWSKA

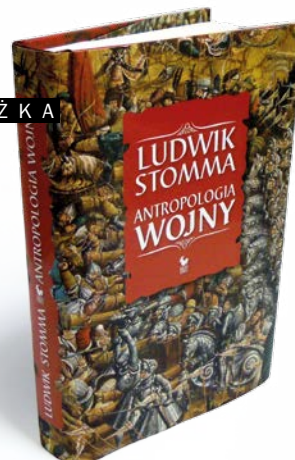
stów zdających egzamin dojrzałości z historii, chociaż starsze pokolenie, pamiętające bardzo dobrze „czar” minionych czasów, na pewno również z przyjemnością po nią sięgnie. Autorka stara się zachować obiektywizm – mimo bardzo wielu negatywnych aspektów życia w tamtych trudnych czasach dostrzega też pozytywne strony, których dziś próżno szukać, jak chociażby to, że więzi i relacje międzyludzkie, nawet między całkiem sobie obcymi osobami, były dużo silniej-

sze niż teraz, gdy każdy jest anonimowy, a znajomości nawiązuje się... na portalach społecznościowych, tam też odbywają się spotkania towarzyskie. Wielką zaletą książki są przytaczane dowcipy, które opisywały niemalże każdy aspekt życia w ludowej ojczyźnie. Czyżbyśmy kiedyś mieli większy dystans do siebie i świata? ■

JAKUB NAWROCKI

Iwona Kienzler, „Życie w PRL. I straszne, i śmieszne”, Bellona, 2015

K S I A Ż K A



Okiem antropologa

Czy wojsko obrosło w pewnego rodzaju mit?

Ludwik Stomma, jak sam pisze we wstępie do najnowszej książki, na żadnej wojnie nie był. Nie przeszkadza mu to jednak w analizie tego fenomenu. Wręcz przeciwnie, bo, jak twierdzi, w jego osądzie „nie będą dominować osobiste pasje, przerażenia, fascynacje”. Uważa, że dzięki temu może patrzeć na nią jak na każde inne zjawisko społeczne. I faktycznie, jak przystało na sprawnego naukowca, niczym asy z rękawa wyciąga argumenty – opisy bitew czy kampanii od starożytności aż po czasy współczesne – aby zręcznie nimi żonglując, pokazać absurd wojny. I o ile trudno się z nim nie zgodzić, że konflikty zbrojne niosą śmierć, spustoszenie i cierpienie, o tyle mogą być irytujące pewne uproszczenia, przytaczanie wydarzeń wyjętych z kontekstu i dostosowywanie faktów do z góry przyjętych tez. Ponadto, jak twierdzi Stomma, zadaniem antropologa kultury jest dziwienie się, tymczasem w „Antropologii wojny” właśnie tego dziwienia się jest zdecydowanie za mało. W imponujący sposób, raz za razem autor rzuca bowiem daty i liczby, przytacza cytaty z literatury pięknej, opowiada anegdoty, ale nie kusi się o głębszą analizę. A szkoda, dlatego że wyznaczył sobie ambitny cel – chce odmitologizować wojnę, bo według niego „wojsko obrasta w mit, w który samo zaczyna wierzyć i skutecznie narzucać go społeczeństwu”. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Ludwik Stomma, „Antropologia wojny”, Iskry, 2014



K S I A Ż K A

[366]
opowieści

Kalendarz wszech czasów

Niezwykła podróż przez wieki,
kontynenty i kultury.

Jakiś czas temu Włodzimierz Kalicki zaczął publikować cykl felietonów zatytułowany „Zdarzyło się dzisiaj”, a następnie „Zdarzyło się wczoraj”. Każdy był poświęcony wydarzeniu z jednego dnia. Teksty te wzbudziły takie zainteresowanie czytelników, że powstał pomysł, aby wydać je w formie książkowej. Część została uzupełniona i poszerzona, niektóre autor napisał specjalnie na potrzeby tej publikacji. Tak oto powstała niezwykła, licząca niemal 1200 stron historia świata. To swoisty kalendarz, na każdy dzień bowiem dostajemy oddzielną opowieść. Nie jest to chronologiczny zapis zdarzeń, Kalicki zaprasza nas w podróż przez wieki, kontynenty i kultury, w której przeskakujemy w czasie. Jednego dnia towarzyszymy Juliuszowi Cezarowi w przygotowaniach do przekroczenia Rubikonu, w następnych zaś poznajemy epizody wojen światowych i zamachów terrorystycznych.

Tematyka tych opowieści też jest różnorodna, od wydarzeń dramatycznych po kulturalne. Śledzimy nagrywanie przez Beatlesów ich debiutanckiej płyty, jesteśmy świadkami drukowania pierwszej polskiej gazety, „Merkurium”, ale też tragicznej śmierci, w wy-

padku samochodowym, Alberta Camusa, zamachu na Al Capone’a, radzieckiej interwencji w Afganistanie, wybuchu powstania listopadowego, odzyskania niepodległości w 1918 roku, inauguracji Filharmonii Warszawskiej czy wreszcie morderstw popełnionych przez Kubę Rozpruwacza. Poznajemy kulisy śmierci Stalina i intrygi jego otoczenia, uczestniczymy w pierwszych nowożytnych igrzyskach olimpijskich w Atenach. Tych opowieści jest 366! Trudno wybrać spośród nich najważniejsze.

Kalicki nie ogranicza się do opisywania faktów. Jest mistrzem w budowaniu nastroju, w dbałości o szczegóły, co sprawia, że przywoływane przez niego historie ożywają i wciągają bez reszty. Choć każda pochodzi często z odległych czasów, a ich tematyka jest tak rozległa, wszystkie łączy wartki sposób opisywania, wciągający czytelnika w wir zdarzeń, których stajemy się nie tylko obserwatorem, lecz często także uczestnikiem. Fascynująca lektura. ■

RENATA GROMSKA

Włodzimierz Kalicki, „Zdarzyło się”, Znak
Horyzont, 2014

K S I A Ż K A

Wystarczy naciśnąć spust

Kruger to człowiek kameleon. Mistrzowsko potrafi dopasować się do każdej sytuacji. W dużej mierze to zasługa wychowania – od małego, wraz ze swoim towarzyszem Cyganem, kształcony w cyrkowych sztuczkach, pewnego dnia dostaje się pod opiekę Mentora, który wykorzystuje niezwykłe umiejętności chłopców. Wkrótce stają się najsprytniejszymi oszustami i złodziejami początku XX wieku. Po

zuchwałym napadzie na bank w Warszawie szajka postanawia zniknąć z oczu policji i rusza na wschód. Tam, wbrew swojej woli i na przekór wszystkim planom, wpada w wir historii – trwa właśnie obrona Lwowa. W dodatku ich śladem rusza tajemniczy, bezwzględny Iwan Kolcow, który ma wobec Krugera własne plany.

Marcin Ciszewski dał się już poznać jako pisarz, historyk i znawca militariów, który z wielką łatwością łączy wątki z przeszłości z czystą sensacją, a często całość opowiada jeszcze w ramie science fiction. Mogliśmy się o tym przekonać w powieściach takich jak „Www.ru2012.pl” czy „Www.1939.com.pl”. W „Krugerze” można znaleźć wszystkie elementy dobrej powieści sensacyjnej. Bohaterowie z krwi i kości, trochę jak z „Vabanku” Juliusza Machulskiego, zmagają się nie tylko z konsekwencjami własnych czynów, lecz także z siłą od nich niezależną – znajdują się w centrum wydarzeń historii Polski XX wieku. Do tego dochodzi wartka akcja, rodzinne tajemnice i zakończenie, które pozostawia niedosyt. Całe szczęście, z nadzieją na ciąg dalszy, bowiem „Kruger. Szakal” to pierwsza część nowej serii. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Marcin Ciszewski „Kruger. Szakal”, Znak, 2014

1% OD PODATKU DOCHODOWEGO



1% OD PODATKU DOCHODOWEGO

wspiera nasze działania pomocowe na rzecz
środowiska rannych i poszkodowanych w misjach
NATO, ONZ i UE oraz rodzin poległych.

KRS 000030 4771

Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach Poza Granicami Kraju działa na rzecz konsolidacji środowiska rannych i poszkodowanych.

Reprezentuje i chroni ich interesy, wspiera potrzebujących i udziela pomocy finansowej.

Dba o dobre imię żołnierzy i pracowników pełniących służbę w polskich kontyngentach wojskowych.

Jego członkami są żołnierze służby czynnej,
żołnierze w stanie spoczynku i pracownicy wojska.

Stowarzyszenie współpracuje z resortem Obrony Narodowej i innymi instytucjami państwowymi oraz organizacjami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się tą problematyką.

*Aby pamiętać o poległych
była wiecej imprez, a występek
premierowskich krewn
doceniany i uszanowany.*

**STOWARZYSZENIE RANNYCH I POSZKODOWANYCH
W MISJACH POZA GRANICAMI KRAJU**

ul. Wawrzyniaka 5, 70-393 Szczecin

zarzad@stowarzyszenierannych.pl • www.stowarzyszenierannych.pl





Skarby z Kraju Warty

Poznański dziennikarz i pisarz Leszek Adamczewski w „Ucieczce przed bombami” kolejny raz podejmuje temat dóbr kultury zagrabionych w trakcie II wojny światowej.

Książka została napisana na podstawie zachowanych dokumentów polskich, niemieckich, rosyjskich i amerykańskich (autor współpracował z Pawłem Piątkiewiczem, dysponującym bogatym zbiorem polskich i zagranicznych dokumentów dotyczących wojennych losów dóbr kultu-

ry). Dzięki precyzyjnym opisom czytelnik przenosi się w sedno wydarzeń i poznaje dzieje zbiorów wywiezionych przez Niemców w głąb Rzeszy z zagrożonych alianckimi bombardowaniami miast – przede wszystkim z okupowanego Poznania, ale także Łodzi, Gniezna i innych. Autor podąża tropem transportów ewakuacyjnych do fortyfikacji międzyrzeckich i kopalni soli w Grasleben, w okolicie Drezna i na Dolny Śląsk. Losy wywiezionych skarbów mieszają się z losami dzieł sztuki transportowanych z Generalnego Gubernatorstwa, obrazów Galerii Drezdeńskiej i zaginionego w bezpośrednim sąsiedztwie Drezna archiwum katyńskiego. Zresztą autor sporo miejsca poświęcił zniszczeniu tego niemieckiego miasta.

Osobny rozdział dotyczy tajemniczej kwatery głównej Führera budowanej w Górach Sowich. W jej okolicach składowano również zabytki poznańskie, a pod koniec wojny znalazły się tam także dzieła z Krakowa, Lwowa i Warszawy. Według niektórych teorii część skarbów pozostała w Górach Sowich do dziś.

PIOTR ZARZYCKI

Leszek Adamczewski, „Ucieczka przed bombami”, Replika, 2015

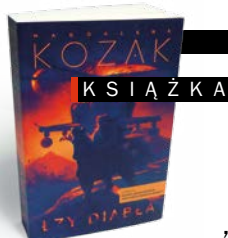
KSIĄŻKA

Żołnierze fortuny

Tę opowieść poświęcił kumpłom od klingi.

Jechał z Jordanii do Bagdadu najniebezpieczniejszą drogą świata, nazywaną autostradą do piekła. Pod opieką miał ekipę telewizyjną. Obok niego w SUV-ie siedział zaufany kierowca – Ahmed. W pewnym momencie dogoniło ich czarne BMW, które obserwował już od dłuższego czasu. Podejrzany samochód zaczął wykonywać dziwne manewry. Jakby bawił się z nimi w kotka i myszkę. W końcu przez uchyloną szybę ktoś puścił w ich kierunku serię z AK. On swojego kałasznikowa cały czas trzymał na kolanach. Kiedy oba samochody zrównały się ze sobą, nie unosząc broni, puścił długą serię. „Wystrzeliwane z broni automatycznej pociski w czasie tysięcznej części sekundy przebiegały się przez nasze drzwi, a potem przez drzwi BMW serii 7, rozrywając tam bez różnicy metal i ludzkie ciała. Patrzyłem, jak eksploduje głowa kierowcy, która z powodu różnicy wysokości pojazdów znalazła się dokładnie na linii strzału”.

To jedna z wielu opowieści Johna Geddesa, która pokazuje, w jakiej rzeczywistości musiał się odnaleźć, kiedy



Ziemia na planecie Dżahan

„Łzy diabła” to niemal lustrzane odbicie świata, który dobrze znamy.

Pierwszy raz z prozą Magdaleny Kozak zetknęłam się kilka lat temu przy okazji trylogii o agentach krwiopijcach „Nocarz”, „Renegat”, „Nikt”. Pomyślałam sobie wtedy, że to takie przyjemne, twarde pisanie. „Łzy diabła”, najnowsze dzieło autorki, też są takie. Konkretnie, czasem bezkompromisowe.

Bohater powieści, Izzat, książę Farii na planecie Dżahan, zostaje wysłany przez ojca na wojnę, gdzie dzięki odważnym

czynom ma zyskać szacunek poddanych. Dla niego to chrzest bojowy, swoisty rytuał, który z chłopca powinien zrobić mężczyznę. Książę, wrzucony w zupełnie inny świat, powoli osiąga dojrzałość. Z cherlawego młodzieniaszka staje się wytrawnym dowódcą i strategiem. Równoległe z losami młodego księcia czytelnik towarzyszy innemu bohaterowi, Znajdzie, przegryzniętemu przez pasterzy mężczyźnie bez przeszłości, który dostaje się na służbę do hrabiego Cienia. Tam

wstępuje do jednostki specjalnej Skorpionów i wkrótce staje się legendą – Mścicielem z pól, o którym są śpiewane pieśni. Losy tych dwóch młodych, dzielnych wojowników prowadzą do naprawdę zaskakującego finału.

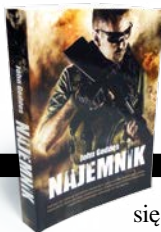
Książki Magdaleny Kozak nie można czytać jak kolejnej powieści fantazy czy science fiction, w oderwaniu od doświadczeń życiowych autorki i współczesnych wydarzeń. Jako historia stricte fantastyczna, „Łzy diabła” nie zrobiłyby na mnie wrażenia. Zbyt wiele w tej powieści znajomych wątków i odniesień, można by więc pomyśleć, że autorka wybrała trochę łatwiejszą drogę, budując świat planety Dżahan na zasadzie lustrzanego odbicia Ziemi. Począwszy od broni i sprzętu, których używają Farjanie, przez procedury, którymi posługują

pracował w Iraku jako żołnierz fortuny, spluwa do wynajęcia lub najemnik – tak bowiem określa się pracowników prywatnych firm wojskowych. Geddes przede wszystkim zajmował się ochroną ekip telewizyjnych lub biznesmenów, którzy przyjeżdżali do ogarniętego chaosem Iraku. Miał znakomite przygotowanie, bo wcześniej służył najpierw w pułku spadochronowym, a następnie w SAS; brał między innymi udział w wojnie na Falklandach, walczył w Irlandii Północnej i uczestniczył w tajnych operacjach na Bliskim Wschodzie i Bałkanach. Po zakończeniu służby, podobnie jak wielu byłych żołnierzy brytyjskich, podjął pracę w prywatnej firmie wojskowej. W 2005 roku zajął się przygotowywaniem tych, którzy chcą pracować w taki sposób jak on w Iraku (szkolił m.in. swojego syna).

John Geddes w „Najemniku” nie tylko opisuje służbę kontraktorów w Iraku, lecz także pokazuje specyfikę tego kraju. Zwraca uwagę na sposoby działania zarówno żołnierzy różnych narodowości, jak i najemników, ze szczególnym uwzględnieniem różnic między Amerykanami i Brytyjczykami. Nie unika też delikatnych tematów, dotyczących problemów osobistych, przez które był o krok od katastrofy. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

John Geddes,
„Najemnik”, Znak, 2014



się żołnierze w swoich działaniach, nawet po elementy krajobrazu. Jednak „Łzy diabła”, przywołujące trochę klimat starych arabskich baśni, trzeba czytać przez pryzmat doświadczeń autorki wyniesionych z jej służby w Afganistanie. Wówczas opowieść o dzielnym księciu nabiera innego wymiaru, stając się alegorią współczesności. Powieść Magdaleny Kozak ma jeszcze jedno przesłanie. Już samo to, kim jest Izzat i kim staje się Znajda zacierają granicę w czarno-białym podziale na dobrych i złych. W rzeczywistości to, po której walczy się stronie, jest mniej ważne niż to, czy w tej walce kieruje się honorem i wyższymi wartościami. ■

JOANNA ROCHOWICZ

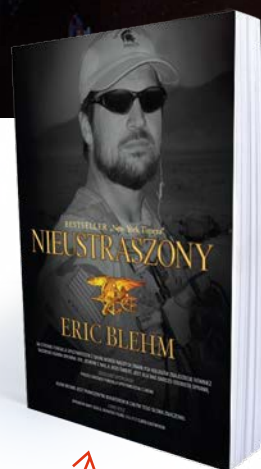
Magdalena Kozak, „Łzy diabła”, Insignis, 2015



POD NASZYM PATRONATEM

O pokonywaniu słabości

To nie jest kolejna typowa książka o żołnierzach Navy SEAL. „Nieustraszone” to opowieść o człowieku, który pokonał swoje słabości i wspiął się na szczyt.



W ostatnich latach wydano wiele książek o elitarnych jednostkach wojskowych. Najwięcej chyba o amerykańskiej Navy SEAL. Kilku jej byłych operatorów zdecydowało się na opisanie swoich wspomnień, głównie wrażeń z morderczego szkolenia Basic Underwater Demolition/SEAL i późniejszych, już z linii frontu. W „Nieustraszone” Erica Blehma również nie brakuje typowo żołnierskich przeżyć, ale ta książka jest przede wszystkim poruszającą historią wrażliwego i emocjonalnego człowieka, który do elity amerykańskiej armii trafił po licznych perturbacjach życiowych i pokonaniu swoich największych słabości.

Adam Brown, którego życie zostało przedstawione w „Nieustraszone”, w młodości sprawiał wiele problemów. Uzależnienie od alkoholu i narkotyków doprowadziło go do upadku. Jednak znalazł siłę, by się

podnieść. Przemiana, którą przeszedł, sprawiła, że trafił na sam szczyt wojskowych struktur – do Naval Special Warfare Development Group.

Brown poległ na służbie w Afganistanie w 2010 roku. W napisanym wcześniej liście pożegnalnym wyraził pragnienie, aby ludzie poznali jego historię. Stał się legendą jako człowiek głęboko wierzący, kochający rodzinę i kraj, potrafiący podnieść się po najcięższych urazach.

Eric Blehm nad spisaniem tej historii pracował przeszło rok. Rozmawiał z dziesiątkami ludzi – rodziną, przyjaciółmi i towarzyszami broni Adama Browna. Część informacji pochodzi także z dokumentów oficjalnych. ■

PIOTR ZARZYCKI

Eric Blehm, „Nieustraszone”,
Wydawnictwo M, 2015



VIII LONGSHOT



MIĘDZYNARODOWE ZAWODY W STRZELANIU DŁUGODYSTANSOWYM

MIĘDZYZRZECZ, 24-26.04.2015

HONOROWY PATRONAT



MINISTER OBRONY NARODOWEJ
TOMASZ SIEMONIAK

ORGANIZATORZY



PATRONAT MEDIALNY



INFORMACJE I REJESTRACJA

WWW.LONGSHOT.PL



Akcja AB. Ofiary, świadkowie, kaci

Dokument o eksterminacji polskich elit

Zapraszamy na film dokumentalny Hanny Etemadi opowiadający o genezie i realizacji jednego z najbardziej ponurych hitlerowskich planów eksterminacji Polaków w okresie okupacji. Nadzwyczajna Akcja Pacyfikacyjna „AB”, przeprowadzona przez siły bezpieczeństwa i policji niemieckiej w roku 1940, była kontynuacją zbrodnego planu eksterminacji polskich elit zapoczątkowanego już w 1939 roku. W wyniku zakrojonych na wielką skalę działań represyjnych według precyzyjnie zaplanowanego scenariusza, aresz-

towano, wysłano do obozów koncentracyjnych lub zamordowano do 100 tys. osób. Mimo upływu przeszło 70 lat, los wielu ofiar tamtej niemieckiej zbrodni nie został wyjaśniony, nie znamy też często ich miejsc pochówku. Przeprowadzone w 2014 roku na krakowskim Glinniku ekshumacje dały nadzieję ciągle jeszcze poszukującym swych krewnych rodzinom na odnalezienie szczątków bliskich. Ten przejmujący fakt był główną inspiracją powstania filmu. ■

18 kwietnia, godz. 19.45

TVP
HISTORIA

Katyń, ludobójstwo i propaganda

Geneza sowieckiej zbrodni

Zapraszamy na polsko-niemiecko-rosyjski dwuczęściowy film dokumentalny, poświęcony genezie zbrodni katyńskiej. Realizatorzy dotarli do nie-

znanych materiałów dotyczących ludobójstwa, dokonanego na więźniach obozów w Ostaszkowie, Starobielsku i Kozielsku. Odnaleźli je w archiwach rosyjskich, amerykańskich, angielskich i niemieckich. Znaleźli też świadków zbrodni, których nie dostrzegli rosyjscy prokuratorzy prowadzący śledztwo w sprawie katyńskiej. ■

7, 8 kwietnia, godz. 17.15

TVP
HISTORIA

Być w cieniu

Film o ostatnim prezydencie II Rzeczypospolitej

Ignacy Mościcki przed I wojną światową osiągnął sławę dzięki pracom naukowym i wynalazkom z dziedziny chemii. Zafascynowany osobą Józefa Piłsudskiego porzucił jednak naukę i wkroczył w świat polityki. W filmie

ścierają się poglądy zwolenników i przeciwników Marszałka. Cennego materiału dostarcza „Autobiografia” prezydenta, spiswana do 1932 roku. Dla dużej części społeczeństwa II Rzeczypospolitej, dla pokolenia, które wywalczyło niepodległość i które wychowało się w wolnej Polsce, Ignacy Mościcki był uosobieniem majestatu państwa, jego suwerenności i autorytetu. ■

24 kwietnia, godz. 23.10

Ocaleni

Schronienie dla więźniów obozów koncentracyjnych

Zapraszamy na opowieść o tym, jak około 30 tys. ocalałych więźniów obozów koncentracyjnych przybyło do Malmö w ciągu kilku miesięcy 1945 roku. Historię opowiadają zarówno ocaleni z obozów koncentracyjnych, jak i mieszkańcy Malmö, którzy wtedy żyli w spokoju, niedotknięci okrutną wojną, jaka toczyła się w pozostałych częściach świata. Momenty wyzwolenia i pierwsze chwile wolności są pełne zażyłości. Każdy radzi sobie z nimi na swój sposób. Również dziś te wydarzenia wpływają na ich życie w różnoraki sposób. Doświadczenia mieszkańców Malmö są oczywiście inne, jednak również odmieniają ich życie i są pełne dramatyzmu. ■

21 kwietnia, godz. 21.55

TVP
HISTORIA



Skazani na Owczą Górę

Premiera historycznego reality show

Losy dwóch rodzin, które porzucają wygodne, współczesne życie i przenoszą się w czasy wiktoriańskie. Po tej zamianie wiodą życie drobnych rolników w Snowdonii w 1890 roku. Przez miesiąc trwa ten historyczny eksperyment, w którym cała rodzina, łącznie z dziećmi, pasie kozy, doi krowy i chadza do wychodka zamiast do toalety. ■

Weekendy, od 5 kwietnia, godz. 17.00

JERZY
EISLER

Bitwa o Berlin

RZECZYWISTOŚĆ POKAZANA
W FILMIE JURIJA OZIEROWA
JEST BARDZO ODLEGŁA OD TEJ,
KTÓRĄ ZNAMY Z PRZEKAZÓW
HISTORYCZNYCH



Wydaje się, że czwarta część „Wyzwolenia” jest najsłabsza, gdyż została najbardziej zideologizowana i przez to istotnie odbiega od rzeczywistości. Co najmniej dwukrotnie realizatorzy w zawołowany sposób podjęli polemikę z nieżyczliwymi Sowiecom stereotypami. Raz uczynili to wtedy, gdy pokazali radzieckich czołgistów jeżdżących na rowerach, zapewne zarekwirowanych Niemcom. Wiadomo, że oprócz zegarków to właśnie rowery najczęściej były rabowane przez wielu żołnierzy Armii Czerwonej. Jednocześnie równie często w rozmaitych wspomnieniach (nie tylko Niemek) powracają brutalne gwałty popełniane przez czerwonoarmistów. Jako swoisty kontrapunkt dla tego typu relacji, pojawia się wyidealizowana i kompletnie oderwana od rzeczywistości scena kolacji spożywanej przez radzieckiego żołnierza z niemieckim małżeństwem i jego dorosłymi córkami.

Rozmachem inscenizacyjnym obrazów batalistycznych (może z wyjątkiem znakomitej sceny nocnego ataku czerwonoarmistów nad Odrą w świetle lotniczych reflektorów) „Bitwa o Berlin” ustępuje trzem poprzednim produkcjom. Jednocześnie tym razem twórcy „przeskoczyli” chronologicznie prawie pół roku – nader ważne dla historii Polski. O ile bowiem „Kierunek głównego uderzenia” kończyła scena forsowania Bugu w lipcu 1944 roku i wkraczania wojsk polskich i radzieckich na Lubelszczyznę, o tyle „Bitwę o Berlin” rozpoczynają dokumentalne materiały filmowe z niemieckiej ofensywy w Ardenach w grudniu tego samego roku. W ten sposób chyba raczej nieprzypadkowo z radzieckiej narracji „wypadły” między innymi utworzenie w Moskwie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz tragiczne losy powstania warszawskiego.

Skoro o Polsce mowa, to należy odnotować, że tym razem jest pokazane wkroczenie wojsk polskich i radzieckich do lewobrzeżnej Warszawy. Nawiasem mówiąc, imponująco wygląda widziana z prawego brzegu Wisły panorama Starego Miasta w kłębach dymu, który ma za zadanie przede wszystkim przysłonić... Pałac Kultury i Nauki. Nie trzeba przy tym dodawać, że jest to oczywiście widok odbudowanej już z wojennych zniszczeń Starówki.

W „Bitwie o Berlin” znowu występują popularni polscy aktorzy: Barbara Brylska, Jan Englert, Daniel Olbrychski i Franciszek Pieczka. Wydaje się, że tylko ten ostatni odtwarza postać (sierżanta 1 Armii) zupełnie odmienną od tych, które pojawiały się we wcześniejszych częściach. Jan Englert, który w „Ognistym łuku” wcielił się w radzieckiego czołgistę, Polaka Janka, tym razem jest porucznikiem Wojska Polskiego. Podobnie zresztą, jak Daniel Olbrychski, który wraz z Barbarą Brylską (grającą w jednym z epizodów więźniarkę z obozu koncentracyjnego) w „Przełomie” wystąpił w roli konspiratora dokonującego zamachu bombowego na kino w Warszawie.

W „Bitwie o Berlin” znalazła się zrealizowana w oryginalnej scenerii pałacu Liwadia w Jaltie sekwencja konferencji Wielkiej Trójki. Stalin został w niej przedstawiony jako mąż stanu, arbiter i wierny sojusznik nielojalnych mocarstw zachodnich. To dość odległa wizja spotkania od tej, którą znamy na podstawie współczesnej wiedzy historycznej. ■

PROFESOR JERZY EISLER JEST
HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN
W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU
BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU
W INSTYTUCIE HISTORII PAN.

Polska Zbrojna

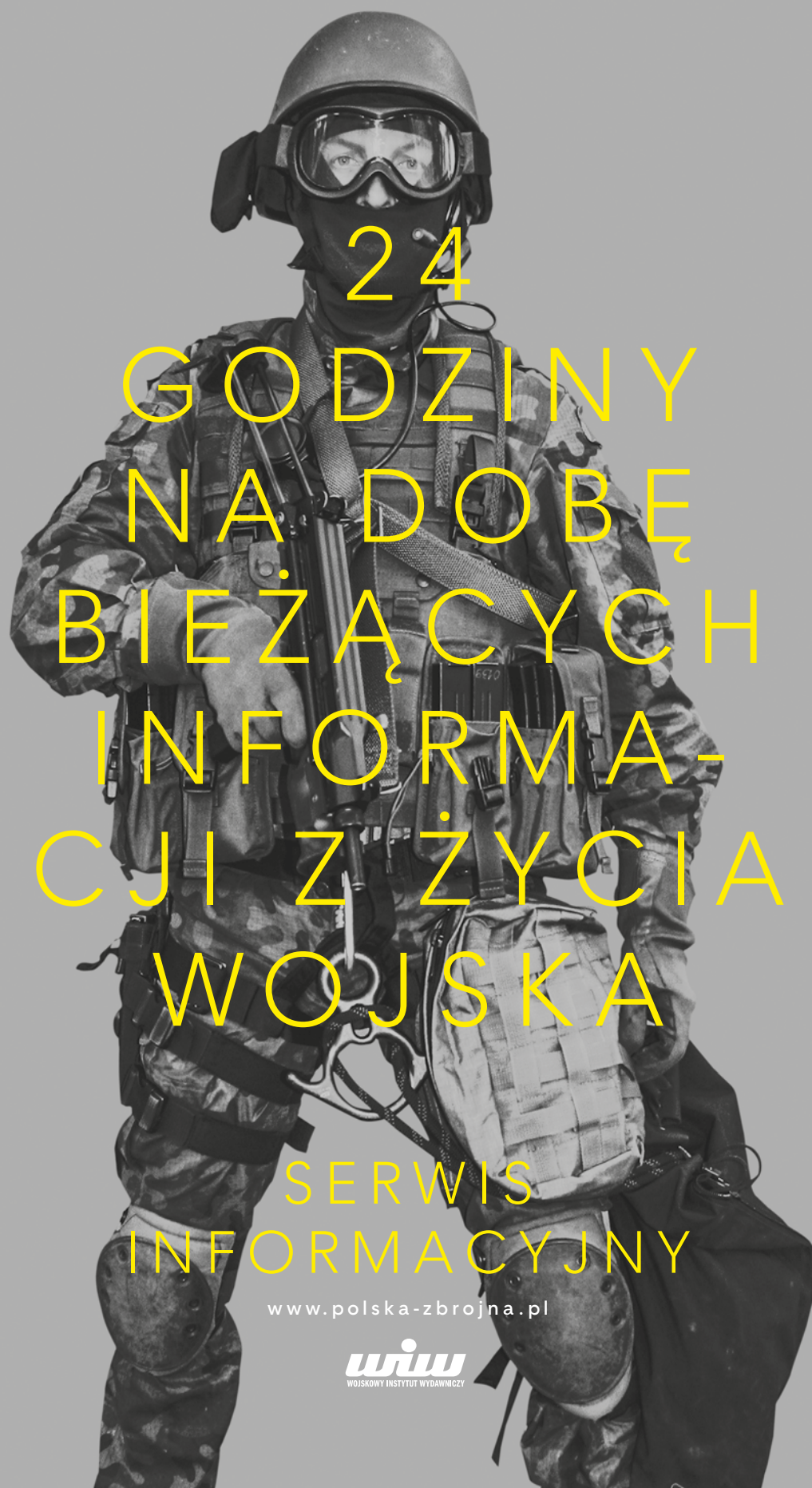


PREZYDENTOM,
PARLAMENTARZYSTOM,
MINISTROM, OFICEROM,
PRACOWNIKOM WOJSKA

ofiarom katastrofy lotniczej
pod Smoleńskiem
10 kwietnia 2010 r.



POLSKA-ZBROJNA.PL



24

GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY